

CZARNA
SERIA

kryminal

Håkan Nesser

**SMĘTNY SZOFER
Z ALSTER**

Szósty tom serii kryminalnej
o inspektorze Gunnarze Barbarottim.

CZARNA OWCA

Håkan Nesser

**SMĘTNY SZOFER
Z ALSTER**

przełożyła Iwona Jędrzejewska

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Tytułem wstępu](#)

[Prolog](#)

[Październik–Listopad 2012](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[Sierpień–Wrzesień 2018](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[Grudzień 2012–Styczeń 2013](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[Wrzesień–październik 2018](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

Styczeń–Marzec 2013

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

Październik 2018

27

28

Marzec–kwiecień 2013

29

30

31

32

33

34

Październik 2018

35

36

37

Kwiecień 2013

38

39

[40](#)

[41](#)

[Październik 2018](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[Kwiecień 2013–styczeń 2015](#)

[45](#)

[46](#)

[Listopad 2018](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[Epilog](#)

Tytuł oryginału: *Den sorgsne busschauffören från Alster*

Redakcja: Jacek Ring

Projekt okładki: Magda Kuc

Zdjęcie na okładce: By Hector Rosa Jr / EyeEm

Korekta: Anna Brzezińska, Beata Wójcik

Copyright © – 2020, LowenCorp Publishing, LLC – All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Iwona Jędrzejewska, 2022

Copyright © for the Polish edition Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-761-5

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czarnaowca.pl

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Tytułem wstępu

Zarówno Kommetije, jak i Alster oraz Fårö istnieją w tak zwanej rzeczywistości. Nie można jednak powiedzieć tego o Kymlinge czy o pewnym domu w Valleviken, w parafii Rute na Gotlandii. Reszta opowieści to mieszanina faktów i fikcji, natomiast nad tym, czy dwudziestego drugiego marca 2013 roku odbył się rejs promowy ze Sztokholmu na wyspę Åbo, można dyskutować.

nauczyłem się w przepastnej otchłani smutku,
w bulgoczącym kotle klęsk, chcieć i moc wytrwać i dać sobie radę,
i hartowałem się w siłę i rozum.

GUSTAF FRÖDING
Plamy i strzępy

Prolog

Kommetije, Prowincja Przylądkowa Zachodnia, Republika Południowej Afryki. Czerwiec 2010.

– Mówisz, że już czas na ciebie, mój Holendrze?

Mocno ścisnęła jego dłonie, nieśmiało się uśmiechając i patrząc na niego pustym wzrokiem. Jej smutek bez wątpienia spowodowany był jego wyjazdem. Trochę czasu już minęło. Prawie pięć lat mieszkał w jej małym domu. Przez ponad tysiąc pięćset dni siadywał z poranną kawą na jej gościnnym tarasie i wpatrywał się w morze. Tak samo, a jednak zawsze inaczej.

Podobnie było z tarasem we wczesnych godzinach wieczornych. Skąpanym w kolorach, a czasami wypełnionym pisaniem. Jakie to dziwne uczucie. Nie tylko dla niej.

– Muszę ci coś powiedzieć. Nie jestem Holendrem, tylko Szwedem.

– Ze Szwecji?

– Tak.

– Mieszkałeś u mnie pięć lat i nic mi nie powiedziałeś?

– Bo wydawało mi się, że narodowość nie odgrywa żadnej roli.

Zaśmiała się.

– Masz rację, tak powinno być. Ale to mrzonka, że wszyscy jesteśmy obywatelami świata. Bardzo optymistyczna mrzonka. Jednak masz holenderski paszport.

– Nie bez powodu. Jutro już będę w Sztokholmie, nie na Schiphol.

– Lecisz przez Addis?

– Tak.

Pokiwała głową. Życie ją nauczyło, że nie warto za dużo pytać. Poczucie integralności to dla niego ważne słowo. Dla niej zapewne też.

- Będę za tobą tęsknić.
 - Ja za tobą też.
 - Czy obrazy są zabezpieczone na czas transportu?
 - Mam nadzieję. Ale te, które zostawiłem, są twoje. Możesz je sprzedać, jeśli chcesz.
 - Nigdy bym nie śmiała.
- Wzruszył ramionami. Puściła jego dłonie i mocno go przytuliła.
- No, idź już, zanim się rozpłaczę. I obiecaj mi, że tu jeszcze wrócisz.
- The Cottage jest dla ciebie zawsze otwarty, ale pewnie o tym wiesz.
- Dziękuję. To nie ostatni raz, kiedy się widzimy, obiecuję.
 - Jeśli będziemy jeszcze żyli.
 - Umówmy się, że tak.
- Pokiwała głową.
- Dobrze, dlaczego nie? Zatem żegnaj, mój szwedzki Holendrze.

Październik–Listopad 2012

Plamy i strzępy, dwudziesty drugi października

Nie powinienem żyć. Wiele osób tak uważa, rozumiem to.

Czasami mój płomień życia tak ledwo się tli, że mam wrażenie, iż wystarczy stanąć przed lustrem i po prostu go zdmuchnąć. To dziwne uczucie, ale od wypadku tak się właśnie czuję.

Dziwaczne obrazy. Rozchwiane myśli. Pomysły i wywody, które nigdy przedtem nie przyszły mi do głowy.

Oczywiście, nie cały czas, sporadycznie. Przede wszystkim w nocy, w tym nieprzyjemnym stanie między jawą a snem. A nawet w snach, chociaż tego nie jestem pewien; już nie zapamiętuję snów. To też stało się dopiero potem. Po wielu sesjach u terapeutów i psychologów ogólny wniosek był taki, że tak się dzieje po głębokiej traumie. Że percepcja i postrzeganie po takich przeżyciach, jakie były moim udziałem, mogą iść w różnych kierunkach.

Że w pewien sposób stajemy się inną osobą. Ale to mój własny wniosek.

Zacząłem pisać, żeby zostawić po sobie przynajmniej jakieś wyjaśnienie. W razie gdyby coś mi się stało. Mam tu na myśli swoje wyjaśnienie, swoją opowieść. Być może nikt nie będzie chciał tego czytać, ale jestem na to przygotowany. Rozumiem, że trudno uwierzyć w to, co się faktycznie dzieje; w to, na co jestem wystawiony. Rozmawiałem o tym tylko z Karin, ale zauważyłem, że słucha mnie jedynie z litości, a tak naprawdę myśli, że to tylko urojenia. Albo że przesadzam; nie może zaprzeczyć istnieniu listów, to niemożliwe, ale uważa, że przywiązuję do nich zbyt dużą wagę.

Świat jest pełen szaleńców, powiedziała kiedyś. Gdyby się tym przejmować, człowiek by oszalał.

W sierpniu pokazałem jej dwa listy, które dostałem. Później przyszły jeszcze dwa, ale o tych już nie wspominałem. Nie chcę, żeby pomyślała, że

mam jakąś paranoję czy że jestem szalony. Nasz związek i bez tego jest już wystarczająco kruchy.

Ale zacznę od początku. A w każdym razie cofnę się w mojej historii o ponad dziesięć lat. Tak właśnie zrobię, przecież sam o tym decyduję.

Wtedy, a był koniec lat dziewięćdziesiątych, mieszkałem z moją pierwszą żoną Viveką w szeregowcu na przedmieściach Uppsali. Oboje byliśmy nauczycielami akademickimi, ona teologiem, ja historykiem idei. Poznaliśmy się w czasie studiów i tak już zostało. Razem zdobywaliśmy tytuł magistra, razem pisaliśmy nasze doktoraty, by w końcu dostać niepewny etat na uczelni, każdy w swoim instytucie. Mój etat był bardziej niepewny niż jej. Viveka obroniła doktorat, ja nie.

Nie mieliśmy dzieci. Wprawdzie pod koniec lat dziewięćdziesiątych Viveka zaszła w ciążę, ale w czternastym tygodniu poroniła. Potem też jej się nie udało, mimo że próbowaliśmy, a kiedy skończyliśmy trzydzieści lat, zaakceptowaliśmy naszą sytuację. Bycie rodzicem nie figuruje na liście praw i obowiązków, oboje zgadzaliśmy się w tej kwestii.

Moja kariera jako historyka idei kulała, po kilku latach straciliśmy z kolegą po fachu grant na badania, który trzymał nas na powierzchni. Ubiegaliśmy się o dotacje z wszystkich możliwych źródeł, ale w końcu się poddaliśmy. Jediną możliwością, aby kontynuować karierę akademicką i obronić doktorat, był kiepsko płatny i ograniczony w czasie etat na uniwersytecie w Oslo. Zastanawialiśmy się nawet z Viveką, czy w ten sposób nie próbować odbić się od dna, ale jej szanse na znalezienie pracy w Oslo, odpowiadającej jej kwalifikacjom, były bliskie zeru. W końcu zdecydowaliśmy, że zacznę czegoś szukać poza światem akademickim.

W taki oto sposób zostałem kierowcą autokaru.

Dochodzi pierwsza w nocy, Karin jak zwykle smacznie śpi, więc jeszcze trochę popiszę.

Oczywiście, nigdy nie przysłoby mi do głowy, żeby jeździć autokarem, gdyby nie okoliczności. Okoliczności i Tommy, który był starszym bratem Viveki. Piszę „był”, bo kilka lat temu zmarł. Ale w 2002 roku jeszcze żył i z powodzeniem prowadził sporą firmę autokarową, która wozila pasażerów po Skandynawii i całej Europie, był zresztą również jej większościovym udziałowcem.

Tommy gardził światem akademickim i mężczyzną, który ożenił się z jego siostrą, czyli mną. Często złośliwie nazywał nas gryzpiórkami. Tak lubił mawiać o ludziach, którzy zajmowali się pracą teoretyczną. Ale kiedy stało się jasne, że jestem bezrobotny, potrafił się znaleźć, trzeba mu to przyznać. Zaproponował mi zatrudnienie w swojej firmie, a nawet pokrycie kosztów kursu na prawo jazdy na autokary, dzięki któremu mogłem wozić ludzi wzdłuż i wszerz naszego ogromnego kraju, a nawet poza jego granice.

Dużo z Viveką o tym dyskutowaliśmy, nigdy nie przepadała za swoim bratem, dlatego jego propozycję odebrała jako pewnego rodzaju poniżenie.

W każdym razie zgodziłem się i już pół roku później ruszyłem w pierwszy kurs jako kierowca z uprawnieniami. Wiozłem grupę zainteresowanych sztuką emerytów do Skagen w Danii.

Szybko polubiłem nową pracę, tak różną od jałowej rzeczywistości świata akademickiego. Odwiedziłem miejsca, których w przeciwnym razie nigdy bym nie zobaczył: Tromsø, Madryt, Sankt Petersburg, nie mówiąc już o innych miastach. Sam byłem tym zaskoczony. Bardzo lubiłem prowadzić autokar, czego jeszcze parę lat wcześniej w ogóle nie brałem pod uwagę.

No, ale z ręki wypada mi już długopis, a z głowy myśli. Jest druga w nocy. Poczekam z pisaniem do następnej bezsennej nocy.

[Plamy i strzępy, dwudziesty siódmy października](#)

Przez kilka lat nieźle nam się z Viveką żyło. W każdym razie tak to widziałem. Rzecz jasna, od czasu do czasu zdarzały się małe kryzysy, ale żadnych poważniejszych zgrzytów w naszym małżeństwie nie było. Pasowaliśmy do siebie charakterami, żadne z nas nie gonilo za przygodą, jak to często się zdarza. Oboje lubiliśmy spokojną i uporządkowaną egzystencję. Nasze życie towarzyskie nie było jakoś szczególnie bogate, ale regularnie spotykaliśmy się z kilkoma parami, które znaliśmy jeszcze z czasów studenckich. Z Hassem i Ingelą, lekarzami. Ze Stefanem i Paulą, pastorem i nauczycielką w liceum. Z Oliverem i Katariną, Katarina była psychologiem i przyjaciółką Viveki z dzieciństwa, Oliver dojeżdżał z Uppsali do Sztokholmu, gdzie pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Razem jeździliśmy na wakacje, każdego roku w inne miejsce, a w lutym lub marcu wypuszczaliśmy się na tydzień w góry. Hasse i Ingela mieli dom

w Vemdalen, który od nich wynajmowaliśmy, czasami jeździliśmy tam razem.

Moja nowa praca wymagała ode mnie, abym sześć–siedem nocy w miesiącu spędzał poza domem, ale to nie komplikowało naszego życia. Wręcz przeciwnie, pamiętam, że bardzo lubiłem nasze spotkania po kilkudniowej separacji, i wiem, że Viveka też. Pierwszej nocy po mojej kilkudniowej nieobecności zawsze się kochaliśmy.

Tak, kiedy teraz patrzę wstecz, jestem pewien, że te lata przed wypadkiem były dla nas łaskawe. Dobrze nam się powodziło, nasz związek był harmonijny, prowadziliśmy proste i bezpieczne życie, które dawało nam wiele zadowolenia. Jeśli miałbym możliwość przeżyć życie jeszcze raz, to wybrałbym właśnie tamten czas. Lata 2003–2006; oczywiście z możliwością wciśnięcia hamulca bezpieczeństwa i wyskoczenia z pociągu przed marcem 2007, ale nie zaprzęgam sobie tym głowy. Po prostu tak to zobrazowałem, żeby pokazać, że kiedyś moje życie wyglądało zupełnie inaczej niż teraz.

Zanim przejdę do wypadku, muszę wspomnieć o smutnym wydarzeniu, które miało miejsce trzynastego grudnia 2006 roku, w święto Łucji. Moją matkę potracił motocykl, obrażenia okazały się tak ciężkie, że następnego dnia zmarła w szpitalu. To się stało w Karlstad, gdzie mieszkali z ojcem od lat osiemdziesiątych, odkąd byłem nastolatkiem. Jej nagłe odejście bardzo źle wpłynęło na ojca. Przeszedł właśnie na emeryturę po kilkudziesięciu latach pracy jako nauczyciel. Rodzice bardzo czekali na nadchodzące lata jako świeżo upieczeni seniorzy, zamierzali podróżować i cieszyć się każdym dniem. Mojej matce do emerytury zostało kilka lat pracy w banku, byli małżeństwem ponad czterdzieści lat.

Pojechałem do Karlstad na jej pogrzeb i żeby wesprzeć ojca. Nie mam rodzeństwa, co wtedy odczułem jako duży brak. Ale zrobiłem, co mogłem, ściągnąłem ojca do Uppsali na kilka zimowych miesięcy. Na Boże Narodzenie i Nowy Rok. Z łatwością dało się zauważyć, jak bardzo był przybity, pamiętam, że obawialiśmy się, czy nie planuje odebrać sobie życia. Rozmawialiśmy o tym z Viveką, udało nam się nawet go przekonać, żeby w Karlstad skorzystał z porady terapeuty, ale nie wiemy, czy mu to pomogło. W Filipstad ojciec miał kuzynkę, która była psychologiem; próbowała mu jakoś pomóc, ale nigdy nie byli w najlepszych stosunkach, więc nie sędzę, żeby miała jakieś większe osiągnięcia w postawieniu go na nogi.

Ogólnie mówiąc, pierwsze miesiące 2007 roku były bardzo trudne. Jednak wszystko to odeszło w cień po tym, co się wydarzyło dwudziestego drugiego marca.

Plamy i strzępy, pierwszy listopada

To był wyjazd na narty.

Aż trudno mi o tym pisać. Zresztą nic w tym dziwnego. Wprawdzie wszystko jest udokumentowane, media w całym kraju o tym trąbiły, mniej lub bardziej wiarygodnie, ale nie mogę tego pominąć. Minęła właśnie pierwsza w nocy. Karin śpi, ja siedzę w wiklinowym fotelu przy oknie, które wychodzi na rząd drzew oddzielających naszą działkę od działki sąsiada. Niebo jest czarne i za chwilę zacznie padać. Wygodnie się usadamiam, poprawiam lampę i bez niepotrzebnych emocji postanawiam opisać to, co się wydarzyło. Sucho i trzeźwo jak protokół sądowy, trochę już ich czytałem.

Tak więc to był wyjazd pierwszoklasistów z liceum w Sztokholmie, którzy z kilkorgiem rodziców i nauczycieli mieli spędzić tydzień w Duved. Nie po raz pierwszy wiozłem grupę na narty. Wliczając dwa półgodzinne postoje, cała podróż miała zająć około ośmiu godzin. Może dziewięć–dziesięć, w zależności od pogody. O dziewiątej rano podjechałem na Norra Bantorget, tak jak było umówione, i w drogę wyruszyliśmy pół godziny później. W Sztokholmie była ładna, prawie że bezchmurna pogoda, ale prognozy ostrzegały przed opadami śniegu i silnym wiatrem z północy. Niezależnie od tego wieczorem powinniśmy już dotrzeć na miejsce. Nie było powodu do niepokoju, a i prędkości nie musiałem jakoś specjalnie ograniczać.

Jechałem tak, jak pozwalały warunki, i nigdy nie twierdzono inaczej. Ale wystarczy sekunda czy dwie, aby życie wywróciło się do góry nogami.

Albo w ogóle skończyło.

Od Svenstavik dzieliło nas dziesięć minut drogi. Zrobiło się już ciemno i zaczął padać śnieg. Nie szczególnie mocno, ale wystarczająco, żeby zwolnić. Kiedy ten zwierzak wybiegł na drogę, nie miałem na liczniku więcej niż siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, tak wynikało z raportu, i takie też było moje odczucie. Aby uniknąć kolizji, skręciłem na lewy pas i wpadłem w lekki poślizg. W tym samym momencie z naprzeciwka, zza zakrętu

wyjechała ciężarówka. Próbowałem wrócić na swój pas, ale opony nie trzymały się jezdni i zderzyliśmy się z ciężarówką. Nie czołowo, ale bokiem. Jednak to wystarczyło, żebym stracił kontrolę nad pojazdem. Hamowałem, ale bez skutku. Wpadliśmy do rowu głębokiego na dwadzieścia metrów, między dwa kamienne bloki, pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie wypadliśmy z drogi. Autokar powygiął się nie do poznania i stanął w ogniu.

Jeszcze tego samego wieczoru obudziłem się w szpitalu w Östersund i dowiedziałem się, że w wypadku zginęło siedemnaścioro uczniów i jedno z rodziców, a czworo ciężko rannych walczyło o życie. Tylko sześcioro nie odniosło większych obrażeń.

Odkładam długopis i zamykam dziennik. Siedzę jeszcze przez chwilę i patrzę w ciemność. Ani śladu brzasku. Nie, stanowczo nie powinienem żyć.

Eva Backman spojrzała na mężczyznę, który wszedł do jej gabinetu. Około czterdziestki, średniego wzrostu, lekko przygarbiony, zmierzwiłone ciemne włosy, okulary – wyglądał, jakby zabłądził.

Pierwsze wrażenie Evy Backman było takie, że ten gość pomylił drzwi, że jest tu w zupełnie innej sprawie i spodziewał się spotkać kogoś innego niż inspektor Evę Backman.

Może prawnika czy pielęgniarkę. Albo księdza.

– Przepraszam – powiedział. – Czy mogę zająć chwilę?

Zadzwonili wcześniej z recepcji, ale nie powiedzieli, o co chodzi. Tylko że niejaki pan Albin Runge chciałby się spotkać z policjantem. Najchętniej z kimś z wydziału kryminalnego, bo ma dość specyficzną sprawę.

– Zadzwonili z recepcji, że pan czeka – odparła Eva Backman. – Mam czas. Proszę usiąść. W czym mogę pomóc?

Na ogół tak nie zaczynała rozmowy, ale jej gość wydawał się niezwykle kruchy. Jeśliby zwróciła się do niego w mniej delikatnej formie, mógłby odwrócić się na pięcie i wyjść. Skinął głową i ostrożnie usiadł na brzegu krzesła, rozpiął sfatygowaną zimową kurtkę i wyjął coś z kieszeni. Koperty, o ile dobrze zauważyła. Położył je na kolanach i skrzyżował na nich dłonie, jakby chciał coś ukryć przed jej wzrokiem.

Wziął głęboki wdech i znów przeprosił.

– Nie chciałbym zajmować czasu bez potrzeby. Ale jest jedna rzecz... nazywam się Albin Runge.

Nawet teraz, kiedy po raz drugi usłyszała jego imię i nazwisko, z niczym go nie skojarzyła. Po powrocie do domu opowiedziała o spotkaniu Gunnarowi Barbarottiemu, zastanawiała się, czy gdzieś już słyszała to nazwisko. Pisali o nim w prasie, ale to było kilka dobrych lat temu, i nie mogła sobie przypomnieć, czy jego tożsamość została podana do publicznej wiadomości. Może tak, może nie; nie zawsze łatwo trafić za dziennikarzami, kiedy uznają, czy coś leży w interesie społecznym, czy nie.

– Rozumiem – powiedziała, nic z tego nie rozumiejąc. – Ale czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Moje życie jest zagrożone.

Jego głos był bezdźwięczny, prawie obojętny. Jakby jej gościa mało obchodziło, że grozi mu niebezpieczeństwo. Jego wzrok, gdy tak patrzył zza cienkich okularów, był równie obojętny. Rozbiegany, nieskupiony na czymkolwiek. Eva Backman nie potrafiła odgadnąć, czy patrzy na nią, czy na okno, które miała za plecami.

– Pana życie jest zagrożone?

– Tak.

– Skąd te przypuszczenia? Proszę pokrótce opisać całą sytuację.

– Głównie chodzi o listy – powiedział i jedną ręką pogładził ostrożnie zwitek białych kopert. – I telefon...

– A co takiego jest w tych listach? Czy mogę je przeczytać?

– Naturalnie – odrzekł, jednak wciąż ich nie podał. – Dlatego je z sobą wziąłem. Nie jest napisane wprost, że ktoś planuje mnie zabić, nie explicite, ale trudno inaczej interpretować ich zawartość.

Eva Backman skinęła głową. Pomyślała, że musi być dość wykształcony. Wskazywały na to wyrażenia – „explicite” i „trudno inaczej interpretować ich zawartość”.

– Dlaczego ktoś chciałby pana zabić?

– Istnieją po temu powody.

– Przepraszam, nie rozumiem?

Handel narkotykami? – przeszło jej szybko przez myśl. Niespłacone długi wobec gangu motocyklistów? Nie wygląda na takiego, ale nigdy nic nie wiadomo. Wydawało jej się, że przez moment się zawahał, ale poprawił okulary i westchnął.

– Istnieje wiele osób, które uważają, że nie zasługuję na to, żeby żyć. I niestety, absolutnie je rozumiem.

Eva Backman oparła dłoń o biurko i pomyślała, czy on przypadkiem nie jest szalony. Czy to nie jakiś mitoman albo inny nieszczęśnik, który stracił kontakt z rzeczywistością?

– Musi mi pan dokładnie opowiedzieć, o co chodzi. Jeśli rzeczywiście ktoś panu grozi i z tego powodu pan przyszedł, to muszę wiedzieć trochę więcej. Proszę mi wszystko opowiedzieć.

– Pani nie wie, kim jestem?

– Nie mam pojęcia.

– Czy moje nazwisko coś pani mówi?

– Albin Runge? Nie, niestety nie.

– Okej. – Znow westchnął i wyglądał, jakby właśnie podjął decyzję. – Pięć i pół roku temu w Jämtland zdarzył się straszny wypadek autokarowy. Osiemnaście osób straciło życie, siedemnaścioro nastolatków i jeden dorosły. Jechali na narty do Duved. Pewnie pani o tym słyszała, pisali we wszystkich gazetach. To ja prowadziłem ten autokar.

Zamilkł. I znow poprawił okulary. Eva Backman wstrzymała oddech.

– Rozumiem.

Drugi raz w ciągu trzech minut. To najbardziej idiotyczna replika. Co takiego rozumiała?

– Nie zostałem oskarżony ani o niezachowanie należytej ostrożności, ani o nieumyślne spowodowanie śmierci. Ani nawet o spowodowanie utraty zdrowia. Zostałem oczyszczony z wszystkich zarzutów, mimo iż wiele osób chciałoby mnie widzieć w więzieniu skazanego na dożywocie. A najlepiej martwego.

Uśmiechnął się przelotnie. Krzywo i raczej niestosownie do sytuacji. Eva Backman odchyliła się do tyłu i próbowała się skupić. W zachowaniu tego mężczyzny było coś, co jej przeszkadzało. Jego sposób mówienia i jakiś zrozumiały smutek powodowały, że czuła się niekomfortowo. Zupełnie niezależne od jego opowieści, którą trudno od razu przetrwać. Jak można dalej żyć po czymś takim, mając na sumieniu osiemnaście istnień ludzkich? Z jakiego powodu? Z powodu kilku sekund nieuwagi? Może zasnął za kierownicą? Mimo to został oczyszczony z wszelkich zarzutów? Chryste Panie, pomyślała. Należałoby raczej spytać, nie jak można dalej z tym żyć, tylko po co. To wyjaśnia, dlaczego jest taki dziwny.

– To straszne – powiedziała Eva Backman. – Coś mi się kojarzy, ale już minęło... ile pan powiedział? Pięć lat?

– Prawie pięć i pół roku.

– To musiało być dla pana bardzo trudne.

– Nie było łatwo. – Zawahał się na chwilę. Eva Backman cierpliwie czekała. – Moje życie się rozsypało – kontynuował z niechęcią w głosie, wynikłą zapewne z tego, że znow musi o tym opowiadać, chociaż z całych sił stara się zapomnieć. – To mogło się zdarzyć każdemu. Powinienem był wtedy zginąć, ale z jakiegoś powodu przeżyłem. Ale nie przyszedłem tutaj po to, żeby ulżyć swojemu poczuciu winy, tym mogę się zająć w inny sposób. Powód, dla którego tu jestem, to... – Przerwał w połowie zdania.

Wyjął z kieszeni chustkę i wydmuchał nos. – Przepraszam. Przyszedłem tu dlatego, że ktoś mi grozi. Jak już wspominałem...

W końcu położył listy na brzegu biurka i wytarł dłonie w spodnie, jakby chciał się pozbyć jakiegoś niewidzialnego brudu. Eva Backman spojrzała na co najwyżej cztery koperty.

– Czyli zawartość tych listów powoduje, że pan się obawia o własne życie, o ile dobrze zrozumiałam?

– Tak. Plus telefon.

– Okej. Zaczniemy od listów, co może pan o nich powiedzieć? Nie chcę ich dotykać, dopóki ich nie zbadamy... czyli dopóki nie zdejmemy odcisków palców i tym podobne. Poproszę pana również o zostawienie swoich odcisków przed wyjściem.

– Naturalnie.

– Kiedy pan dostał te listy i czy pan wie, kto jest ich autorem? Jeśli to ten sam...

– Pierwszy przyszedł latem, tydzień przed midsommar, potem dostawałem je w miesięcznych odstępach. W sierpniu, we wrześniu i w październiku.

– Proszę mówić dalej.

– Jeśli chodzi o dwa ostatnie, to zapisałem datę... dziewiąty września i dwunasty października. Nie wiem, kto je wysłał, ale wygląda na to, że ta sama osoba.

Eva Backman skinęła głową.

– Przeczytam je, oczywiście, ale najpierw zajmą się nimi technicy. Skąd przypuszczenie, że to ten sam autor?

– Po stylu i tonie. Za każdym razem tylko kilka krótkich zdań i ten sam podpis. Nemezis.

– Nemezis?

– Tak, bogini zemsty. Reszta napisana na komputerze.

Eva Backman siedziała przez chwilę w milczeniu i myślała. Albin Runge zmienił pozycję i wyglądał na zakłopotanego.

– Chciałabym się jeszcze z panem spotkać, jak już przeczytam i przeanalizuję te listy. Czy możemy się umówić na jutro?

– Nie pracuję. Skończyłem po tym... tak. Mogę przyjść w każdej chwili.

– Dobrze. W takim razie jutro o drugiej. Ale proszę mi jeszcze opowiedzieć o tym telefonie.

Albin Runge ponownie wydmuchał nos.

– Przepraszam. Jestem trochę przeziębiony. Na temat telefonu niewiele mam do powiedzenia.

– Zupełnie nic?

– To było w zeszły czwartek. Ktoś zadzwonił z zastrzeżonego numeru. Kiedy odebrałem, w słuchawce najpierw zapanowała cisza, a potem głos powiedział: „Tu Nemezis. Ciekawi jesteśmy, dlaczego ty jeszcze żyjesz. Czy naprawdę nic nie rozumiesz?”.

– I to wszystko?

– Tak, tylko tyle.

– To był mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna.

– Czy może pan opisać jego głos?

– Bezdźwięczny. Jakby ktoś mówił przez szalik albo chustkę.

– Czy głos wydał się panu znajomy?

– Nie.

– Czy od razu się pan zorientował, że ktoś mówił przez chustkę?

– Nie, dopiero po zakończeniu rozmowy.

– I to była krótka rozmowa, tak?

– Nie dłuższa niż dziesięć–piętnaście sekund.

– A pan się odezwał?

– Nie. A co miałem powiedzieć?

Eva Backman zastanawiała się przez chwilę.

– Czy o tych listach i tym telefonie z kimś pan rozmawiał?

– Nie... a właściwie to tak, o dwóch pierwszych rozmawiałem z Karin.

– Kim jest Karin?

– To moja żona. Powiedziałem jej o listach z czerwca i sierpnia, ale nie o pozostałych.

– Dlaczego?

– Nie chciałem jej niepokoić.

– Ale pan się niepokoi, prawda?

Mężczyzna wzruszył ramionami i znów się przelotnie uśmiechnął, równie nienaturalnie jak poprzednim razem.

– Może nie niepokoję, ale jest to po prostu nieprzyjemne. Chociaż rozumiem, że niektórzy ludzie tak mogą czuć.

– Jacy ludzie? Kto tak może czuć?

– Na przykład rodzice, którzy w tym wypadku stracili dzieci.

– Uważa pan, że to któreś z nich panu grozi?

– A kto inny?

Dobre pytanie, pomyślała Eva Backman, kiedy Albin Runge wyszedł. A w zasadzie złe, wręcz retoryczne. Jeśli ma się na sumieniu osiemnaście istnień ludzkich (siedemnaścioro nastolatków, chyba tak powiedział?), nie trzeba zbytnio główkować, żeby się domyślić, przez kogo jest się najmniej kochanym.

Mniej więcej wtedy, kiedy przyszło jej do głowy słowo „kochanym”, przypomniała sobie o inspektorze Barbarottim. Spojrzała na zegarek. Piętnaście po piątej, pewnie już pojechał do domu.

To znaczy do siebie.

A inspektor Eva Backman pojedzie do siebie.

Nie tak to powinno wyglądać. Cholera, nie tak to powinno wyglądać.

Zanim opuściła budynek komisariatu, musiała się jeszcze zająć odciskami palców. Wykonała telefon, włożyła lateksowe rękawiczki i pęsetą wyjęła z kopert listy. Zrobiła zdjęcia i włożyła je do plastikowej torby.

– Ten – powiedziała, kiedy w drzwiach pojawił się inspektor Klausen. – Zrobisz to na jutro rano?

– Ależ oczywiście, moja śliczna – zapewnił ją Klausen. – Bez problemu.

– Czy pan Runge był u ciebie?

– Co za dziwak, co on takiego przeszkrobał?

Eva Backman nie mogła się powstrzymać.

– Drobnostka. Tylko pozbawił życia osiemnaście osób.

Nie powinnam była tak powiedzieć, pomyślała, kiedy wsiadała na rower. Ale Klausen to taki cholerny macho.

Miło cię widzieć. Szmata czasu.

– Zaledwie kilka godzin – powiedział Gunnar Barbarotti. – Ale i tak nie do zniesienia.

Barbarotti przytulił ją i stali tak w przedpokoju przez kilka sekund. Eva Backman pomyślała, jak bezpiecznie się czuje w jego ramionach. Parą byli zaledwie od kilku miesięcy. Jeszcze ani razu się nie kochali. Ona tak zdecydowała, ale niebawem to się zmieni. Ale jeszcze nie tego wieczoru, na razie musi wystarczyć przytulas. Nie ma pośpiechu. Oboje dobiegają pięćdziesiątki, on nieco ponad, ona około, i znają się już prawie dwadzieścia pięć lat. Koledzy z pracy i przyjaciele przez prawie pół życia, a to coś znaczy. Na pewno ma to dobre i złe strony. Czasami myślała, że nie zna człowieka, którego by rozumiała lepiej niż Gunnara Barbarottiego. Na pewno nie własne dzieci. Nie siostrę. Nie byłego męża... o nie, bez wątplenia nie jego.

W komisariacie nikt się nie domyślał, że inspektor Barbarotti i inspektor Backman mają się ku sobie i we wrześniu razem podróżowali po Europie. Poszukiwali jego ojca, taki był cel tej eskapady, i znaleźli jego grób w Varese, we Włoszech.

I tak koło się zamknęło.

Zaledwie kilka dni temu wrócili z innej podróży, służbowej, z zamglonego Maardam. A teraz, tego deszczowego listopadowego wieczoru, Barbarotti wstąpił na godzinę do Evy Backman, przed powrotem do Willi Pickford i trójki dzieci. Dwojga własnych i jednego ekstra. Jest, jak jest, życie pisze swój własny scenariusz, my możemy go tylko czytać i ewentualnie realizować.

Jego poprzednia żona, Marianne, zachęcała go do bliższego kontaktu z Evą Backman. I w liście pożegnalnym, i z nieba. Może to była trochę dziwna rada, ale należało ją potraktować poważnie.

Co Barbarotti zrobił. Na szczęście.

– Jak się masz?

– Dobrze. Wejdz, to usiądziemy i pogadamy. Chcesz pół kieliszka wina?

- Chętnie napiję się herbaty – odpowiedział Gunnar Barbarotti. – Mogę ci wymasować stopy, jeśli chcesz.
- Chcę – odparła Eva Backman.

Jak można się było spodziewać, poruszyła temat Albina Rungego.

– Dzisiaj po południu zdarzyło się coś dziwnego. Szukałam cię, ale już pojechałeś do domu.

– Nie do domu – zaprotestował Barbarotti. – Pojechałem ze Smutasem do pożaru. Do Tystbergi.

– Dobrze – odparła Eva Backman.

– Średnio. Co się stało?

– Odwiedził mnie pewien mężczyzna z bardzo szczególną sprawą.

– Cóż to za sprawa?

Eva Backman upiła łyk herbaty i zaczęła opowiadać. O nieśmiałym kierowcy autokaru, który ma na sumieniu osiemnaście istnień ludzkich. O niezrozumiałym dyskomforcie, który czuła podczas rozmowy z nim, a który zupełnie nie miał nic wspólnego z jego straszną opowieścią. O listach z pogrózkami.

– Co było w tych listach? – zapytał Barbarotti. – Czytałaś je?

Tak, czytała je. Kilka razy, po południu i wieczorem. Tylko parę linijek. W sumie dziewięć zdań, ściśle mówiąc, podzielonych na cztery listy. Eva Backman odszukała je w telefonie komórkowym i pokazała Barbarottiemu.

Ty żyjesz, podczas gdy inni nie. Czy tak powinno być? Nemezis

To pierwszy list. Wysłany w czerwcu, według tego, co mówił kierowca. Drugi, z sierpnia, identyczny.

Ty żyjesz, podczas gdy inni nie. Czy tak powinno być? Nemezis

W trzecim i czwartym, z września i października, ton się zaostrzył.

Wciąż jeszcze przy życiu? Możemy ci pomóc. Nemezis

Mieli całe życie przed sobą. Wkrótce ty będziesz miał całe życie za sobą. Czy rozumiesz, czy mamy się wyrażać jaśniej? Nemezis

Gunnar Barbarotti pokiwał głową.

– Podejrzana sprawa. I to wszystko?

– Oprócz telefonu. Ktoś do niego zadzwonił kilka dni temu. Rozmówca przedstawił się jako Nemezis i zapytał, czy w dalszym ciągu nic nie rozumie. Równie zwięźle jak w listach, jeśli wierzyć temu, co mówi... ale chyba nie mamy wyboru.

– A są powody, żeby mu nie wierzyć?

– Dlaczego miałyby zmyślać? Zresztą mówi, że w pewnym sensie rozumie te ataki. Uważa nawet, że nie ma nic dziwnego w tym, że ktoś mu grozi.

– I tak to przedstawia? Że ktoś czyha na jego życie?

Eva Backman wzruszyła ramionami.

– Co o tym sądzisz?

Barbarotti zamyślił się na moment.

– Wszystko na to wskazuje. Prawdopodobnie chodzi o...

– Rodziców, którzy stracili dzieci w wypadku i chcą się zemścić. Czyli ukarać winnego. Przez sąd został uniewinniony, nie skazano go nawet za nieumyślne spowodowanie wypadku, więc zapewne uważają, że śmierć dziecka wymaga surowszej kary... a raczej śmierć osiemnastu osób, siedemnaścioro dzieci i jednego dorosłego. Jego zdaniem to rodzice... trudno się z nim nie zgodzić. Też tak uważasz?

– Coś w tym jest – powiedział Barbarotti i zmienił masowaną stopę z lewej na prawą. – Cóż za dziwna historia. I straszna. Masz już jakiś plan? Jak się do tego zabrać?

– Dobre pytanie. – Westchnęła. – Niestety, kompletnie nic. Ale jeśli Stigman wpadnie na pomysł, żebym obdzwoniła rodziców i zapytała, czy stracili dziecko w wypadku i czy zamierzają odebrać życie kierowcy, to stanowczo odmówię. Nic z tego.

– Zgadzam się – odparł Barbarotti. – A jeśli rzeczywiście facet zginie? Wyobraź sobie... że zostanie zamordowany, a my, wiedząc o wszystkim, nie podjęliśmy żadnych działań. Media dostałyby orgazmu od takiego newsa.

– Chyba masz rację.

Barbarotti skinął głową.

– Wielcy duchem myślą podobnie. À propos, kim była osiemnasta ofiara wypadku? Siedemnaścioro nastolatków i jeden dorosły, tak?

Zmarszczyła brwi.

– Właściwie to nie wiem. Zapomniałam go zapytać, nie zdążyłam sprawdzić. Jakiś rodzic, prawdopodobnie... albo ktoś z opiekunów, pojechało ich kilkoro.

– Hm. Zatem niewykluczone, że ktoś stracił nie tylko dziecko, ale również męża albo żonę?

Eva się zastanowiła.

– Możliwe. Nie przyszło mi to do głowy, ale masz rację. W tym najgorszym ze światów... wszystko mogło się zdarzyć. Ale to łatwo sprawdzić. Na pewno jest obszerny raport z wypadku.

– Kiedy to się stało? – zapytał Barbarotti. – Kilka lat temu?

– Pięć i pół roku. Pod koniec marca dwa tysiące siódmego. Trochę czasu minęło. Ale dlaczego ktoś by tak długo czekał z tak zwanym wymierzeniem sprawiedliwości?

– Jest takie stare angielskie przysłowie – powiedział Barbarotti. – *Revenge is a dish best served cold...* czy coś w tym rodzaju. Nie byłaś z tym jeszcze u Stigmana?

Eva ponownie westchnęła.

– Jutro o dziesiątej rano. Też przyjdiesz?

– Z niechęcią, ale się zjawię.

Uśmiechnęła się.

– Czasami myślę, że jesteś dżentelmenem, wiesz, o czym mówię?

– O tak – odpowiedział Barbarotti z naciskiem. – Jeśli chce się zdobyć twoje serce, trzeba zwracać uwagę na szczegóły.

– Oj. W każdym razie dobrze masujesz.

To było wyjątkowo krótkie spotkanie, głównie dlatego, że komisarz Stig Stigman miał niewiele czasu. Barbarotti i Backman weszli do jego gabinetu za dziesięć dziesiąta, a wyszli osiem po dziesiątej.

Instrukcje były proste i wyraźne.

To poważna sprawa. Poważna. Działajcie zgodnie z regulaminem i ze zdrowym rozsądkiem. Jeśli oczywiście czas wam pozwoli. Nie zaniedbajcie innych spraw. Nie zaniedbajcie innych spraw.

I informujcie mnie o wszystkim. Jakieś pytania?

Ani Barbarotti, ani Backman nie mieli żadnych pytań.

W takim razie to wszystko.

Kiedy Albin Runge, zgodnie z umową, pojawił się punktualnie o drugiej, oboje już na niego czekali.

BACKMAN: Witam ponownie, panie Runge. Dobrze, że pan znalazł czas.

RUNGE: Mam go teraz w nadmiarze.

BACKMAN: To jest inspektor Barbarotti.

RUNGE: Dzień dobry.

BARBAROTTI: Dzień dobry, panie Runge. Znam pańską sprawę. Inspektor Backman wszystko mi opowiedziała.

RUNGE: Rozumiem.

BACKMAN: Jak już wczoraj mówiłam, musimy panu zadać kilka dodatkowych pytań. Nie zajmie to dużo czasu, najwyżej pół godziny.

RUNGE: Nie śpieszy mi się.

BARBAROTTI: Może ja zacznę. Jest kilka rzeczy, które mnie interesują w związku z tymi listami.

RUNGE: Słucham.

BARBAROTTI: Po pierwsze, skąd zostały wysłane. Nie widziałem jeszcze kopert, ale może pan mi powie coś więcej. Czy mają jakąś pieczętkę urzędu pocztowego?

RUNGE: Teraz pieczętki nie są tak widoczne jak kiedyś. Ale wydaje mi się, że jedna jest ze Sztokholmu, a druga z Göteborga.

BARBAROTTI: A dwie pozostałe?

RUNGE: Nie, chyba nic na nich nie ma.

BARBAROTTI: Dziękuję. Po drugie, chciałbym wiedzieć, kto dotykał tych listów. Chodzi o odciski palców.

RUNGE: Ma pan na myśli listy czy koperty?

BARBAROTTI: I jedno, i drugie. Przede wszystkim listy. Koperty były już dotykane przez pracowników poczty, dlatego na niewiele nam się zdadzą.

RUNGE: Rozumiem. Jeśli dobrze pamiętam, to oba listy trzymała w ręku Karin, moja żona. Kiedy je czytała. Dwóch pozostałych dotykałem tylko ja. I...

BARBAROTTI: I?

RUNGE: I ten, kto je pisał, ma się rozumieć.

BARBAROTTI: Pan uważa, że to był on?

RUNGE: Nie mam pojęcia. Ale telefon był od mężczyzny.

BARBAROTTI: Jest pan pewien?

RUNGE: Absolutnie. Chociaż mogło w tym uczestniczyć więcej osób, prawda?

BACKMAN: Ma pan na myśli to, że pojawiło się tam słowo my?

RUNGE: Tak. Poza tym nie tylko jedna osoba ma powód, żeby... no właśnie.

BACKMAN: Żeby co?

RUNGE: Żeby mi życzyć śmierci.

BACKMAN: Miejmy nadzieję, że tak nie jest.

RUNGE: Nadzieję zawsze można mieć.

BARBAROTTI: Z tego, co zrozumiałem, panu się wydaje, że to rodzice, którzy w wypadku stracili dzieci. Ma pan coś więcej na poparcie tych przypuszczeń czy to tylko domysły?

RUNGE: Nie mam nic więcej, ale uważam, że to niepotrzebne.

BARBAROTTI: To dyskusyjna sprawa. Minęło już przecież prawie sześć lat. Czy pan pamięta, żeby coś takiego zdarzyło się zaraz po wypadku? Albo podczas rozprawy sądowej?

RUNGE: Nie... nie, nic takiego sobie nie przypominam.

BARBAROTTI: A później? Do pojawienia się pierwszego listu?

RUNGE: Nie, to się zaczęło od tego listu w czerwcu.

BARBAROTTI: Ponad pięć lat po wypadku?

RUNGE: Zgadza się.

BACKMAN: Czy poza żoną rozmawiał pan z kimś jeszcze o listach, i o telefonie?

RUNGE: Nie. Żonie powiedziałem tylko o dwóch pierwszych listach. Ale mówiłem już o tym wczoraj.

BACKMAN: Tak. Musimy mieć jednak pewność, że niczego nie pominęliśmy. Chcemy wykluczyć pewne rzeczy. Rozumiem, że to, co się stało w dwa tysiące siódmym roku, było dla pana ogromną tragedią. Czy rozmawiał pan o wypadku z przyjaciółmi... rodziną, ze znajomymi?

RUNGE: Nie. Spotykałem się z kilkoma terapeutami i psychologami. Ale poza tym z nikim o tym nie rozmawiałem. Nie mam dużo znajomych, wtedy też nie miałem.

BACKMAN: Kiedy to się stało, Karin nie była jeszcze pana żoną, prawda?

RUNGE: Nie, wtedy moją żoną była Viveka. Rozwiedliśmy się jesienią, jeszcze tego samego roku... w dwa tysiące siódmym. To była wspólna decyzja.

BARBAROTTI: Czy to miało jakiś związek z wypadkiem? Przepraszam, że o to pytam, ale nie chcemy niczego przeoczyć. Zresztą wszystko, co pan powie, zostanie między nami.

RUNGE: To bez znaczenia. Ale to prawda, wypadek bez wątplenia miał wpływ na decyzję o rozwodzie. Postanowiliśmy, że nasze drogi się rozejdą, nie funkcjonowało to dobrze.

BACKMAN: Kiedy pan poznał swoją obecną żonę?

RUNGE: Rozumiem, że musicie o to zapytać, ale jedno z drugim nie ma nic wspólnego... mam na myśli te listy z pogrózkami.

BACKMAN: Pewnie ma pan rację. Ale mimo wszystko proszę odpowiedzieć.

RUNGE: Poznałem Karin w dwa tysiące dziewiątym roku. Pobraliśmy się rok później.

BACKMAN: Czyli jesteście małżeństwem od dwóch lat?

RUNGE: Dwa i pół roku.

BACKMAN: Dziękuję. Myślę, że na razie nie mam więcej pytań. Listy wciąż jeszcze są w analizie i możliwe, że jak skończymy, będziemy musieli jeszcze raz z panem się spotkać. Chcielibyśmy też pobrać od żony odciski palców, jeśli pan nie ma...

RUNGE: Nie mieszajmy jej w to. Byłoby to...

BARBAROTTI: Co takiego?

RUNGE: (Po chwili namysłu) Byłoby to dla nas dużym stresem. Świadomie nie powiedziałem jej o dwóch ostatnich listach... i o tym telefonie. Nie, nie mogę jej o to prosić, to niemożliwe. Zostawmy ją w spokoju.

BACKMAN: Rozumiem, że pan może mieć wątpliwości, ale jeśli te groźby mamy traktować poważnie, musimy...

RUNGE: (Zdenerwowany) Nie, nie, i jeszcze raz nie. To wykluczone.

BARBAROTTI: Moment. Jest jeszcze jedno wyjście.

RUNGE: Jakie wyjście? Nie rozumiem?

BARBAROTTI: Hmm. Wystarczy nam kilka odcisków palców. Chcemy tylko wykluczyć jej... i pańskie... odciski. Co pan na to?

RUNGE: Chodzi panu o to, żebym bez jej wiedzy zostawił wam jej odciski palców, tak?

BARBAROTTI: Może pan przynieść szklanekę, którą trzymała w ręku, czy cokolwiek innego.

BACKMAN: Nie wiem, czy...

RUNGE: Dobrze. Czy coś jeszcze? Czy jeśli przyjdę jutro albo pojutrze, będzie okej?

BARBAROTTI: Doskonale.

– Czasami bywasz bardzo niekonwencjonalny – zauważyła Eva, kiedy wyłączyła nagrywanie, a Albin Runge opuścił pokój. – Żeby nie powiedzieć, pomysłowy. Może od razu usunąć to nagranie?

– Nie trzeba dokumentować każdej rozmowy – odparł Barbarotti. – Ale zgadzam się z tobą.

– Z czym konkretnie?

– Że ten Runge to szczególna postać. Ale trudno się dziwić po tym, co przeżył.

– Masz na myśli ten wypadek?

– Może przed był zupełnie innym człowiekiem. Niełatwo się pozbierać po czymś takim.

– Prawie że niemożliwe – zgodziła się. – Co sądzisz o tych listach z pogrózkami? Co z tym zrobimy?

– Na razie moja pomysłowość się wyczerpała – odparł po chwili namysłu. – Ale dam ci znać, jak coś mi przyjdzie do głowy.

– Ha, ha. Może na razie damy sobie z tym spokój. A nuż wszystko rozejdzie się po kościach. Szczerze mówiąc, taką mam nadzieję.

– Zobaczymy – odpowiedział Barbarotti. – W tej chwili niewiele możemy zrobić.

– To prawda – przyznała Eva. – Dopóki się nie okaże, że morderca zostawił na listach odciski palców.

– Może damy to do programu *Czerwony Alert* czy jak to tam się nazywa – zaproponował Barbarotti.

Sierpień–Wrzesień 2018

Był koniec sierpnia, ulubiona pora roku podpalaczy samochodów. Gunnarowi Barbarottiemu przyszło do głowy, że właśnie w tym miesiącu wybuchało najwięcej wojen. Jakby letnie upały czy oczekiwanie na nie były naturalnym bodźcem do waśni i rozgorzenia tłących się konfliktów. Od słów do czynów, od kłótni i sprzeczek do usankcjonowanej przemocy.

Na mniejszą lub większą skalę i w różnych konfiguracjach.

Na świecie w skali makro: konflikty zbrojne. Wojny.

W Kymlinge i w innych szwedzkich miastach: wojny gangów, bójki na noże, strzelaniny. Gwałty. I niszczenie mienia.

I płonące nocą samochody.

Najgorszy był tydzień przed rozpoczęciem roku szkolnego. Powrót nastolatków do miast z prac zarobkowych lub bezczynnych wakacji zawsze oznaczał więcej pracy dla policji. Barbarotti zastanawiał się, czy faktycznie teraz jest gorzej. Wszyscy twierdzili, że tak, że nastąpiła eskalacja przemocy, tej większej, i tej mniejszej. I niezależnie od tego, jak bardzo chciałby przebić ten balon populistycznych teorii na temat sytuacji w kraju, trudno było temu zaprzeczyć.

Atmosfera stawała się coraz gorsza. I to nie tylko z powodu przekłamanych doniesień i informacji w prasie i mediach społecznościowych. Ale również z powodu demagogii socjaldemokratów. Rzeczywistość przedstawiała się w ciemnych barwach. I uległa polaryzacji. Gangi pozwalały sobie na coraz więcej. Przystępczość zorganizowana zapuszczała korzenie. Taka była ta gorzka prawda. Wybór był prosty: spojrzeć prawdzie w oczy i coś z tym zrobić albo przymknąć oko i udawać, że nic się nie dzieje.

Barbarotti ziewnął.

Zwalczać przemoc?

Dobre pytanie. Właściwie to pytanie nie do niego, bo przecież jest policjantem. Komisarz kryminalny, który nie walczy ze złem – i jego sprawcami – do diabła, jak by to wyglądało?

A może się starzeje? Ale to już inna sprawa, w dodatku nieszczególnie optymistyczna. I kolejna – z wiekiem człowiek potrzebuje więcej kofeiny we krwi, żeby dać sobie ze wszystkim radę? *Coffee – the heartblood of tired men*, jak gdzieś przeczytał.

Barbarotti westchnął i wyjrzał przez okno, żeby zobaczyć, czy Eva już wraca. Zatrzymali się przy 7-Eleven, żeby kupić kawę przed czekającą ich pracą w domu. Dwie średnie *caffè latte* plus ekstra *espresso* do każdej.

Do tego dwie bułki cynamonowe. Barbarotti nie był pewien, czy w drodze do Rocksty zdążą to wszystko wchłonąć, ale zawsze można pojechać okrężną drogą. W każdym razie... Barbarotti skończył swoje przemyślenia, bo Eva Backman już wyszła ze sklepu.

Spółeczeństwo schodzi na psy, a on się starzeje.

Może powinienem był zostać filozofem, pomyślał i jeszcze raz ziewnął.

– Pewnie dlatego tak powiedział – odezwał się, kiedy Eva Backman zajęła miejsce pasażera i podała mu kubek z kawą. – Nie uważasz?

– Co innego mówi, co innego robi – odparła i ugryzła kęs bułki.

– Kiedy cię nie było, trochę myślałem. Jeszcze dwadzieścia czy dziesięć lat temu do takiej sprawy nie jechalibyśmy uzbrojeni.

Eva przeżuwała bułkę i nie odpowiedziała.

– Monsieur Stigman jest, jaki jest, ale uważasz, że dawniej zachęcałby nas, żebyśmy mieli z sobą broń? Do takiej sprawy? Przecież, do diabła, mamy zadać tylko parę pytań... ten cały *Swingbring* nie figuruje nawet w naszych rejestrach.

– Nie *Swingbring*, tylko *Swingbrunn* – poprawiła go.

– To nie zmienia faktu, że mam rację – odpowiedział Barbarotti. – Jedziemy do niego do domu, zadamy mu kilka pytań, podziękujemy za pomoc i wracamy. Czy to uzasadnia posiadanie broni?

– Jest nauczycielem fizyki i trenerem piłki nożnej – oznajmiła Eva Backman.

Barbarotti upił łyk kawy i włączył silnik.

– I co z tego? – zapytał.

– Wiem. – Eva westchnęła. – Zgadzam się z tobą, że to zupełnie bez sensu. Ale jest, jak jest. Żyjemy w takich czasach i nie możemy tego zmienić. Ale obiecuję, że najpierw zapytam, a dopiero potem zacznę strzelać.

– I tak powinno być – odparł Barbarotti. – Będę cię asekurował. A tak na marginesie, to jak się miewa Viktor?

Kiedy Eva Backman wysiadała z samochodu, zadzwonił jej syn, stąd pytanie Barbarottiego.

– Tak sobie – odpowiedziała. – Trudno się rozwodzić w wieku dwudziestu pięciu lat.

Barbarotti pokiwał głową w milczeniu. Pomyślał o własnych rozstaniach. O tym dobrowolnym – mniej więcej – z Heleną, sto lat temu, i o tym z Marianne. Ile to już lat? Sześć. I cztery miesiące, dokładnie licząc. To nie był prawdziwy rozwód, to śmierć ich rozłączyła. Marianne czeka na niego po drugiej stronie, ale to już inna prawda niż ta o rosnącej przemocy... zupełnie przeciwieństwo, można powiedzieć, i może tam, po drugiej stronie, można mieć dwie żony? Marianne i Evę. Kilka razy już nawet o tym rozmawiał z Panem, ale nie dostał jednoznacznej odpowiedzi. Jedyne przyjazny i nieco rozbawiony uśmiech.

Uśmiech z nieba. Całkiem niezłe...

– Z czego tak chichoczesz?

– Nie chichoczę! – zaprotestował i skręcił w Rocksavägen. – Wcale nie chichoczę.

– Ależ chichotałeś. – Eva nie dawała za wygraną. – Przecież słyszałam.

– Hm – mruknął Barbarotti. – W każdym razie musiało chodzić o ciebie i o mnie. Pomyślałem, że już dość długo jesteśmy razem.

– Kłamiesz – powiedziała i położyła mu rękę na kolanie. – Niech ci będzie, pięć czy sześć lat... zależy, jak się liczy. W każdym razie przypominam ci, że w Willi Pickford mieszkam już prawie cztery lata... i co ty na to?

Barbarotti pomyślał chwilę i położył swoją dłoń na jej dłoni. Zgadza się. Eva Backman wprowadziła się do niego w grudniu 2014 roku, zaraz po tym, jak przyznali się do tego, co wszyscy w komisariacie już dawno wiedzieli. Że inspektor kryminalny Gunnar Barbarotti i inspektor kryminalna Eva Backman nie tylko razem pracują w policji Kymlinge, ale są również kochającą się parą. Barbarotti nie miał nic przeciwko takiemu określeniu. *Kochająca się para.*

– Kocham cię, Eva – powiedział. Z całego serca, tak rzeczywiście czuł. W tym samym momencie dostrzegli dwie postacie z płonącymi pochodniami.

– Zobacz, co to?

Eva Backman postukała w szybę samochodu i poprosiła Barbarottiego, żeby zwolnił.

Na równoległej ulicy, prowadzącej do dzielnicy Vårdstaden, potocznie nazywanej Rocksta Light, rodzaj przedmieścia Downtown Rocksta, które z kolei było w Kymlinge tym, co obecnie w ustach polityków nazywa się eufemistycznie „dzielnicą z problemami”, „strefą szczególnie zagrożoną” i tym podobnie. Uwagę komisarz Backman przykuły dwie na ciemno ubrane postacie, zmierzające w tym samym kierunku co oni. W odstępie około piętnastu metrów od siebie. Pierwsza była lekko pochylona i najwyraźniej niosła jakiś ciężki, niemożliwy do zidentyfikowania przedmiot, poruszając się trochę niezdarne. Druga trzymała nad głową cztery płonące pochodnie, dwie w każdej ręce. Obie postacie biegły wzdłuż pustej ulicy, a ich zamiary były aż nadto czytelne. Bez zbędnych słów czy zastanawiania się Barbarotti zaczął hamować mniej więcej dwadzieścia metrów dalej, a wtedy jeden z chuliganów podbiegł do zaparkowanego auta. Pochylił przedmiot, który niósł, okazało się, że to kanister z benzyną, i chlusnął na stary samochód azjatyckiej czy europejskiej marki. Oblał nadwozie, silnik, boki i podwozie i szybko się oddalił, w tym momencie jego kompan miękim i wyćwiczonym ruchem podłożył pochodnię pod wóz.

Efekt był natychmiastowy i piorunujący. Samochód zamienił się w morze ognia, którego blask odbijał się w granatowym wieczornym niebie.

– Jasna cholera! – wykrzyknęła Eva Backman i otworzyła drzwi, zanim auto zdążyło zahamować. Krzyknęła jeszcze coś niezrozumiałego i wyskoczyła na zewnątrz. Barbarotti zatrzymał się, ale zanim zdążyli zareagować, dwójka podpalaczy była już przy SUV-ie zaparkowanym dwadzieścia–trzydzieści metrów za pierwszym samochodem.

Podpalacze powtórzyli tę samą procedurę. Pysznic z benzyny, pochodnia i morze ognia.

Eva chwyciła za drzwi auta.

– Jezu Chryste! Szybko, podjedź do nich!

Barbarotti zrobił, co kazała. Zahamował na wysokości kolejnego zaparkowanego samochodu, niecałe sto metrów dalej. Zdążył tylko pomyśleć, że podpalacze, którzy zbliżali się do swojego trzeciego celu, mogli przecież wybrać inną ulicę, z dużo większą liczbą zaparkowanych wozów, wtedy atak byłby znacznie bardziej spektakularny.

Musieli mieli jakiś powód, pewnie dobrze to przemyśleli. Eva wbiegła na trawnik oddzielający pasy jezdni. Coś krzyknęła, podpalacz z kanistrem miał jeszcze parę metrów do samochodu, ale albo jej nie usłyszał, albo nie

zareagował. Barbarotti wysiadł z samochodu, pobiegł za swoją towarzyszką i zobaczył, że chłopak opróżnił już resztę kanistra, rzucił go obok samochodu i zaczął biec.

Nagle Barbarotti się zatrzymał. Zobaczył, że w samochodzie siedzą dwie osoby. Krzyknął do Ewy, która była trzydzieści–czterdzieści metrów od samochodu. Podpalacz z pochodniami za kilka sekund znalazłby się przy trzecim celu. Wymachiwał jedną, która mu została, z jakimś absurdalnym tryumfem.

– Stać! Policja! Bo będę strzelać! – krzyknęła Eva.

Wtedy Barbarotti domyślił się, że ona też zobaczyła parę w trzecim samochodzie. Jednak ostrzeżenie nie przyniosło skutku. Chłopak biegł dalej, być może nawet zerknął na intruzów, którzy pojawili się znikąd i próbowali mu przeszkodzić w jego dziele zniszczenia. Potem Barbarotti nie był już pewien, czy słyszał jego szyderczy śmiech, czy mu się tylko wydawało. W każdym razie bez cienia wątpliwości chłopak planował ostatnią pochodnią podpalić trzeci wóz tego wieczoru.

Wtedy eksplodował pierwszy samochód; Barbarottiemu przyszło do głowy, że samochody nie eksplodują w taki sposób, ale może inaczej jest z pojazdami dwudziesto- czy trzydziestoletnimi. Eva Backman nie ostrzegła chłopaka drugi raz. Nie było czasu. Po prostu strzeliła.

Celowała w nogi, ale kiedy naciskała spust, podpalacz akurat pochylił się lekko do przodu, żeby podłożyć pochodnię pod samochód, i trafiła go w skroń.

Poniósł śmierć na miejscu. Leżał trzy metry od samochodu, kilkuletniego srebrnego volvo C30. Pochodnie płonęły na ziemi, na szczęście w dostatecznej odległości od oparów benzyny unoszących się wokół pojazdu. Eva Backman od razu po oddaniu strzału podbiegła do samochodu, otworzyła przednie drzwi i powiedziała do całującej się pary, żeby przestali się migdalić, na litość boską, tylko szybko wysiadali.

Barbarotti stał nieruchomo i przez pięć sekund obserwował całe zajście, a potem ruszył za drugim podpalaczem. Odległość między nimi wynosiła przynajmniej pięćdziesiąt metrów, więc zdał sobie sprawę, że i tak go nie dogoni. Dlatego nabrał powietrza w płuca i z całych sił krzyknął. A raczej warknął.

– Stać! Policja!

Wyjął broń i oddał strzał wprost w granatowe wieczorne niebo.

Podpalacz się zatrzymał. Kiedy Barbarotti podbiegł do niego, zobaczył, że chłopak mógł mieć między czternaście a siedemnaście lat.

Wyglądał buńczucznie, ale drżała mu dolna warga.

– Co się stało z...?

– Tak to się kończy – odparł Barbarotti. – Idziemy, później wszystko sobie wyjaśnimy.

Musimy wyjaśnić kilka szczegółów – oznajmił Stigman. – Musimy wyjaśnić kilka szczegółów.

Stigman miał zielony krawat. Dziwne, oczywiście nie krawat, tylko kolor, Barbarotti zastanawiał się, czy to oznacza coś szczególnego, jednak doszedł do wniosku, że i tak się nie domyśli.

W gabinecie było ich czworo. Komisarz Eva Backman, Barbarotti, kobieta z prokuratury o nazwisku Syrén, której stanowiska Barbarotti nie znał, oraz szef wydziału kryminalnego policji w Kymlinge – komisarz Stig Stigman. Został przeniesiony ze stolicy i wbrew wszelkim przypuszczeniom już siódmy rok piastuje stanowisko komendanta policji w tym południowym regionie. Dziewięć dni na dziesięć pod krawatem, dziesięć dni na dziesięć z pełną kontrolą nad wszystkim. Od incydentu na Vårdstavägen minęło zaledwie pół doby; Stigman użył tego właśnie określenia – „incydent” – i było ono właściwe w tej sytuacji.

– Możemy już zacząć – zaproponowała Eva Backman. – Nie czuję się najlepiej i będę wdzięczna, jeśli jak najszybciej to załatwimy.

– To zrozumiałe – odezwał się Stigman. – Nie jestem z lodu i wiem, że niełatwo sobie z tym poradzić. Wcale niełatwo. Dostaniesz potrzebną opiekę psychologiczną, ale musimy postępować zgodnie z procedurami. Z każdym rokiem policja coraz częściej strzela do obywateli, i mają na nas oko. Jesteś świadoma tego, że mają na nas oko?

– Oczywiście – odparła Eva Backman.

– Świetnie – powiedział Stigman. – Doskonale, że zdajesz sobie z tego sprawę. W przyszłym tygodniu przyjedzie ktoś z Göteborga, żeby przeprowadzić śledztwo wewnętrzne, ale już teraz musimy wiedzieć, na czym stoimy.

My? – pomyślał Barbarotti. Na czym my stoimy? Dobrze wiedzieć, że wszyscy gramy w tym samym zespole.

– Ten chłopak nazywał się Moamar Kajali – czytał Stigman z kartki. – Ma... miał... szesnaście lat. Śmierć nastąpiła natychmiast po oddaniu

strzału przez komisarz Evę Backman wczoraj o godzinie dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt dwa na Vårdstavägen. Strzał oddano z broni służbowej, sig sauer, model P226. A więc dlaczego strzeliłaś? Dlaczego?

Komisarz Stigman miał nawyk powtarzania niektórych fragmentów swoich replik, kiedy nie bardzo ufał zdolnościom poznawczym swoich podwładnych. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby go o to zapytać, było to równie nierozsądne jak... jak na przykład kiełbasa wieprzowa w meczecie.

Myślał sobie Gunnar Barbarotti w krótkiej przerwie, która powstała po pytaniu Stigmana. Eva Backman odchrząknęła.

– Dlatego że przez niego zginęłyby dwie niewinne osoby.

– Świetnie – powtórzył Stigman i coś zanotował. – Skąd możemy wiedzieć, że zabiłby dwie osoby, jeślibyś nie zareagowała? To ważne, musimy mieć pewność.

– Zgadza się – powiedziała Eva Backman. – Podpalił dwa inne samochody. Jeden z nich eksplodował, chłopak miał dwie płonące pochodnie w ręku, a chwilę wcześniej jego kompan wylał pół kanistra benzyny na samochód, w którym znajdowało się dwoje ludzi... myślę, że to chyba wystarczy.

– Tak oceniłaś sytuację?

– Tak oceniłam sytuację.

– Ile miałaś czasu na podjęcie... decyzji?

– Około sekundy – odparła Eva Backman.

– Czy zdążyłaś rozważyć inną możliwość?

– Nie.

– Żadnego innego rozwiązania?

– Nie. A co by to niby miało być?

– Trudno powiedzieć – odparł Stigman. – Trudno powiedzieć. I strzeliłaś mu w głowę, tak?

– Na to wygląda – rzekła Eva.

Barbarotti zauważył, że jej szczupłe ciało przeszedł dreszcz. Od głowy aż do stóp. Nie spała ani sekundy, pomyślał. Ani jednej pieprzonej sekundy. Zresztą on też. Zdusił impuls, żeby wstać i wysłać do wszystkich diabłów Stigmana i tę damulkę z prokuratury. Zabrać Evę i jechać do domu. Złożyć dwa wymówienia i wykupić podróż na Malediwy. To tak à propos gadki Stigmana o możliwościach. To całkiem niezły pomysł, więc dlaczego nie?

Ale siedział dalej. Wzdychał demonstracyjnie i trzymał język za zębami.

– Dlaczego? – zapytał Stigman. – Dlaczego strzeliłaś mu w głowę?

– Bo się pochylił – odpowiedziała Eva Backman. – Celowałam nisko, ale się pochylił.

Pani Syrén po raz pierwszy otworzyła usta.

– Czyli nie strzelałaś z zamiarem zabicia go?

Eva Backman, zanim odpowiedziała, popatrzyła na nią zmęczonym wzrokiem.

– Nie, nie miałam zamiaru go zabić. Moim celem było uratowanie życia parze siedzącej w samochodzie. Co zrobiłam... prawda?

Z jakiegoś powodu, zupełnie dla Barbarottiego niezrozumiałego, pani Syrén na tę odpowiedź zareagowała uśmiechem. Wprawdzie słabym i niemalże niewidocznym, ale ten uśmiech rozjaśnił jej twarz sfinksa. Nie, pomyślał, pewnie mi się coś przywidziało. Dlaczego miałyby...?

– A więc celowałaś nisko. – Stigman zastanawiał się nad odpowiedzią podwładnej. – Jak nisko?

– Na wysokość uda – odparła Eva.

– Dobrze – rzekł Stigman. – Z jakiej odległości? Z jakiej odległości?

– Piętnaście metrów. Plus minus dwa metry.

– A on pochylił się tak nisko? – zapytała Syrén. – Miał głowę na... wysokości uda?

– Dokładnie tak – wtrącił się Barbarotti. – Posłuchajcie. Chciał podłożyć pochodnię pod samochód, więc musiał się pochylić... najwyraźniej był praworęczny, lekko się zamachnął do tyłu i wykonał dokładnie taki sam ruch jak przy pierwszych dwóch samochodach. Z wiadomym zamiarem. Czy to przesłuchanie jest naprawdę konieczne? Wydaje mi się, że to trochę brzmi jak...

Barbarotti nie bardzo wiedział, jak to brzmi, i nie chciało mu się szukać porównania.

– Do ciebie jeszcze wrócimy – przerwał mu Stigman i poprawił swój zielony krawat. – Do ciebie i do twoich obserwacji.

– Oczywiście – odparł Barbarotti.

Godzinę później byli już w drodze do domu. Uporali się ze wstępnym przesłuchaniem i dwie sztuki broni służbowej oddali do analizy. Był piątek, trzydziesty pierwszy sierpnia, a kiedy zatrzymali się przy sklepie, żeby zrobić zakupy, zorientowali się, że są na pierwszych stronach gazet, zarówno tych lokalnych, jak i wieczornych. Nie byli wymienieni z nazwisk, ale mimo wszystko.

- Chcesz poczekać w samochodzie? – zapytał Gunnar Barbarotti.
- Nie, mój drogi – odpowiedziała Eva. – Być może przyjdzie czas, że będę musiała kryć się po kątach, ale jeszcze nie teraz.
- Okej. Ale uważam, że powinniśmy zamknąć się co najmniej na dobę. W każdym razie i tak długo dzisiaj nie popracowaliśmy... à propos, jak się nazywał ten drugi chłopak?
- Willenberg. Fredrik Willenberg. Dlaczego pytasz?
- Wydaje mi się, że któreś z moich dzieciaków miało kolegę z klasy o tym nazwisku. Chyba Sara. To dość rzadkie nazwisko.
- Ale przecież on miał nie więcej niż szesnaście lat? A Sara ma już trzydzieści.
- Może jakiś braciszek z poślizgu – odpowiedział Barbarotti. – Ale nieważne, chodźmy do sklepu. Na co masz ochotę?
- Na nic – odparła. – Chcę tylko zasnąć i o wszystkim zapomnieć.
- Ja też. Szkoda, że to nie ja strzelałem, ale trudno.
- I dobrze się stało – powiedziała Eva. – Bo ty byś trafił w samochód.

Obudził się o pierwszej w nocy. Odwrócił głowę i zobaczył, że Evy nie ma w łóżku. Z kuchni dochodził słaby zapach kawy i Gunnar był ciekaw, czy ona w ogóle zmrużyła oko. Za zabicie człowieka trzeba zapłacić, to nic nowego. Bo jeśli po czymś takim nie boli dusza, to zły znak. W innych krajach i w innych czasach strzelanie do bliźniego może i było dla policjanta chlebem powszednim, ale nie teraz i nie pod szerokością geograficzną Kymlinge. Na szczęście. Barbarotti i Eva Backman rozmawiali o tym prawie całą noc, o nieuniknionych konsekwencjach pozbawienia życia drugiego człowieka i o radzeniu sobie z tym. *One way or the other*, jak to się mówi. Barbarotti przypomniał sobie, że kiedyś w Niemczech jego amerykański odpowiednik zwierzył mu się w barze, że na swojej liście ma już trzydzieści trzy osoby. Tylko jedną kobietę, tylko dwoje białych i aż trzydziestu trzech kolorowych mężczyzn w każdym wieku i o różnej przeszłości kryminalnej. Noszę to w sobie, powiedział ten amerykański glina i wzruszył ramionami. Barbarotti nie zapytał go, co ma na myśli. On sam nigdy nikogo nie zabił. Eva Backman też nie, dobrze o tym wiedział.

Do wczorajszego wieczoru, przez prawie trzydzieści lat pracy w policji.

Tak, to zdecydowanie powinienem być ja, pomyślał z dziwnym ukłuciem wyrzutów sumienia i wstał z łóżka.

- Co tu robisz o tej porze?

Nie usłyszał odpowiedzi. Z pewnym niepokojem zszedł na dół po schodach. Znalazł Evę śpiącą pod kocem na sofie. Na stole stał do połowy opróżniony kubek, a ze słuchawek dobiegała piosenka Bessie Smith *Nobody Knows You When You're Down and Out*.

Zgadza się, pomyślał. Znam cię i kocham, Eva.

Wziął Biblię i usiadł w oknie z widokiem na jezioro. Zaczęło padać i pomyślał, że mogłoby tak padać całą noc. To było długie lato, najsuchsze i najgorętsze od wielu lat.

Na chybił trafił otworzył na Księdze Eklezjasty. Na to po cichu liczył. Czasami palec Boży dobrze jest zastąpić własnym. Ale tylko od czasu do czasu i bez osobistych korzyści.

*Na każdą bowiem sprawę jest czas i sąd,
gdyż zło człowieka wielce na nim ciąży.
Bo nie wie wcale, co będzie,
a jak to będzie – któż mu oznajmi?*

Tak to jest, pomyślał i ogarnęło go silne przeczucie, że ta jesień nie będzie taka jak inne w ostatnich latach.

Eva Backman spała jak suseł.

Nie jedną czy dwie noce, ale o wiele więcej. Jakby chciała się pozbyć sekwencji snu. Czy raczej sekwencji z filmu. Z *filmu dokumentalnego*. Jest ciepły sierpniowy wieczór. Młody chłopak biegnie z płonącymi pochodniami, a ona staje w rozkroku, bierze głęboki wdech, naciska spust i strzela.

We śnie/filmie nie ostrzegła. I to jedyna różnica w stosunku do rzeczywistości. Chciała to zrobić, ale słowa uwięzły jej w gardle. Takie złośliwe zafałszowanie. Bo przecież ostrzegła? W każdym razie skierowała pistolet w górę nad biegnącą zdobyczą i dopiero wtedy nacisnęła spust. Momentami padał, tak jak naprawdę było, momentami płonął, jakby to on został oblanym benzyną, a nie samochód.

Budziła się z głuchym krzykiem. Ten głuchy krzyk był niesłyszalny, choć powinien. Czuła w ciele coś w rodzaju uderzenia, jakby to ona została trafiona, a nie ten siedemnastoletni chłopak.

I znów nie mogła zasnąć. O pierwszej, drugiej w nocy albo o piątej nad ranem. Czasami wstawała, czasami nie. Po półgodzinie znów zasypiała. Czy po trzech kwadransach.

Zdarzało się, że Gunnar Barbarotti budził się przy jej boku.

Śpij, mówiła do niego. Wszystko w porządku.

Nic nie jest w porządku, odpowiadał.

Codziennie jeździli do komisariatu. Nie dlatego, że mieli coś ważnego do zrobienia, po prostu wymagało tego dochodzenie. Policjant, który je prowadził, nazywał się Ingvar Bertramsson i przypominał Evie jej byłego męża. I to bynajmniej nie był komplement ani dla Bertramssona, ani dla jej męża. Barbarotti przesłuchał nauczyciela fizyki, Swingbrunna, przez telefon. Wszystko poszło bardzo sprawnie, wcale nie musieli do niego jechać tamtego wieczoru trzydziestego pierwszego sierpnia. Para w srebrnoszarym volvo pewnie straciłaby życie, ale Eva Backman spałaby spokojniej.

Barbarotti zastanawiał się nad tym groźnym zestawieniem. Pytał nawet o to Stwórcę, ale nie otrzymał odpowiedzi. Ale pytania, na które nie ma odpowiedzi, to często pytania źle sformułowane albo pozbawione sensu.

Dochodzenia wewnętrzne zawsze trochę trwają. To leży w interesie publicznym, aby strzały policyjne traktować poważnie, a poważne rzeczy zabierają czas. Komisarz Stigman nie zawiesił komisarz Evy Backman, dostała tylko inne zadania i terapeutę. Terapeuta nie nazywał się Bertrams-son i wcale nie przypominał jej byłego męża, ponieważ to była kobieta. Życzliwie nastawiona i robiła, co do niej należało, jednak na Evie jej troska nie robiła jakiegoś szczególnego wrażenia. Niestety.

Inspektor Barbarotti też dostał inne zadania, ale już bez terapeuty. Wcale mu na tym nie zależało. Wieczorem trzynastego września – dwa tygodnie po incydencie na Vårdstavägen – i po wspólnej długiej kolacji w Willi Pickford z czworgiem ich dorosłych dzieci – Barbarotti wysunął pewną propozycję.

– Urlop – powiedział. – Albo nazwijmy to urlopem na żądanie. Dokądś sobie pojedziemy, najlepiej na dwa miesiące.

Stig Stigman zmarszczył brwi.

– Urlop na żądanie? Urlop na żądanie?

Barbarotti skinął głową, a Eva Backman zaraz po nim.

– Dwa miesiące?

– Tak myśleliśmy – odparł Barbarotti. – Nie brałem dłuższego urlopu od dwudziestu lat.

– Ja też nie – dodała Eva Backman. – A w zaistniałej sytuacji... dla wszystkich byłoby lepiej, gdybyśmy na jakiś czas usunęli się w cień?

Stigman pochylił się nad biurkiem i przez kilka sekund obrzucał Evę trudnym do rozszyfrowania spojrzeniem. Osioł między dwoma żłobami, pomyślał Barbarotti. Jakby nie mógł się zdecydować, co wybrać: kilkuna-stoletniego chuligana martwego czy żywego. Dwoje policjantów w pracy czy na urlopie.

Trochę niesprawiedliwa myśl. Przecież na drugiej szali była para żywych i zupełnie normalnych nastolatków. Ci, którzy siedzieli w samochodzie, Erik Johansson i Emma Pozniak. Wiosną oboje będą mieli po dwadzieścia lat.

– Zrobiłaś, co musiałaś – powiedział Stigman na koniec. – Jestem całym sercem po twojej stronie, rozumiesz?

– I niech tak pozostanie – odparła Eva Backman. – Dochodzenie z pewnością zajmie trochę czasu. Kiedy wrócimy w listopadzie, zaczniemy wszystko od nowa.

– Hm – mruknął Stigman. – Hm.

– Przemyśl sprawę, szefie – powiedział Barbarotti i wstał. – Wystarczy, że szef da nam wstępną zgodę, na przykład dzisiaj po południu.

– Dzisiaj po południu? – zapytał Stigman. – Dzisiaj po południu?

– Poczyniliśmy już pewne plany – wyjaśnił Barbarotti.

Bez przesady, nie poczynili żadnych planów.

Poprzedniego dnia, w czwartek, przed rozmową z komisarzem Stigmanem i przed kolacją z Evą i dziećmi, spotkał w kantynie inspektora Lindhagen.

– Do diabła – powiedział. – O takiej porze roku człowiek tęskni do domu.

– Do domu? – zdziwił się Barbarotti. Nie za dobrze znał swojego nowego kolegę, który niedawno zaczął pracę w policji w Kymlinge. I nie wiedział, skąd jest.

– Do Gotlandii – wyjaśnił Lindhagen. – Północna Gotlandia jesienią to raj na ziemi, mówię ci.

– Naprawdę?

– O tak – odparł Lindhagen. – Turyści już wyjechali, a morze wciąż jeszcze jest ciepłe, powietrze jak aksamit... cholera, jak bym teraz chciał się tam znaleźć.

– Brzmi nieźle – powiedział Barbarotti. – Byłem na Gotlandii dwa razy, ale nie w północnej części.

– W Fårö też nie? – zapytał z niedowierzaniem Lindhagen.

– W Fårö też nie.

– Biedak. Ale nigdy nie jest za późno. Powiedz, jak będziesz miał ochotę, mam tam dom, który ci chętnie wypożyczę. Głupio, żeby stał pusty.

– Naprawdę? Nigdy nic nie wiadomo.

– Spędzamy tam z żoną każde lato. Ale przez resztę roku jeździmy tam sporadycznie, tylko żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Albo dom wynajmujemy. A jesień jest tam taka piękna, mówię ci, szczególnie dla tych, którzy mają trochę rozumu i dobry gust. I urlop.

Dużo więcej Barbarotti się nie dowiedział, ale ziarno zostało zasiane. Kiedy jeszcze tego samego wieczoru to ziarno zaprezentował Evie Backman, okazało się, że padło na podatny grunt.

– Gotlandia – powiedziała. – Byłam tam raz. W pierwszej klasie liceum, na wycieczce rowerowej. W Jaskini Lumelunda i w Tofcie, już nie pamiętam nazwy... właściwie, dlaczego nie?

– Jesień w pięknym odosobnionym zakątku. – Barbarotti rozwinął wątek. – Możemy wędrować setki kilometrów, czytać setki książek i pić setki litrów wina.

– Nie wydaje mi się, żeby Gotlandia miała więcej niż sto pięćdziesiąt kilometrów. – Eva sprowadziła go na ziemię.

– To będziemy chodzić dookoła – powiedział Barbarotti. – Jestem w tym dobry.

W poniedziałek Barbarotti znalazł inspektora Lindhagena w jego gabinecie. Zasłaniały go trzy duże kartony pełne teczek.

– *Cold case* – powiedział, kiedy zauważył Barbarottiego i rozprostował plecy. – Wiesz, jaka jest różnica między *cold case* a górą lodową?

Barbarotti pokręcił głową.

– Góra lodowa przynajmniej w jednej dziesiątej wystaje nad powierzchnię morza. A dobry *cold case* jest na samym dnie. Przynajmniej ten tutaj.

Lindhagen pokazał na kartony.

– Co to takiego?

– Podwójne morderstwo w Rockhälli. Słyszałeś?

Barbarotti pomyślał.

– Niespecjalnie – odparł. – To chyba koniec lat osiemdziesiątych. Wtedy jeszcze moja kariera nie ruszyła z kopyta.

– Zgadza się – powiedział Lindhagen. – Jesień tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego. Jestem tu dopiero pół roku, więc Stigman uważa, że moje niczym niezmacone spojrzenie rozwiąże ten węzeł gordyjski. Sprawca niewykryty; jeśli nawet udałoby się go znaleźć, to na sto procent już dawno nie żyje.

– Nieźle. Jakież nowe dowody?

– Płyta winylowa z odciskami palców. – Lindhagen westchnął. – Bonzo Dog Doo Dah Band, pierwszy raz o nich slysze. Nienawidzę starych przestępstw, dużo bardziej wolę te świeże.

– Hm – mruknął Barbarotti. – Rozumiem twój punkt widzenia, ale przyszedłem tu w innej sprawie.

– Domyślam się.

– Ten dom w północnej Gotlandii, o którym wspominałeś... rzeczywiście mógłbyś go wynająć?

– Nie ma mowy – odparł Lindhagen. – Wynająć, nie. Pożyczyć, tak. Od kiedy?

– Od teraz – odpowiedział Barbarotti. – Na jakieś sześć do ośmiu tygodni?

– Sześć do ośmiu tygodni! Ty to masz szczęście! Poczekaj...

Lindhagen otworzył szufladę biurka i zaczął czegoś szukać. Wyjął pęk kluczy i dużą pikowaną kopertę.

– Tu masz klucze i instrukcję. Reszta leży w teczce na stole w kuchni. Może się zdarzyć, że wpadniemy do was na Wszystkich Świętych, ale to jeszcze nic pewnego. Wprosimy się na obiad, miejsca znajdzie się dla wszystkich. Do piętnastego nie ma problemu.

– Do piętnastego listopada? – zapytał Barbarotti.

– Tak. Tylko pogratulować. Wywalili cię czy co?

– Dochodzenie wewnętrzne – wyjaśnił Barbarotti. – To moja dziewczyna zastrzeliła tego chłopaka na Vårdstavägen.

– Eva Backman... cholera – powiedział Lindhagen. – W takim razie zasługujecie na mały urlop.

Barbarotti skinął głową.

– Co powinienem wiedzieć?

– Wszystko jest w kopercie. Opis drogi i inne szczegóły. Poradzicie sobie.

Barbarotti wziął kopertę i klucze, na kartonie zapisał swój numer telefonu, podziękował i zostawił inspektora z jego starym podwójnym morderstwem.

Fajny facet, pomyślał. Musimy się trochę lepiej poznać.

Skierował kroki do gabinetu Stiga Stigmana, żeby usłyszeć definitywne „tak”.

Prom wyruszył z Nynäshamn punktualnie o 11.25. Wiał południowo-zachodni wiatr, sześć do ośmiu metrów na sekundę, poinformował przez głośnik kapitan, który miał nadzieję, że rejs będzie przebiegał spokojnie i przyjemnie. Fale do półtora metra wysokości. Pasażerów było około 485, a ponieważ prom mógł zabrać trzy razy tyle, zostało jeszcze sporo miejsca. Barbarotti i Eva siedzieli w holu, w pewnej odległości od pozostałych pasażerów. Barbarottiego ogarnęło nieoczekiwane, ale w pełni zasłużone, poczucie wolności. Był osiemnasty października, w morzu odbijały się promienie słońca, a on przez najbliższe dwa miesiące nie będzie musiał chodzić do pracy.

– Wiesz co, Eva, to była najlepsza decyzja, jaką razem podjęliśmy – stwierdził.

Nie odpowiedziała. Odwrócił głowę i spojrzał na nią. W drodze byli dopiero od dziesięciu minut, a ona już spała.

Zakupy zrobili w Visby. W sklepie Coop niedaleko centrum zaopatrzyli się w jedzenie, a w centrum miasta w wino. Tak zalecał Lindhagen w instrukcji. *Można to zrobić w Slite, Lärbro czy w Fårösund, ale i tak wysiadacie w Visby, więc to po drodze.*

Tak też zrobili i wyładowali samochód aż po dach. Ponieważ Barbarotti, jeśli chodzi o nowe technologie, należał do rodziny *dinosaurium simple*, z góry wyposażył się w porządną papierową mapę całej wyspy, poza tym trochę też pamiętał. Na przykład to, że dom, w którym będą mieszkać, leży w Valleviken, w parafii Rute. Ponad pięćdziesiąt pięć kilometrów od Visby, we wschodniej części wyspy. Sąsiednie parafie to Hellvi od południa, Bunge od północy i Lärbro od zachodu. Podobał mu się taki podział. Dwanaście lat temu spędził tu z Marianne kilka dni, w jej małym domku w Hogrån, zamierzali zostać dłużej, ale przeszkodziła im praca. Dzisiaj, bez żadnych trudności, znalazł Hogrån na mapie, ale nie wiedział, jaka to parafia. Chyba że nazywa się tak samo jak miasteczko.

Barbarotti siedział z mapą rozłożoną na kolanach, a Eva prowadziła. Jechali na północ. Słońce grzało niezmordowanie na błękitnym niebie, ruch był niewielki i Barbarotti zaczął liczyć mijające ich samochody. Do Tingstäde, mniej więcej w połowie drogi, naliczył dziesięć. Plus traktor i jeden wrotkarz. Przeniesiemy się tutaj, pomyślał. Pewnie nie potrzebują policjantów, ale można się utrzymać z hodowli owiec i doradztwa. Na myśl o tym zaczął chichotać.

– Znowu chichoczesz, mój książę – powiedziała Eva. – Co się dzieje w twojej szlachetnej głowie?

– Zapomnieliśmy kupić płyn na rozpałkę, zapałki, gazety z krzyżówką i pół kilo cukierków jako prowiant na dłuższy czas odosobnienia w parafii Rute. Samochód nie będzie nam potrzebny, według informacji Lindhagena, mamy rowery do dyspozycji, a to najlepszy środek lokomocji, żeby poznać okolicę. Bezsilnikowy, na dwóch kołach, zamiast czterech. Napędzany siłą mięśni.

Trzeba uważać, żeby nie wpaść w szaleństwo tak zwanej zielonej fali, pomyślał Barbarotti.

Na miejsce dojechali o wpół do szóstej wieczorem. Valleviken było rozległe, budynki w większości stały wzdłuż krętej kilkukilometrowej drogi, prowadzącej z południa na północ. Znajdował się tu dom kultury, mały port, punkt pocztowy i przystanek autobusowy. Oprócz tego Gospoda nad Morzem, która według informacji na tablicy wciąż jeszcze była otwarta w weekendy. Przynajmniej we wrześniu. Dzisiaj jest środa, więc zamknięte. Dom Lindhagena, przez następnych sześć–osiem tygodni ich nowy dom, leżał nieco na uboczu, niedaleko małego jeziora o dziwnej nazwie Fardume. Był to drewniany piętrowy budynek. Na piętrze pod skośnym dachem mieściły się trzy sypialnie, jedna większa i dwie mniejsze. Na parterze znajdował się duży salon z kominkiem i kuchnia.

W rogu działki stał mały domek dla gości, zarośnięty wysoką trawą, dzięki niezwykle ciepłemu latu kwitły tam jeszcze maki. Oprócz tego była komórka, a w niej chłodziarka, narzędzia, rowery i tym podobne. Zadaszone miejsce na samochód. Kilka pojemników na śmieci, beczki na deszczówkę pod rynnami, murowany grill, a prysznic zewnętrzny na szczytowej ścianie domu.

Przy zwirowej drodze rosły cztery stare jabłonki i wysoki, nieprzycięty krzak bzu. W pobliżu nie było żadnych innych domów. Czegóż chcesz więcej?

– Nieźle – oceniła Eva Backman po obejrzeniu domu i ogrodu. – Jak uważasz?

– Jeśli będzie do sprzedania, kupimy – powiedział Barbarotti.

Urządzenie się zajęło im dwie godziny. Kiedy zjedli jakiś makaron, popijając go lampką czerwonego wina, zdążyło się już zrobić ciemno. Mimo to poszli na spacer. Trzymając się za ręce, wędrowali wzdłuż drogi. Minęli boczną uliczkę, prowadzącą do portu i Gospody nad Morzem, przeszli obok domu kultury i szli dalej wzdłuż zatopionych w ciemności domów. Większość z nich, a przynajmniej cztery z pięciu, wyglądała na opuszczone, pewnie stały zamknięte do następnego lata. Kilka budynków, poprzez zapalone światło w oknie czy na werandzie, udawało, że są w nim mieszkańcy, ale przecież żaden włamywacz, który ma choć odrobinę honoru, nie nabierze się na takie tanie chwytły.

Gdzieniegdzie stały zaparkowane samochody, pewnie przed domami zamieszkanymi na stałe. Barbarotti próbował odgadnąć, czym zajmują się tubylcy. Z czego żyją, gdzie pracują – jeśli nie są już na emeryturze albo nie piszą poczytnych kryminałów.

Prawdopodobnie siedzą w Slite. Kiedyś przeczytał, że największym pracodawcą była Cementa Gottlands – harmonijnie wkomponowana w północną, mniej urodzajną część wyspy, gdzie wydobywanie wapienia było od stuleci główną gałęzią gospodarki. Cholerna harówka; źle opłacana praca, brak przepisów BHP, sporo ofiar wybuchów, chroniczne choroby i niska średnia długość życia. Cholera, pomyślał, ci, którzy zbudowali ten kraj, nigdy nie zostali za to nagrodzeni. W każdym razie nie po tej stronie bramy niebios. Zastanawiałeś się nad tym, mój Panie?

Kiedy dotarli do bocznej drogi, zawrócili i stromym zboczem zeszli do miejsca o dziwnej nazwie Puttersjaus.

– Interesująca nazwa – zwróciła uwagę Eva. – Brzmi, jakby to było na Sumatrze czy Grenlandii.

– Wydaje mi się, że widziałem tę nazwę na mleku w sklepie – powiedział Barbarotti. – Mleko i jogurt od krów górskich, coś takiego...?

– Masz sokoli wzrok – stwierdziła Eva Backman. – Skąd się u ciebie wzięło?

– Drobnostka – odparł onieśmielony. – Po prostu nieprzeciętny talent w połączeniu z latami treningu. Jakoś tu mało życia.

– Na razie tylko jeden samochód i kobieta z psem – zgodziła się Eva i spojrzała na zegarek. – Wpół do dziesiątej. Albo takie tu panują zwyczaje, albo zbierają siły na piątek i sobotę...

– Kiedy ta knajpa będzie otwarta?

– Zobacz.

Doszli do domu kultury. Na słabo oświetlonym placu, przed tym wysokim drewnianym, podniszczonym budynkiem stał mężczyzna z rowerem. Prawdopodobnie miał jakiś problem z oświetleniem, bo pochylał się nad kierownicą i dłużył coś w świetle lampy przy przednim kole. Kiedy zauważył zbliżającą się parę, wyprostował się.

– Dobry wieczór – przywitał się Barbarotti. – Jakiś problem?

– Dobry wieczór. Drobiazg. Mogę jechać bez świateł.

Wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat. Był chudy i niewysoki. Miał zaniedbaną ciemną brodę i czarną skórzaną czapkę z daszkiem włożoną tył na przód, do tego okulary i kucyk.

– Pewnie i tak nie ma tu policji – powiedziała Eva.

– Prawie nie ruszają się z Visby – odparł mężczyzna.

Skinął głową na pożegnanie, wsiadł na rower i odjechał w kierunku Puttersjaus.

Eva ruszyła do przodu, ale Barbarotti chwycił ją za ramię i zatrzymał.

– Jasna cholera...

– Co?

– Do diabła, wydaje mi się, że...

– Co takiego?

– Nikogo ci nie przypominał?

Pokręciła głową.

– A niby kogo miałby mi przypominać?

Gunnar Barbarotti zawahał się chwilę.

– Nie jestem pewien, ale...

– Tak?

– Nie, przecież to niemożliwe. Zapomnij o tym.

Eva się zaśmiała. Ale to nie był śmiech radości, bardziej przypominał rodzaj mimowolnego odruchu.

– Trudno zapomnieć coś, czego się nie wie – odparła. – Widzę po tobie, że to coś poważnego.

– To zbyt skomplikowane. Czy nie możemy po prostu założyć, że się pomyliłem?

- Mimo twojego nieprzeciętnego geniuszu?
 - Chwilowo nie działa.
 - Coś takiego? Wykrztusisz w końcu, co ci się wydawało?
- Barbarotti pokręcił głową.
- Pomyślisz, że oszalałem.
 - Ależ mój drogi, ty już jesteś szalony. Ale jeśli nie chcesz zdradzić, kto stał przed domem kultury w... gdzie my jesteśmy?
 - W Valleviken, w parafii Rute.
 - W Valleviken, w parafii Rute... jeśli nie chcesz zdradzić, co ci się wydawało, to trudno.
- Barbarotti pomyślał chwilę.
- Okej. Wydawało mi się, że to był Albin Runge.
 - Albin Runge?
 - We własnej osobie.
 - Chyba zwariowałeś.
 - A nie mówiłem – odparł Barbarotti. – Czyli szalony.
 - No tak – odpowiedziała Eva Backman.
- I ruszyli w kierunku jeziora Fardume. Szli w ciszy, Barbarotti pomyślał, że cisza nigdy im nie przeszkadzała, jednak tym razem było inaczej.

Grudzień 2012–Styczeń 2013

Plamy i strzępy, trzeci grudnia

Byłem na policji. Nie wiem, co mam o tym sądzić, i nie wiem, do czego to doprowadzi. Wprawdzie mają dobre chęci i chcą mi pomóc, ale pytanie, czy zdołają.

Dostali listy do analizy. Nie znaleźli żadnych odcisków palców, oprócz moich i Karin. Trudno się spodziewać czegoś innego. Bo niby dlaczego przestępca (przestępczyni, przestępcy) miałby być tak lekkomyślny i zapomnieć o tym drobiazgu?

Ustaliliśmy, że spotkamy się w styczniu, nawet jeśli nic się nie wydarzy. Ale gdyby wcześniej pojawiły się jakieś listy, ktoś by dzwonił czy w inny sposób mi groził, mam się natychmiast z nimi skontaktować.

Niby traktują mnie poważnie, ale czy rzeczywiście wierzą, że jestem w niebezpieczeństwie? Może tak, może nie. W każdym razie działają według ustalonych procedur, więc nie sądzę, żeby obchodziło ich, co ja o tym wszystkim sądzę. Jednak rozumiem i akceptuję ich wątpliwości.

W oczekiwaniu, że coś się wydarzy, wracam do przeszłości. Teraz, kiedy to piszę, jest wpół do dziesiątej wieczorem. Siedzę w domu sam, Karin wyszła na spotkanie z koleżankami. Zdaje się, że któraś z nich ma urodziny, ale może się myłę. Wróci raczej późno, ale dobrze, że trochę wychodzi. Przebywanie w domu ze mną i moją depresją to nic zabawnego, nawet dla takiego anioła jak ona. Ale o nas opowiem później. Teraz wracam do tego, na czym ostatnio skończyłem.

Moje życie po wypadku najlepiej opisuje słowo „katastrofa”. Rzecz jasna, najgorzej mają ci, którzy zostali dotknięci najbardziej, czyli rodziny, które straciły dzieci, a na swoją rozpacz sprawiedliwie zasłużyłem. Tak wtedy czułem, jeśli w tym kontekście w ogóle można użyć słowa „sprawiedliwość”.

Jakby tego było mało, na początku maja mój ojciec odebrał sobie życie. Najpierw stracił żonę, a potem jego syn zabił osiemnaście osób, kto by to wytrzymał. Powiesił się na drzewie, które dwadzieścia lat temu posadził z moją matką w ogrodzie w Karlstad, był to okazały orzech włoski. Nie zostawił listu pożegnalnego, ale myślę, że większość znajomych i rodziny i tak uznała jego śmierć za dość logiczny koniec.

Pogrzeb odbył się w kościele w Alster, gdzie mamy grób rodzinny i gdzie leży moja matka, która czekała na swego męża. Przyszło sporo ludzi i po raz pierwszy od wielu lat spotkałem Görana, brata ojca. Nigdy nie byli zżyci, bardzo się różnili charakterem i wyznawanymi wartościami. Göran nie pojawił się nawet na pogrzebie mojej matki pół roku wcześniej. Tłumaczył się, że był wtedy w ważnej podróży służbowej w Australii. W całym swoim dotychczasowym życiu nie spotkałem go więcej niż siedem–osiem razy.

Na tradycyjnym poczęstunku po pogrzebie Göran wyjawiał mi jedną rzecz. Był zamożny, nigdy nie cierpiał na brak pieniędzy, posiadał kilka fabryk, większość związana była z przetwórstwem drewna i produkcją masy papierniczej. Dowiedziałem się wtedy, że mój ojciec był udziałowcem kilku fabryk, a ponieważ ja jestem jedynym spadkobiercą, odziedziczyłem po nim spory majątek. Stryj Göran powiedział, że jeśli będę chciał sprzedać akcje ojca, nie będzie mi sprawiać żadnych problemów. Dał mi numer telefonu do adwokata, który może mi w tym pomóc. Nazywa się Iwersen i zajmuje się również wyceną majątku.

Po odliczeniu wszystkich kosztów spadek po rodzicach wynosił ponad czterdzieści milionów koron. Pieniądze wpłynęły na moje konto w połowie sierpnia i muszę przyznać, że poczułem się z tym dość niewygodnie.

Wtedy byliśmy z Viveką już po rozwodzie. Pewnie mogłaby wnieść roszczenia o część mojego spadku, ale tego nie zrobiła. Nie byłoby to zgodne z jej systemem wartości, poza tym, chcę to podkreślić, nasz rozwód przebiegł w zgodzie i harmonii. Nie zamierzałem po prostu jej obciążać swoją depresją i nie chciałem, żeby się lękała, że mogę sobie coś zrobić. Już w czerwcu, trzy miesiące po wypadku, zostawiłem ją i dom, w którym zamieszkaliśmy zaraz po ślubie. Wynająłem dwupokojowe mieszkanie w Fålhagen. Kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem Viveka zadzwoniła do mnie i poinformowała mnie, że kogoś poznała. Pogratulowałem jej; to dziwne, ale nie poczułem ani zazdrości, ani chęci rywalizacji. Było mi to

zupełnie obojętne; jakby jakaś czarna gruba kreska odcięła moje wcześniejsze życie, to przed 2007 rokiem.

Żeby jakoś sobie radzić w nowym życiu, przez pierwsze lato i jesień po wypadku spotykałem się z kilkoma terapeutami. Najwięcej czasu spędziłem z Arnem Lindbergiem (zresztą nasze spotkania nie skończyły się nawet wtedy, kiedy wyprowadziłem się z Uppsali, ponieważ on przeniósł się do Göteborga – choć były trochę rzadsze). Przyjmował mnie w swojej starej drewnianej willi w dzielnicy Kåbo i już samo przebywanie w jego poczekalni, ciemnej i staroświeckiej, było kojące dla duszy. Pamiętam, że kiedy tam siedziałem, czułem się, jakbym uwolnił się od wszystkich grzechów, jakbym uzyskał przebaczenie. Nawet jeśli przez chwilę odnosiłem takie wrażenie, to i tak było to więcej, niż mogłem oczekiwać. Nigdy nie byłem wierzący, ale podczas kilku sesji, kiedy to często tylko siedzieliśmy i milczeliśmy, wyobrażałem sobie, że tak właśnie będzie wyglądało życie po drugiej stronie.

Ale teraz chcę wspomnieć o pewnym wydarzeniu z jesieni 2007 roku, na które można spojrzeć w innym świetle, biorąc pod uwagę groźby pojawiające się pięć lat później. Może powinienem był opowiedzieć o tym inspektorom, z którymi spotkałem się w ubiegłym tygodniu. Wchodząc do komisarjatu, byłem przekonany, że to zrobię, ale coś mnie powstrzymało. Być może zauważyłem za małe zaangażowanie w moją sprawę, rzecz jasna nie mam nic przeciwko nim. Doskonale sobie zdaję sprawę, że łatwo wpadam w narcyzm i paranoję.

Ale krótko i węzłowato; pewnego dnia, pod koniec września, dokładnie pół roku po wypadku, jechałem pociągiem z Uppsali do Sztokholmu. Nie miałem w Sztokholmie nic szczególnego do załatwienia, ale wtedy w ten sposób zabijałem czas. Żeby jakoś przetrwać kolejny dzień. Poza tym Arne Lindberg namawiał mnie, żebym trochę się ruszał, i niekoniecznie zawsze pieszo. Od wypadku czułem silną niechęć, wręcz obrzydzenie, do wszelkich pojazdów, a wyobrażenie, że kiedykolwiek znów będę musiał usiąść za kierownicą, wywoływało we mnie panikę, mającą czysto fizyczne objawy. Strach, zimny pot, dreszcze; te ostatnie w nieco mniejszym stopniu. Nie jeżdżę samochodem czy autobusem, kilka razy jechałem taksówką, kiedy już nie miałem wyjścia, ale zawsze wtedy cierpiałem.

Statek i samolot wchodziły w grę. Nawet pociąg; jakby moja podświadomość widziała różnicę między szynami a drogą. Oczywiście, wypadki zda-

rzają się również z udziałem innych środków transportu niż samochody, ale widocznie dla mojej podświadomości miało to istotne znaczenie.

Tamtego dnia, kiedy zająłem miejsce w wagonie pierwszej klasy, taki mały luksus, na który mogłem sobie teraz pozwolić, naprzeciwko mnie usiadł mój stary znajomy, Seved Karlsson, młodszy asystent z Instytutu Historii Idei. Krótko mówiąc, dawny kolega z pracy. Nigdy razem nie pracowaliśmy, ale znaliśmy się i pozdrawialiśmy.

Zapytałem go, czy wciąż jeszcze pracuje w instytucie, odpowiedział, że tak, więc mu pogratulowałem. Kiedy pociąg opuszczał Uppsalę, siedział i milczał. Miałem wrażenie, że coś mu leży na sercu, ale może mi to przyszło do głowy dopiero później. W każdym razie po chwili powiedział:

Ten wypadek...

Skinąłem głową.

Rozumiem, że to musiało być dla ciebie straszne, ale mimo to muszę cię o coś zapytać.

Znów skinąłem głową.

To nieprawdopodobne, w jak małym kraju żyjemy.

Czekałem. Wahał się i było po nim widać, że się czuje niezręcznie.

Mam kogoś w rodzinie, kto ucierpiał w tym wypadku.

Ucierpiał?

Tak. Mama jednej z dziewczynek, która zginęła, jest moją kuzynką.

Nie odpowiedziałem. Udało mi się nie wybuchnąć płaczem i zdusić impuls, żeby wstać i zmienić wagon.

Przepraszam, że o tym mówię, ale kiedy z nią rozmawiałem, poprosiła mnie...

O co cię poprosiła?

Kilka tygodni temu na uczcie rakowej... wspomniałem, że cię znam. A przynajmniej wiem, kim jesteś, że pracowaliśmy kilka lat w tym samym instytucie.

Rozumiem, odpowiedziałem mu. Pomyślałem, jak bardzo niepasujące jest w tym kontekście określenie „uczta rakowa”. Wreszcie wydusił z siebie, o co chodzi.

Chciałaby z tobą porozmawiać. To znaczy ta moja kuzynka.

Zawahałem się. A potem dałem Sevedowi Karlssonowi mój numer telefonu i powiedziałem, że kuzynka może do mnie zadzwonić, kiedy tylko zechce.

Komisarz Stigman spojrział na zegarek.

– Jeszcze osiem minut – policzył. – Czy mamy coś więcej?

Inspektor Borgsen, złośliwie nazywany Smutasem, ponieważ takie miał usposobienie, pokręcił głową. Asystent Wennegren-Olofsson spojrział przez okno i schował długopis do kieszeni. Inspektor Toivonen drapał się po szyi i milczał. Eva Backman zamknęła notes.

– Może jeszcze ten kierowca autokaru – powiedział Barbarotti i wydało mu się, że słyszy powstrzymywane, ale wyraźne westchnienia wszystkich czterech kolegów. A może nawet i szefa.

– Ach tak? – powiedział szef. – Ach tak?

– Nie wydarzyło się nic nowego, ale intuicja mi podpowiada, że...

– Intuicja? – przerwał Stigman. – Intu-icja?

– Dobrze szef usłyszał – powiedział Barbarotti. – Intuicja mi podpowiada, że nie wszystko jest w porządku. Wprawdzie mamy się z nim spotkać w styczniu, obiecał nam też, że natychmiast da znać, jeśli pojawią się jakieś nowe groźby, ale... ale nie jestem pewien, czy nam ufa.

– Co, do diabła! – wybuchnął Wennergren-Olofsson. – Co to za pajacowanie? Jeśli nam nie ufa, to niech idzie do prywatnego detektywa.

– W Kymlinge nie ma prywatnych detektywów – spokojnie zwrócił mu uwagę Smutas.

– Czy ty, Wennergren-Olofsson, jesteś zaangażowany w tę sprawę? – zapytał Stigman. – Jesteś zaangażowany w sprawę?

– Na szczęście nie – odpowiedział Wennergren-Olofsson. – Tylko taka uwaga.

– Powiem ci, kiedy będzie czas na uwagi – poinformował go Stigman i znów spojrział na zegarek. – Powiedz mi, Barbarotti, czy ta twoja intuicja ma jakieś jądro?

Jądro intuicji? – zdziwił się Barbarotti zdezorientowany. Czy on przypadkiem czegoś nie wypił? Eva Backman przysłała mu z odsieczą.

– Ja też tak uważam – powiedziała. – Nie mamy nic szczególnego, ale wydaje mi się, że powinniśmy się z nim spotkać jeszcze przed świętami. Choćby po to, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, i pokazać, że sprawa jest aktualna. Jest przewrażliwiony i kruchy.

– Kruchy? – zdziwił się Wennergren-Olofsson. – Czy chociaż raz mogliśmy...

– Cisza – przerwał mu Stigman. – Czy szanowny aspirant może się uciścić, jeśli nie ma nic wspólnego z tą sprawą? Barbarotti, co ty o tym sądzisz?

– Zgadzam się z Backman. Uważam, że powinniśmy się z nim skontaktować i zrobić mały rekonesans. Ale oczywiście nie jest to najważniejsze w tym momencie.

Komisarz Stigman pomyślał przez dwie sekundy.

– Odwiedźcie go jutro – postanowił. – Barbarotti i Backman. Pojedźcie do niego do domu. I chcę mieć raport. Niezależnie od rezultatów. Zrozumiano?

– Zrozumiano – odpowiedział Wennergren-Olofsson.

– No proszę, nawet aspirant Wennergren-Olofsson zrozumiał – stwierdził Stigman. – I to by było na tyle. Dziękuję.

– Zadzwoń do niego jeszcze dziś wieczorem – zapewniła Eva. – Nie jest najbardziej zajęta osobą na świecie, chyba że...

– Chyba że co? – zapytał Barbarotti.

– Siedzi w Sali Błękitnej na przyjęciu noblowskim – odparła Eva.

– To już dziesiąty? – zapytał Barbarotti.

– W każdym razie jutro jest jedenasty – odrzekła.

– Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi – przyznał Barbarotti. – A tak na marginesie, kto w tym roku dostał Nobla z literatury? Chińczyk?

– Mo Yan – odparła. – Zgadza się, Chińczyk. I podobno politruk.

– Na pewno w komisji jest ktoś, kto zna chiński – powiedział Barbarotti. – Zobaczymy się dziś wieczorem?

– Siedzę w domu, jeśli ci się chce przyjechać. – Uśmiechnęła się ze zmęczeniem. – Chociaż o ile dobrze pamiętam, to dzisiaj rano obudziliśmy się w tym samym łóżku.

Gunnar Barbarotti udał zdziwienie.

– Naprawdę? To dlatego cały dzień jestem tak wykończony. Ale najpierw pojedę do domu i sprawdzę, jak tam dzieciaki, a potem zobaczymy.

– Okej. A ja zadzwonię do Rungego, obowiązek przede wszystkim.

Albin Runge stanowczo się sprzeciwił wizycie w domu, toteż następnego popołudnia zameldował się u inspektora Backmana w komisariacie w Kymlinge. Cały dzień sypał gęsty śnieg, ale Runge najwyraźniej nie wyjrzał przez okno, zanim wyszedł z domu. Miał na sobie tę samą wiatrówkę co poprzednio, z tą jedynie różnicą, że teraz była cała przemoczona od śniegu, do tego szalik, ale czapki już nie. Kapało z niego i nawet kichnął trzy razy, kiedy tylko usiadł. Może próbuje odebrać sobie życie poprzez zamrożenie, pomyślał Barbarotti i zapytał, czy chce coś do picia. Na przykład kubek ciepłej herbaty.

Runge chętnie przyjął propozycję, a Barbarotti i Eva Backman dotrzywali mu towarzystwa.

– Chcieliśmy zapytać, co słyhać – zaczął Barbarotti. – Jak pan się czuje?

– Tak jak na to zasługuję – odpowiedział Runge. – Żadnych nowych listów ani telefonów, przypuszczam, że o to panu chodzi.

– Przede wszystkim – rzekł Barbarotti. – Ale również o to, czy może coś się panu przypomniało, o czym zapomnieliśmy poprzednim razem.

– A co by to miało być? – zdziwił się Albin Runge i rękawem kurtki wytarł wodę z twarzy.

– Chce pan powiesić kurtkę? – zapytała Eva.

– Nie, dziękuję, nie trzeba.

– Zdarza się, że po czasie coś się nam przypomina. – Barbarotti nie dawał za wygraną. – W każdym razie ja tak mam. Jak pan wie, nie udało nam się jeszcze połączyć listów i telefonu z żadną konkretną osobą... ani osobami. Ale nawet najmniejsza rzecz może naprowadzić na właściwy trop.

– A próbowaliście? – zapytał Runge.

– Czy próbowaliśmy? – zdziwiła się Eva Backman. – Nie bardzo rozumiem?

– Czy sprawdziliście rodziców? O to mi chodzi.

– Jeszcze nie – odparła. – Ale jeśli będziemy mieć na nich coś konkretnego, to na pewno to zrobimy.

– No tak – powiedział Runge zmęczonym głosem.

– Rozumiem pańską frustrację – stwierdził Barbarotti. – Ale musimy pamiętać, że wszyscy ci rodzice stracili swoje dzieci. Nie możemy traktować ich jako podejrzanych, bo to niewłaściwe, zwłaszcza że nic konkretnego na nich nie mamy. Poza tym łatwo się zorientują, że ich podejrzewamy. Czy rozumie pan mój punkt widzenia?

- Absolutnie – odparł Runge. – Lepiej poczekać do następnego razu.
 - Do następnego razu? – rzuciła zaskoczona Eva.
 - Aż mnie zabiją. – Uśmiechnął się jednym z wielu swoich nieszczęśliwych uśmiechów. – Wtedy będziecie mieć więcej konkretów, których szukacie. – Skinął głową w kierunku Barbarottiego. – Tak, teraz już doskonale rozumiem, jaki jest wasz punkt widzenia.
 - Chwilę – zaprotestowała Backman. – Traktujemy te groźby bardzo poważnie, dlatego pan tu dzisiaj siedzi. No i jest pan jedyną osobą, która może nam pomóc. Nawet najmniejszy szczegół może mieć kolosalne znaczenie. Czy po wypadku kontaktował się pan z którymś z rodziców? Zaraz potem czy po jakimś czasie?
 - Albin Runge zawahał się na moment. Tak się przynajmniej wydawało Barbarottiemu. Jakby nagle zaczął rozważać, czy powiedzieć prawdę, czy nie. Ale to oczywiście tylko wrażenie, równie dobrze mógł się po prostu zastanawiać.
 - Nie – odpowiedział. – O ile dobrze pamiętam.
 - Na ogół takich rzeczy się nie zapomina, prawda? – zauważyła Eva. Runge wzruszył ramionami.
 - Może i nie. Ale moja pamięć jest jak sito.
 - Jak sito, mówi pan?
 - Tak.
 - Rozumiem – odparła Eva Backman ze zdziwieniem.
 - Ale mam nadzieję, że pamięć krótkotrwała funkcjonuje dobrze – rzekł Barbarotti. – A więc od naszego ostatniego spotkania nie przyszły żadne nowe groźby?
 - Nie. Żadnych nowych groźb.
 - Gdyby się jakaś pojawiła, proszę się natychmiast z nami skontaktować – przypomniała mu Eva. – Albo jeśli pan sobie przypomni coś, co może być dla nas ważne.
 - Naturalnie. Przecież nie jestem idiotą.
 - Dobrze – rzekł Barbarotti i spojrzał na śnieg za oknem. – W takim razie to wszystko. Odwieźć pana do domu?
 - Nie ma potrzeby. Lubię chodzić.
- Grosik za twoje myśli – powiedziała Eva Backman, kiedy Albin Runge wyszedł.

– Nie są warte nawet połowy tego – odparł Barbarotti. – Nie wiem, jak go ugryźć. Nigdy jednak nie znałem nikogo, kto by miał na sumieniu osiemnaście istnień ludzkich. W takiej sytuacji na pewno dużo się w człowieku dzieje.

– Wyobrażam sobie. Pozostaje nam mieć nadzieję, że nic niespodziewanego go nie spotka ani w Boże Narodzenie, ani w Nowy Rok. Ale jeśli dostanie więcej takich listów, musimy jakoś zareagować.

– I tego się obawiam. – Barbarotti westchnął. – W każdym razie Stigmanowi to się spodoba. I rzeczywiście, to będzie bardzo interesujące zadanie. Nie mówiąc o tym, jak się sprawa potoczy, gdy go rzeczywiście zabiją. Dzień dobry, pani Johansson, wiemy, że państwa syn zginął w wypadku autokarowym kilka lat temu. Czy to pani zabiła kierowcę, który spowodował ten wypadek?

– Wtedy poszukam pracy w Departamencie Operacji Narodowych – powiedziała Eva Backman.

Plamy i strzępy, trzynasty grudnia

Święto Łucji. Sześć lat temu moją matkę przejechał motor. Chciałbym cofnąć czas do dnia przed tym zdarzeniem. Jeśli mógłbym przeżyć moje życie jeszcze raz, zatrzymałbym się właśnie wtedy. Dwunastego grudnia 2006 roku. Dość odważna myśl. Takie życie, nie ma zmiłuj.

Znów byłem w komisariacie. Wezwali mnie, właściwie to nie wiem po co. Może chcą, żebym myślał, że coś robią w mojej sprawie, ale jestem raczej sceptyczny. Jednak nie bardzo wiem, co mieliby zrobić; przesłuchiwanie rodziców zmarłych dzieci nie jest ich wymarzonym zajęciem. Doskonale to rozumiem. Jak zareaguję, kiedy pojawi się następna groźba? Nie wiem. Będę się zastanawiał, jak przyjdzie czas.

W mojej opowieści bez ładu i składu chcę jednak wrócić do momentu, na którym skończyłem poprzednim razem. Dziś wieczorem też jestem sam; Karin pojechała do Göteborga, do swojego brata. Właśnie wrócił do Szwecji po dłuższym pobycie w Afryce, gdzie prowadzi swoje projekty. Ma na imię Alexander, spotkałem go tylko dwa razy, ponieważ prawie cały czas przebywa za granicą. Karin i ja jesteśmy zaangażowani w jeden z jego projektów, dotyczący pomocy ciężko doświadczonym osobom w różnych krajach świata; to wymaga nakładów finansowych, lecz akurat pieniędzy nam nie brakuje. Ale wracam do jesieni 2007 roku.

Odezwała się dopiero po dwóch miesiącach, kiedy już zdążyłem zapomnieć o spotkaniu w pociągu ze Sevedem Karlssonem.

Dzień dobry. Mam na imię Malin. Dostałam pana numer telefonu od mojego kuzyna Seveda. Czy pan się domyśla, dlaczego dzwonię?

Tak się zaczęła nasza rozmowa, kiedy zadzwoniła pod koniec listopada. Nie pamiętam już, co jej odpowiedziałem, może nic.

Czy ma pan coś przeciwko temu, że dzwonię?

Odpowiedziałem, że nie. Nie powiedziałem jej też, że nagle tak mi się zakręciło w głowie, że aż musiałem usiąść. Uznałem, że niekoniecznie musi o tym wiedzieć.

Ebba była naszym jedynym dzieckiem.

Co miałem odpowiedzieć. Milczałem i czekałem.

Chciałabym się z panem spotkać.

Dlaczego?

Żeby spróbować zrozumieć.

Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

A może powiedziałem coś zupełnie innego, ale równie bezsensownego. Pamiętam, że w słuchawce zapadła długa cisza. Wydaje mi się, że kobieta płakała, ale mogę się mylić. W każdym razie na koniec powiedziała:

Czy pan się zgadza?

Na spotkanie?

Tak.

Nie bardzo rozumiem, czemu by to miało służyć, ale jeśli pani zależy, to oczywiście.

Dam panu znać. Mogę nawet przyjechać do Uppsali, tylko muszę się zastanowić kiedy.

Odpowiedziałem, że jeśli chodzi o mnie, to jestem do dyspozycji.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem znów zadzwoniła i powiedziała, że zmieniła zdanie. Że jeśli na tym świecie istnieje człowiek, którego najbardziej nie chciałaby spotkać, to ten, który zabił jej córkę.

Głos miała, jakby była po jakichś prochach. Albo przynajmniej jakby była pijana. Potem już nigdy nie zadzwoniła.

Minęła północ. Przed chwilą zadzwoniła Karin, spotkanie z bratem przebiegło dobrze, ale trochę się przedłużyło, więc przenocuje w Göteborgu.

Powiedziałem, że rozumiem i że ją kocham. Odpowiedziała, że też mnie kocha i przykro jej, że tę noc muszę spędzić sam.

[Plamy i strzępy, dwudziesty trzeci grudnia](#)

Wczoraj przyszedł nowy list. Wyglądał tak samo jak poprzednie. Ale treść była nieco inna.

Jeszcze trzy miesiące. Nie mieszaj w to obcych. Jeszcze się odezwimy. Nemezis

Po przeczytaniu zacząłem się zastanawiać nad znaczeniem tych słów. Najsensowniejsze wytłumaczenie jest takie, że zostały mi jeszcze trzy miesiące życia. Że zabiją mnie za dziewięćdziesiąt dni. Czyli pod koniec marca i jeśli się nie mylę, ten dzień wypada dwudziestego drugiego. To tyle, jeśli chodzi o datę.

Ale co znaczą słowa, że jeszcze się odezwą? Po co? Jeśli i tak mają mnie zabić, to po co wysyłać wiadomość? Dlaczego po prostu mnie nie załatwią, i już?

Jedyne wytłumaczenie jest takie, że czegoś ode mnie chcą, jakiegoś zadośćuczynienia, i że dlatego się odezwą. Czy to oznacza, że mogę się w ten sposób wykupić? Że dają mi szansę?

Przynajmniej wiem, o co tym obcym chodzi. Nikomu nie mogę powiedzieć o liście. Ani najbliższym, ani policji. Czy wiedzą, że byłem na policji? To raczej niemożliwe, ale nigdy nic nie wiadomo.

Postanawiam, że będę służył ich ostrzeżeń. Karin nie może się o tym dowiedzieć, to oczywiste. Policja na razie też nie; nie sądzę, żeby ten nowy list miał dla nich jakiegokolwiek znaczenie.

I to już wszystko na ten temat. Znów się cofam w czasie.

Kiedy patrzę wstecz, trudno mi zrozumieć, jak udało mi się przetrwać rok 2008 i pierwsze miesiące 2009. Dużo podróżowałem. Afryka Południowa, Indie, Brazylia, Argentyna. Im dalej, tym lepiej. Nagle miałem dużo pieniędzy i nie musiałem pracować. Zaraz po powrocie do Uppsali już planowałem następną podróż; może miało to związek z anonimowością. W innym kraju mogłem być kimkolwiek, w Szwecji zawsze byłem kierowcą autokaru, który zabił osiemnaście osób.

Nie utrzymywałem prawie żadnych kontaktów towarzyskich. Tych kilku znajomych, jakich miałem jeszcze z czasów, kiedy byłem z Viveką, odzywało się od czasu do czasu, ale odsyłałem ich z kwitkiem. Zawsze byłem samotnikiem, po wypadku to się jeszcze pogłębiło i stałem się eremitą. Podczas podróży zdarzało się, że spotykałem ludzi, ale zawsze były to krótkie i powierzchowne znajomości.

Sporo czytałem, zarówno literaturę piękną, jak i książki, które miały związek z moim wykształceniem, ale skoncentrowanie się przychodziło mi

z trudem. Żeby spać w nocy, wieczorem musiałem iść na długi spacer. Na godzinę, a najlepiej na dwie. Jediną osobą, z jaką mogłem sensownie porozmawiać, był Arne Lindberg, mój terapeuta, o którym wspominałem wcześniej. Jednak spotykaliśmy się tylko raz w miesiącu. Nawet chciał, żebyśmy spotykali się częściej, ale zawsze znajdowałem jakieś wytłumaczenie. Właściwie to sam nie wiem dlaczego, przecież lubiłem jego gabinet i nasze spokojne rozmowy o wszystkim i o niczym.

W każdym razie pod koniec marca 2009 roku, dwa lata po wypadku, wciąż jeszcze chodziłem po świecie. Straciłem cel w życiu. Być może czekałem, aż coś się wydarzy, ale miałem za słabą wolę, żeby samemu poczynić jakieś kroki. Znalezienie pracy nie wchodziło w grę. Miałem w banku czterdzieści milionów, więc dlaczego zabierać pracę bardziej potrzebującym? Gdybym na przykład dowiedział się, że jestem śmiertelnie chory, zaakceptowałbym to, nie byłbym pewnie najszcześniejszy z tego powodu, ale byłoby mi to obojętne.

Moja nieśmiała tęsknota – bardzo nieśmiała, i chcę to podkreślić – za tym, żeby coś się wydarzyło, wyciszyła się nieco na początku maja 2009 roku. Wtedy w moim życiu pojawiła się Karin.

[Plamy i strzępy, dwudziesty szósty grudnia](#)

Jest drugi dzień świąt, późny wieczór. Odwiedził nas brat Karin Alexander. Przyjechał w Wigilię przed południem, a wyjechał dziś wieczorem. Podziwiam go. Poświęcił życie na czynienie dobra, nie dbając o własne, pomaga potrzebującym na całym świecie. Założył dom dziecka i wioski dziecięce w Azji, Afryce i Ameryce Południowej, zbiera pieniądze, rozmawia z lokalnymi decydentami, objeżdża wsie i miejsca objęte konfliktem zbrojnym, angażuje lekarzy, pielęgniarki i nauczycieli. Krótko mówiąc, ratuje ludziom życie. Robi co w jego mocy, żeby dać dzieciom bezpieczne dzieciństwo, wykształcenie, pełnowartościową żywność i podstawową opiekę zdrowotną, zamiast biedy, głodu, żebractwa, prostytucji i beznadziei. Karin i ja zaangażowaliśmy się finansowo w kilka jego projektów i jeśli dostrzegam jakieś światełko nadziei w swojej marnej egzystencji, jest to właśnie ta pomoc.

Ale już czas opowiedzieć, jak poznałem Karin.

Był początek maja 2009 roku. Dostałem pismo z banku, w którym dziękowali mi, że zostałem ich klientem, ale że czas pomyśleć o bezpiecznym zainwestowaniu moich środków. Odkąd jesienią 2007 roku odziedziczyłem spadek po ojcu, moje pieniądze leżały na zwykłym koncie oszczędnościowym i najwyraźniej w banku uznali, że powinienem lepiej zarządzać swoimi zaskórniakami. Zaproponowali spotkanie, na które poszedłem. Siedzieliśmy w wewnętrznym pokoju przeznaczonym dla klientów: ja, jakiś pękaty jegomość po sześćdziesiątce, który nazywał się Mogren, albo Moberg, oraz młoda kobieta, Karin Sylwander. Poczęstowali mnie kawą i zaczęli tłumaczyć, w jaki sposób mogę uzyskać najlepszy dochód z zainwestowanych środków. Czyli fundusze tu, fundusze tam, obligacje mniejszego i większego ryzyka, dywersyfikacja i tak dalej. W trakcie rozmowy Mogren/Moberg dostał ważny telefon, więc przeprosił i wyszedł. Zostałem sam z Karin Sylwander i wydaje mi się, że jak tylko jej kolega zamknął za sobą drzwi, coś między nami zaiskrzyło. Potem o tym rozmawialiśmy i Karin odniosła takie samo wrażenie. Zapaliło się światełko. Coś w pokoju rozbłysło, obojgu nam zaczęło walić serce. Potem żadne z nas nie pamiętało, o czym rozmawialiśmy, w każdym razie oboje uznaliśmy, że najlepiej będzie, jak wezmę broszury informacyjne i w domu spokojnie wszystko przejrzę. Mogren/Moberg już nie wrócił, schowałem papiery do teczki i spojrzałem na zegarek. Było kilka minut po dwunastej, rozmawialiśmy ponad godzinę.

I wtedy zapytałem, czy mogę ją zaprosić na lunch.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek przedtem zapraszał nieznaną na lunch.

Karin Sylwander wahała się najwyżej dwie sekundy, po czym uśmiechnęła się, przeciągając ręką po ciemnych włosach – znałem ten gest – i powiedziała, że chętnie, ale najpierw musi przypudrować nos.

Wybraliśmy restaurację Gillet. Lunch trwał trzy godziny. Opowiedziałem jej o moim życiu, a ona o swoim. Trochę płakała, ja też.

Kiedy wróciłem do domu, wydawało mi się, że spotkałem anioła. To może niemądre, ale tak uważałem. Na szczęście dwa dni później znów umówiłem się z moim aniołem na kolację.

No i się pobraliśmy. W walentynki w lutym 2010 roku, a wiosną przenieśliśmy się do Kymlinge.

W pierwszych dniach nowego roku w Willi Pickford odbyły się przynajmniej cztery ważne rozmowy. Pierwszą zainicjowała Jenny, córka Marianne. Odkąd jego własna córka Sara wyprowadziła się z domu, Gunnar Barbarotti czuł, że ze wszystkich dzieci Jenny jest mu najbliższa. Szczególnie po śmierci Marianne. Siadali z herbatą przy oknie z widokiem na jezioro i razem ją opłakiwali, i właśnie te wieczory ich połączyły. W ten sposób ich wspólny strup powoli się goił; to jej słowa, nie jego. Jenny cechowała łatwość formułowania wypowiedzi. Jej brat Johan również się wyprowadził z Willi Pickford, a chłopcy Barbarottiego to tylko chłopcy. Tak sobie mówił wbrew własnej woli: „to tylko chłopcy”. Ale taka była prawda, za kilka lat znajdą się w kategorii: „to tylko mężczyźni”, i nic nie mógł na to poradzić. Nie wiedział, czy powinien się wstydzić takich myśli, ale w kobietach, zarówno tych starszych, jak i młodszych, było coś, przed czym kapitulował. Może tak musi być, z czysto biologicznego punktu widzenia, a może to wobec ich inności czuł się nieswojo. Zdumiony i pełen milczącego podziwu po ponad pięćdziesięciu latach na tej ziemi. Doceniał i podziwiał kobiety, przynajmniej niektóre. Patrzył z oddaniem, jak jakiś romantyczny osioł na ich tajemniczą inność, która, jak sobie wyobrażał, je definiuje. Poświęcił pół życia, żeby ją zgłębić. A jednocześnie wcale tego nie chciał; tajemnice ujawnione są cholernie nudne.

Chociaż nie mógł też powiedzieć, że lepiej pojmuje naturę osobników tej samej płci co on. Tutaj rzadko jest co podziwiać, nader rzadko. Ileż to pretenjonalnych idiotów chodzi po tej ziemi, pękających od gotowych odpowiedzi, a niemających żadnych pytań. Chryste Panie, czasami łapał się na tym, że wzdychał na myśl o tym, co z mężczyznami jest nie tak.

Trudno to wszystko zliczyć, odpowiadał mu czasami Stwórca, ale może się przesłyszał.

Kiedy jego przyszywana osiemnastoletnia córka Jenny poprosiła go, żeby usiadł, bo musi z nim poważnie porozmawiać, od razu się domyślił, o co chodzi. W sumie taki głupi.

– Ty i Eva – powiedziała, kiedy już się rozsiedli wygodnie w wiklinowych fotelach. – O was chcę porozmawiać.

Barbarotti przełknął ślinę. Szukał słów. Ale znalazł tylko dwa.

– Nie rozumiem?

– Coś jest nie tak. Przepraszam, że to mówię, ale od śmierci mamy nie minął nawet rok.

– Wiem, ale...

– A wy się już migdalicie.

– Jenny, przykro mi.

– Mnie też.

Barbarotti zobaczył, że rzeczywiście jest jej przykro. Nie była zdenerwowana czy poirytowana, tylko zawiedziona. Barbarotti pochylił się i niezdarnie przesunął dłonią po jej włosach. A potem przyniósł list.

List, który Marianne napisała do niego na krótko przed śmiercią. Na wszelki wypadek. Namawiała go – między innymi – żeby znalazł sobie nową kobietę. Im szybciej, tym lepiej. Na przykład Evę Backman.

Jenny czytała i płakała. Potem pokręciła głową i się roześmiała.

– Czyli wciąż kieruje twoim życiem?

– Powinienem ci go pokazać wcześniej, ale nie wiedziałem, czy takie było jego przeznaczenie.

– Popełniłeś błąd – odparła Jenny i włożyła list do koperty. – Był do ciebie, nie do mnie. Ja też dostałam list.

– Od...?

– Tak. Ale na kopercie napisała, że jest tylko dla mnie, więc nie możesz go przeczytać. Johan też dostał swój, nie czytaliśmy swoich listów.

– Naprawdę?

Barbarotti zgłupiał, ale z tym uczuciem potrafił sobie poradzić.

– Jeśli chodzi o Evę, nigdy bym się nie odważył, gdyby Marianne tego nie chciała.

Jenny spojrzała na niego pustym wzrokiem.

– Kochany tata.

Rzadko nazywała go tatą. Zdarzyło się to może trzy–cztery razy. Ten, który miał prawo, żeby tak go tytułować, był skurwysynem i utracił tę możliwość.

– Okej – powiedział Barbarotti. – Kochałem twoją mamę tak samo jak ty, wiesz o tym, więc jeśli chcesz, żebym...

– Wystarczy – przerwała mu Jenny. – Rozumiem. I naprawdę lubię Evę. I wreszcie przestańcie się ukrywać.

Druga ważna rozmowa była niezwykle krótka. Kiedy Jenny już sobie poszła, Barbarotti wyszedł na balkon i patrzył na jezioro.

– Mój Panie – powiedział. – Co ja mam teraz zrobić?

Najpierw nie usłyszał nic od Stwórcy. Potem coś jakby na kształt chichotu. W przelocie i z tonem lekkiej irytacji:

– Rób, jak ci mówię! Przestań kombinować! Jeszcze coś?

– Na razie nie – odparł Barbarotti.

– To tyle – odpowiedział Stwórca. – Mateusz 5:15.

– Mateusz 5:15?

– Dobrze usłyszałeś.

I nasz Stwórca ulotnił się jak cienki obłok niebieskiego dymu nad lśniąca taflą wody.

Trzecia rozmowa odbyła się kilka dni później w kuchni przy zmywaniu naczyń, ale już bez udziału Barbarottiego i Stwórcy.

– Rozmawiałam z Gunnarem – powiedziała Eva Backman.

– No i co? – rzekła Jenny.

– Chcę, żebyś wiedziała jedno.

– Co takiego?

– Twoja mama jest i zawsze będzie dla Gunnara na pierwszym miejscu. Powinni być razem jeszcze dwadzieścia–trzydzieści lat, a ty powinnaś mieć mamę dużo dłużej. Ale stało się, i się nie odstanie. Ja jestem tu planem B, i to mi wystarczy.

– Planem B?

– Tak.

– Nie możesz tak myśleć.

– Mogę, i jest okej. Poza tym też kochałam twoją mamę i mogę jeszcze poczekać. Jeśli uważasz, że to za wcześnie, możemy to odłożyć na jakiś czas. Albo zupełnie skończyć... chociaż wcale nie mam na to ochoty.

– Okropnie mi głupio.

– Nie pleć – odparła Eva.

Minęło pięć sekund ciszy.

– Mogę cię o coś zapytać? – powiedziała Jenny.

– Pewnie.

– Czy ty też jesteś wierząca? Tak jak mama i Gunnar?

Eva Backman się uśmiechnęła.

– Nie, nie jestem wierząca. A ty?

Jenny wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem, może czasami. Ale wiesz, że Gunnar rozmawia i z Bogiem, i z mamą? Kryje się z tym, ale słyszałam go kilka razy. Prawie zawsze pyta o radę i chyba...

– I chyba co?

– I chyba ją dostaje. Czasami od Boga, czasami od mamy... nie boisz się, że coś mu się poprzestawia od tego w głowie?

Eva zaczęła się śmiać.

– Wtedy przyjdzie czas na plan C. Ale jeśli Gunnar nie byłby trochę szalony, to nie byłby Gunnarem. Mam rację?

– Chyba tak – odparła Jenny. – W takim razie zupełnie nie rozumiem, jak może być policjantem.

– Nikt tego nie rozumie – powiedziała Eva. – Jest jak ta ślepa kura, której zawsze udaje się znaleźć ziarna. W dodatku więcej niż wszystkim innym kurom razem wziętym.

– Czy inni gliniarze wiedzą, że wy... kręcicie z sobą?

– Nie – odparła Eva. – Teraz to ja się wstydzę, ale wtedy wszystko by się cholernie pokomplikowało.

– E tam – powiedziała Jenny. – Jestem pewna, że wiedzą. Przecież to widać.

– W takim razie jakoś to funkcjonuje. My udajemy i oni udają.

– Typowa taktyka dorosłych. Całe szczęście, że jeszcze się do nich nie zaliczam.

Eva Backman pomyślała przez chwilę.

– Dorosły to beznadziejne słowo. Może oznaczać prawie wszystko. Coś dobrego, ale najczęściej coś złego... a nawet fałszywego? Wyrachowanego?

– Zgadza się – powiedziała Jenny.

– O czym rozmawiacie? – zapytał Gunnar, wchodząc do kuchni.

– Opowiadamy sobie świńskie dowcipy – skłamała Eva. – Prawda, Jenny?

– Bardzo świńskie dowcipy – potwierdziła Jenny.

Czwarta rozmowa była telefoniczna i odbyła się następnego dnia, czyli trzynastego stycznia, kiedy to na kolacji w Willi Pickford pojawiło się wyjątkowo dużo osób. Jeden z synów Evy z dziewczyną, córka Gunnara, Sara, z przyjaciółką i Johan, syn Marianne.

– Przepraszam – powiedziała Eva, kiedy zobaczyła numer na wyświetlaczu. – Muszę odebrać.

Wstała i opuściła to rozgadane towarzystwo. Stała w przedpokoju pod schodami.

– Eva Backman, słucham.

– Albin Runge, po tej stronie.

– Coś nowego?

– Właściwie to nie wiem. Ale zdecydowałem się zadzwonić. Zresztą tak się umówiliśmy.

– To prawda. Coś się wydarzyło?

– Tak, telefon... kilka godzin temu. Numer nieznany.

Albin Runge zrobił pauzę i dźwięk był taki, jakby przerzucał kartki. Eva Backman poprosiła, żeby kontynuował.

– Zadzwonił mężczyzna i zapytał, czy byłbym gotowy obciąć sobie kawałek palca.

– Co takiego?

– Tak powiedział. Obciąć sobie palec. Żeby okazać dobrą wolę.

– Tak powiedział? Żeby pan obciął sobie palec... żeby okazać dobrą wolę?

– Dokładnie tak.

Eva Backman pomyślała chwilę. Pożałowała, że wypiła dwa kieliszki wina do kolacji.

– Powiedział coś więcej?

– Poprosił, żebym sfotografował palec i zdjęcie umieścił na Facebooku.

– Naprawdę? Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko. Zresztą i tak nie mam Facebooka.

– Akurat to nie jest żaden problem.

– To prawda.

– Co pan mu odpowiedział?

– Nic. Oprócz „halo” nie powiedziałem nic więcej.

– Czy pan rozpoznał głos? Czy to ten sam co ostatnim razem?

– Możliwe. Ale nie jestem pewien. Prawdopodobnie mówił przez szalik albo coś w tym rodzaju. Brzmiał głucho... jakby był przytłumiony. Ale

sami posłuchacie, bo go nagrałem.

– Świetnie. O której godzinie zadzwonił?

– Jakies piętnaście po szóstej.

Eva Backman spojrzała na zegarek. Wpół do dziewiątej.

– Jak się pan czuje? Bardzo się pan boi?

– Nie, ale pomyślałem, że powinniście o tym wiedzieć.

– Naturalnie, że o wszystkim chcemy wiedzieć. Czy przyjdzie pan jutro przed południem do komisariatu?

– Ale jutro jest trzynasty stycznia. Święto.

– Nie szkodzi. O jedenastej będzie okej?

– Oczywiście – zapewnił ją Runge.

– Jeszcze jedno – przypomniało jej się, zanim skończyła rozmowę. –

Gdzie pan teraz przebywa i czy jest pan sam?

– Jestem w domu. Z Karin. Nie musicie przysyłać samochodu do obserwacji domu.

Poczekamy z tym jeszcze, pomyślała Eva Backman, zakończyła rozmowę i wróciła na kurczaka po azjatycku.

Trynastego stycznia przed południem inspektor Eva Backman spotkała się z Albinem Rungem i odniosła wrażenie, że nic się nie zmienił.

Szczupły, niespecjalnie wysoki, nie do końca ogarnięty. Poza tym skromny, jakby starał się nie zajmować za dużo miejsca. Męczennik? – pomyślała.

W zasadzie wyglądał tak samo jak przy poprzednim spotkaniu, z tą różnicą, że jego nieśmiertelna wiatrówka tym razem była sucha, a wełnianą czapkę zdjął i położył sobie pod siedzenie.

Sprytnie, pomyślała Eva. Prosta metoda, żeby była ciepła.

– Zapraszam – przywitała go inspektor Backman. – Przykro mi.

– Mnie też – odparł Albin Runge.

– Inspektor Backman powiedziała mi o nowym telefonie, ale proszę opowiedzieć mi jeszcze raz, żebym miał pewność, że nic mi nie umknęło – zaczął Barbarotti.

Albin Runge spełnił prośbę inspektora.

Wczoraj dokładnie piętnaście po szóstej zadzwoniła jego komórka. Odebrał i powiedział: halo. Wtedy odezwał się męski głos, być może nawet ten sam co poprzednio, i zapytał, czy miałby coś przeciwko temu, żeby obciąć sobie palec. W celu okazania dobrej woli.

Runge nie odpowiedział, głos w telefonie zaproponował, żeby zrobił zdjęcie obciętego palca i umieścił je na Facebooku. Ewentualnie na jakimś innym serwisie społecznościowym.

– Co było potem? – zapytał Barbarotti.

– Zapadła cisza na kilka sekund i rozmowa się skończyła.

– Okropne – odezwała się Eva Backman.

– Zgadzam się – przyznał Runge.

– Zdaje się, że palce można kupić na sztuki w Burtericks – powiedział Barbarotti. – Przepraszam, chodzi mi o to, że...

Zapanowała cisza. Albin Runge otworzył usta, ale po chwili je zamknął.

– O co ci chodzi? – zapytała Eva i zmarszczyła brwi.

Barbarotti odchrząknął.

– Jeśli ktoś chce mieć dowód w postaci obciętego palca, to przecież sprytniej poprosić o zdjęcie ręki... z brakującym palcem.

– Też tak pomyślałem – odparł Albin Runge.

– Dobrze, że panowie tak się świetnie rozumieją. Ale abstrahując od tego błędu, to czy według pana ta propozycja była poważna?

Runge zamyślił się na dłuższą chwilę.

– Byłem dość zaskoczony – rzekł w końcu. – Jakoś jedno ma się nijak do drugiego.

– Co do czego? – zapytała Backman i zauważyła, że Runge nagle poczuł się zakłopotany. Wcisnął ręce między uda i patrzył w podłogę.

– Czy jest coś, o czym pan zapomniał nam powiedzieć? – zainteresował się Barbarotti.

Runge zawahał się na chwilę.

– Przyszedł jeszcze jeden list.

– Dostał pan jeszcze jeden list oprócz tych czterech, o których wiemy?

– Tak.

– I nie poinformował nas pan?

– Niestety.

Wstyd. Jak uczeń złapany na gorącym uczynku. Eva Backman poczuła nagle niechęć do człowieka, który przed nią siedział. Próbowwała się jej pozbyć, była ciekawa, skąd się u niej wzięła. Czy dlatego, że jest odpowiedzialny za śmierć osiemnastu osób, a w takiej sytuacji trudno znaleźć w sobie sympatię do takiego człowieka? Chyba nie. Chodzi raczej o to, że zwrócił się do policji o pomoc, a jednocześnie sprawia wrażenie, jakby im nie ufał.

– Dlaczego? – zapytał Barbarotti. – Dlaczego pan nam o tym nie powiedział?

– Nie wiem, po prostu jakoś tak wyszło – odparł Runge, wpatrując się we własne buty.

– Czy pan chce, żebyśmy panu pomogli, czy nie? Dobrze, żeby pan się wreszcie zdecydował.

Albin Runge westchnął i podniósł wzrok.

– Proszę mi wybaczyć. Powiniennem poinformować was o tym liście, ale uważałem, że... właściwie to już sam nie wiem, co uważałem.

– Ma go pan z sobą? – zapytał Barbarotti.

– Niestety, nie.

- Co w nim było? Bo pewnie pan go zachował?
 - Tak, zachowałem. Że zostało mi ileś tam dni życia.
 - Ile? – drążył Barbarotti. – Dobrze, żebyśmy wiedzieli, ile mamy czasu.
- Albin Runge siedział w milczeniu przez kilka sekund i wyglądał, jakby się bił z myślami.
- Chyba chodzi o dwudziesty drugi marca.
 - Dwudziesty drugi marca? – powiedziała Eva. – Tak jest napisane w liście?
 - Nie, w liście jest napisane dziewięćdziesiąt dni. Ale jeśli policzymy... od momentu dostania listu... to tak właśnie wyjdzie. I to by się zgadzało, bo...
- Zamilkł.
- Bo co? – zapytała zirytowana Eva Backman. – Dlaczego?
 - Ponieważ dwudziestego drugiego marca zjechałem z drogi i zabiłem osiemnaście osób.
 - Rozumiem – rzekł Barbarotti.
- Eva Backman milczała.
Albin Runge również.
- Chyba ma rację – zauważyła Eva, kiedy zostali sami. – Trudno powiedzieć, jak się ma ten palec do reszty.
- Nie podoba mi się to – stwierdził Barbarotti. – W pierwszych listach nie było konkretnej daty. Nie wydaje się, żeby ten gagatek... czy gagatki... miały jakiś konkretny plan. Wymyślają go na bieżąco, chociaż datę dwudziesty drugi marca warto wziąć pod uwagę.
 - Stigmanowi bardzo się to spodoba, mamy to jak w banku. Może od razu się z nim skontaktować, jak uważasz?
 - Trzynastego stycznia? Nie, do cholery, poczekajmy do jutra, musimy najpierw przeczytać ten list.
 - Okej – powiedziała Eva. – Pod koniec jakby trochę ustąpił. Może od teraz zacznie z nami współpracować.
- Barbarotti wzruszył ramionami.
- Może tak, może nie. Jest w nim coś dziwnego.
 - Też byś taki był, gdybyś miał osiemnastu ludzi na sumieniu.
 - Już to mówiłaś. A może ja to mówiłem, nie pamiętam. Ale co, będziemy tak spekulować czy...?
- Eva Backman wyjrzała za okno.

– Czy będziemy tak tu siedzieć i spekulować? Ja na pewno nie. Jest idealna pogoda na narty.

– Jak sobie życzysz – odparł Barbarotti. – Ale nie więcej niż osiem kilometrów.

Wrzesień–październik 2018

Jesienne dni mijały jeden za drugim. W parafii Rute pierwsze porządne deszcze spadły już na początku maja i wysuszona zieleń zyskała nowe życie. Ku zadowoleniu rolników i pasącego się bydła znów zazieleniła się trawa, zakwitły zdezorientowane wiosenne kwiaty, a w całym kraju nie mówiło się o pogodzie, tylko o klimacie. O planecie, która zaczyna się gotować.

We wszystkich parafiach Gotlandii, tak jak w całym kraju, odbyły się wybory, ale po rządzie wciąż ani śladu. Komisarz Backman i komisarz Barbarotti doszli do wniosku, że już dłużej nie mogą oglądać tych tak zwanych wiadomości; tu obrady sejmu, tam obrady sejmu, w Białym Domu szaleniec, w Korei Północnej szaleniec, na Węgrzech i w Polsce upadające demokracje, Erdogan, Putin, Brexit, do diabła z tym. Szczególnie jeśli ten mroczny, spolaryzowany i pełen konfliktów świat przeciwstawi się okolicy, która ich otaczała i miała im tyle do zaoferowania.

Miejsce chronione, pomyślał Barbarotti. Bezpieczny przedsiónek raj. Chociaż, diabli wiedzą. Ale ze mnie naiwniak, przecież w parafii Rute też jest masa gówna, jak się uchyli pokrywkę. Ale czy koniecznie trzeba uchylić pokrywkę?

Już po pewnym czasie przestali zamykać drzwi na klucz i zostawiali kluczyki w samochodzie. Najczęściej ten wspaniały środek transportu stał nieużywany. Zaledwie po stu latach od narodzin prawie wyparł inne sposoby przemieszczania się z miejsca na miejsce.

Zamiast tego brali rowery i codziennie pedałowali po kilka godzin. Do Kyllaj i Furilden. Do S:t Olofsholm, gdzie Gotlandczycy po raz pierwszy zostali ochrzczeni. Do piekarni Stenugnsbageriet w Gerungs i do wędzarni w Lergrav, oba przybytki zamknięte po sezonie. Jak wszystko inne. Gotlandia to przede wszystkim miejsce letniego wypoczynku, z każdym mijanym sklepikiem stawało się to dla nich coraz bardziej oczywiste.

Ale to żadna strata. W tej ciszy i spokoju była pewna wartość. Coś chronionego, myślał Barbarotti. Chronionego z godnością. Jeździli rowerami

wzdłuż Bästerträsk aż do Ar na północno-zachodnim wybrzeżu, wędrowali kilometrami wzdłuż morza, nie spotkawszy po drodze ani żywej duszy, ani jednego budynku. A kiedy z termosami, kawą i kanapkami z jajkiem siadali po drugiej stronie zatoki, Fårö wydawało im się tak blisko, że mogliby tam przepłynąć w pław. Eva myślała wtedy, że tak mogłaby żyć.

Czy pojęcie bodziec nie jest trochę przeceniane? Nowe doznania? Czy koniecznie ciągle musimy konfrontować się z nowymi wyborami? Z wyzwaniem i nowymi zadaniami z ewolucją, z postępem. Z płonącymi samochodami i podpalaczami z pochodniami w ręku?

To ostatnie wciąż nad nią wisało. Pomimo (a raczej z powodu) sennego krajobrazu, leniwych dni i niezwykłego spokoju ten wieczór wciąż tkwił jej w pamięci. Czasami przypominał o sobie w ciągu dnia, ale przede wszystkim w nocy. Ze snu wyrывały ją ruchy ciała, które wykonuje się przed oddaniem strzału. Zatrzymanie się, rozstawienie nóg i ręce unoszące broń, wdech, wydech, w końcu strzał. Wszystko to zajmuje dwie sekundy. Czasami wydawało jej się, że słyszy odgłos ciała padającego na ziemię, z pochodniami w ręce, niebezpiecznie blisko oblanego benzyną samochodu.

Jestem policjantką, myślała. Zabiłam przestępcę. Taką mam pracę. *So what?* Niech ta cholerna pamięć zostawi mnie w spokoju.

Nie wspominała o tym Gunnarowi Barbarottiemu. Nie było potrzeby, przecież sam widział, kiedy ją to dopadało. Czasami o tym rozmawiali, jednak najczęściej dawali sobie spokój.

O pracy jako takiej sporo rozmawiali. Czy rzeczywiście – pomijając aspekt ekonomiczny – warto to kontynuować aż do emerytury. Jeszcze sześć–siedem lat, może trochę więcej. Czy w dalszym ciągu zostać w Kymlinge, gdzie przepracowali ponad ćwierć wieku? Czy nie czas na zmianę? Oboje od kilku lat mają stopień komisarza, jednak na dalszy rozwój kariery raczej nie mogą liczyć. Może istnieje jakaś alternatywa dla... no właśnie, dla strzelania do zbłąkanych nastolatków? Może wystarczy otworzyć oczy i się rozejrzeć? Może po prostu czas to rozważyć?

Nie, cokolwiek, tylko nie po prostu.

– Lubisz swoją pracę? – zapytała Barbarotti, kiedy pewnego sobotniego wieczoru siedzieli w Gospodzie nad Morzem, czekając na egzotyczną zupę rybną.

– Przecież wiesz, że tak – odparł Barbarotti. – Chociaż najbardziej wtedy, kiedy udaję, że tak nie jest. Dlaczego pytasz?

– Ja też ją lubiłam, aż do teraz. Nie chcę zabijać i nie lubię przestępczości zorganizowanej. Człowiek zna odpowiedź, zanim jeszcze zdąży zadać pytanie.

– Lubisz zagadki? Stare nierozwiązane zabójstwa. Mistyfikacje.

– Owszem. A gdybyśmy w Fårösund otworzyli biuro detektywistyczne?

– Nieduże, dlaczego nie – odrzekł Barbarotti. – Rozwiązywanie zagadek i wsadzanie ludzi do ciupy to sens mojego życia. Nie sądzę, żebym znalazł przyjemność, na przykład, w prowadzeniu autokaru.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie mam pojęcia. – Barbarotti podniósł szklanę z piwem. – Na zdrowie.

– Niezły wykręt.

– Co?

– Przecież to nie przypadek, że akurat to ci przyszło do głowy. Przyznaj się, myślałeś o nim. Na zdrowie.

Barbarotti pomyślał chwilę i poddał się.

– Okej, myślałem o nim.

– Tak sądziłam.

Minęły prawie dwa tygodnie, odkąd pod domem kultury natknęli się na tego faceta z rowerem. Przez kilka kolejnych dni nawet sporo o nim rozmawiali, ale potem zapomnieli o całym zdarzeniu. Barbarotti był gotowy postawić trzydzieści pięć koron, że to był Albin Runge. Eva nie przyjęła zakładu i odrzuciła tę myśl. Albin Runge zmarł wiosną 2013 roku i nie było powodu, żeby podejrzewać, że pięć lat później stał w Valleviken, w północnej Gotlandii, i dłubał przy rowerze.

Ani w żadnym innym mieście świata.

– Jeśli to był on, to na pewno go jeszcze spotkamy – powiedział Barbarotti, kiedy na stole pojawiła się zupa rybna. – Ale masz rację, na razie dajmy sobie spokój.

– Świetnie. Jutro musimy posprzątać. Jak długo zamierzają tu zostać?

– Do niedzieli. Nie więcej niż trzy noce. Damy radę, nawet jeśli Maksio to niemałe wyzwanie.

Maks, albo Maksymilian, to półtoraroczny, jedyny dotąd wnuk Gunnara Barbarottiego. Ma tyle energii co cała drużyna piłki nożnej, włączając rezerwowych, i dla swojej mamy jest prawdziwą radością, a jednocześnie zapewnia jej zajęcie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przynaj-

mniej przez kilka najbliższych miesięcy nic się nie zmieni, dopóki jego tata, Andrej, nie skończy studiów na politechnice w Sztokholmie.

Ale na trzy dni w Valleviken mogli sobie pozwolić. Jedynym zaskoczeniem dla rekonwalescentów policyjnych, Barbarottiego i Backman, był pies, który towarzyszył tej niewielkiej rodzinie. Szczeniak rasy leonberger. Miał dopiero pięć miesięcy, a już ważył trzydzieści kilogramów i był równie żywy jak mały Maks.

– Na razie jest tylko wypożyczony – wyjaśniła Sara. – Ale prawdopodobnie go zatrzymamy. Orpington i Maks świetnie się dogadują.

– Dlaczego, na litość boską, musi nazywać się Orpington? – zdziwiła się Eva, patrząc sceptycznie na tego futrzastego zwierzaka, który bezceremonialnie rozłożył się na sofie brzuchem do góry. – Zawsze mi się wydawało, że psy nazywają się Bull czy Ruff?

– To właściwie dobre dla kury – wtrącił się Andrej – ale hodowca ma też farmę kur i chce sobie zrobić reklamę.

– To tłumaczy sprawę – odparł Gunnar Barbarotti. – Czujcie się jak u siebie w domu.

Dwa dni później w programie było Fårö. I samochód zamiast rowerów. Minął już wrzesień i wszystko było pozamykane. Poza tym przedpołudnie przyniosło im deszcz i dość silny zachodni wiatr, dlatego wioski rybackie, Digerhuvud i Helgumannen, oglądali przez szybę samochodu. Jednak po południu się rozjaśniło, więc na wydmach Norsta Auren w Ananäset zorganizowali sobie piknik. Orpington kąpał się dwanaście razy i zapach mokrego psa towarzyszył im podczas całej drogi do Suderland i Gåsemory Wielkiej, a także potem, gdy wąską, krętą drogą jechali do Dämby. Tutaj gdzieś mieszkał Ingmar Bergman, teraz już rozumieli dlaczego.

Na ostatnim przystanku w Ryssnäset Eva włożyła swoją dłoń w dłoń Barbarottiego i powiedziała, że za kilka dni znów tu przyjadą. Ale na rowerach i tylko we dwoje, nie z powodu tego, że jest jej źle z rodziną i psem, ale każdy wiek ma swoje prawa.

Trudno temu miejscu coś zarzucić. Szczególnie wschodniej części wyspy, pomyślał Barbarotti. Godzinami można siedzieć na kamiennym murze i kontemplować wieczność. Linia brzegowa jest tu łagodniejsza niż na zachodzie – ogólnie mówiąc, ta zielona i pełna owiec wyspa stworzona jest do długich spacerów. Domaga się szacunku, to się czuje, kiedy tylko człowiek zwolni i dostrzeże tę milczącą, wszechobecną harmonię między

niebem, morzem a lądem. Stwórca musiał mieć jedną ze swoich jaśniejszych chwil, kiedy tworzył ten krajobraz, skonstatował komisarz Barbarotti. Tak, jego ewentualne biuro detektywistyczne w Fårösund swoim zasięgiem objęłoby też Fårö.

Wracali promem odpływającym o wpół do siódmej wieczorem. Żeby uniknąć zapachu mokrego i brudnego Orpingtona, Gunnar Barbarotti wysiadł z samochodu podczas tej siedmiominutowej przeprawy. I właśnie wtedy znów go zobaczył. Stał w Fårösund i czekał na prom.

Ta sama czarna czapka z daszkiem. Ta sama broda. To samo chude, lekko przygarbione ciało. Ten sam rower, o ile dobrze pamiętał.

Cholera, pomyślał. Czy mnie oczy nie mylą!

Orzeł może nie dojrzeć swojej zdobyczy raz, ale nie dwa razy.

Począł do wyjazdu gości.

Wieczorem, w nocy i wczesnym rankiem zdążył przemyśleć wiele rzeczy i dojść do pewnych konkluzji. Prawie doskonałych.

– Posłuchaj – powiedział, kiedy już niebieski samochód z córką, zięciem, wnukiem i psem zniknął za zakrętem na drodze do Hellvi i dalej do Visby i Oskarshamn. – Jeśli ktoś bierze prom z Faråsund do Fårö o siódmej wieczorem – w październikowy wieczór i w dodatku z rowerem jako jedynym środkiem transportu – to jaki wniosek można z tego wyciągnąć?

– Że planuje przenocować w Fårö – odpowiedziała Eva bez większego zainteresowania.

– A jeśli trochę bardziej się wysilisz?

– Okej, okej. Wtedy odpowiem, że prawdopodobnie mieszka w Fårö. Ale drugiej części twojego rozumowania nie kupuję.

– Nie przedstawiłem żadnej drugiej części – zaprzeczył Barbarotti.

– Nie musisz. Co byś powiedział na mały spacer przez Fardumevägen? Będziemy mieć trochę ruchu, a przy okazji rozwinięsz swoją myśl.

– Spacer, yes – zgodził się Barbarotti. – Najwyraźniej musisz się trochę dotlenić. Twierdzisz, że go nie widziałaś?

– Widziałam, że stał z rowerem i że to był ten sam facet, którego spotkałiśmy przed domem kultury. Ale nie zgadzam się z tobą, że to Albin Runge.

– Bardzo dziwne – powiedział Barbarotti.

Szli w ciszy piękną drogą wzdłuż bagna. W jakiejś książce o architekturze, która była w domu, przeczytali, że to stary szlak królewski. Połączenie komunikacyjne, które ma już tysiąc lat i łączy Valleviken z kościołem w Rute, i ciągnie się dalej do Bunge i Fårösund.

– Czyli uważasz, że się pomyliłem, tak? – odezwał się Barbarotti, kiedy uszli kilometr czy półtora.

– Jeśli mam być szczerą, to tak uważam. To dziwne, zgadzam się, ale to niecelny strzał.

– Nie zauważyłaś żadnego podobieństwa? Jak odejmiesz włosy i brodę?

Eva Backman wzruszyła ramionami.

- Może tak, przyznaję, ale to nie on. Albin Runge nie żyje, rozumiesz?
- A jeśliby żył, zmieniłabyś zdanie?
- Prawdopodobnie też nie.
- Pomyśl, wśród miliona twarzy człowiek rozpoznaje tę jedną właściwą

– powiedział Barbarotti.

- Albo sobie wmawia, że to ta.
- Założymy się?
- Zawsze chcesz się zakładać. Ale pamiętaj, że to ja najczęściej wygrywam.
- Bo jestem dżentelmenem. Ale teraz to coś poważniejszego.
- Ha, ha. Okej, jeśli ten facet z rowerem to Albin Runge, wygrywasz godzinny masaż stóp. To samo w drugą stronę.
- Przyjmuję zakład.

Dalej szli w milczeniu.

- Ciekawe, jak się dowiemy, kto miał rację – odezwała się Eva. – Tam dalej są tylko jakieś ruiny... chyba już powinniśmy wracać.
- I tak zanosi się na deszcz. – Barbarotti rzucił okiem na ogołoczone z trawy zbocze prowadzące do jeziora Fardume. – Nie musisz się martwić, jak rozwiążemy problem naszego zakładu. Mam pewien plan.
- Już się zaczynam bać.
- To nic takiego – odparł Barbarotti. – Przecież sama powiedziałaś, że musi mieszkać w Fårö. A o tej porze roku nie ma tam wiele osób. Najwyżej kilkaset.
- Jezus Maria, chyba nie zamierzasz tam jechać i pukać do wszystkich drzwi?
- Mój plan dopiero się krystalizuje – wyjaśnił.
- Spodziewałam się tego.
- Ale niedługo będzie gotowy. Coś mi się wydaje, że za chwilę lunie deszcz – powiedział Barbarotti.

Niebo pokryły ciemne chmury, więc Eva zaproponowała, żeby resztę drogi przebiegli.

- Czy ty przypadkiem się tutaj nie nudzisz? – zapytała, kiedy przechodzili przez furtkę.
- Co takiego? – odparł zaskoczony Barbarotti.
- Czy naprawdę tak trudno ci się zrelaksować i cieszyć nicnierobieniem? Ja kocham takie jesienne dni, gdy nic się nie dzieje, tylko spadają liście.

– I krople deszczu z nieba – dodał Barbarotti i szybko wszedł na werandę. – Nie mam z tym żadnego problemu. Ale chwilowo jestem prywatnym detektywem, a tacy jak my pracują całą dobę.

– Albin Runge nie żyje – powiedziała Eva Backman. – A ja tutaj nie pracuję.

Minęło kilka dni, zanim plan prywatnego detektywa Gunnara Barbarottiego się skryształizował.

– Sklep u Nyströma – powiedział, wychodząc z domu w pewne słoneczne, ale wietrzne przedpołudnie. – Ten sklep, pamiętasz, blisko Sudersand. Jeśli się mieszka w Fårö i nie chce się umrzeć z głodu, to trzeba się tam pojawiać od czasu do czasu. Nie ma innego miejsca, gdzie można kupić anchois czy prezerwatywy i inne artykuły pierwszej potrzeby. W każdym razie nie o tej porze roku. Na pewno nie chcesz ze mną jechać?

– Na pewno. Pojadę rowerem do Furilden. Ale baw się dobrze.

– Zadzwoń z promu, jak będę wracał – obiecał Barbarotti. – Żebyś miała czas się przygotować do masażu stóp.

– *Holy cow* – odparła i go pocałowała. – To całkiem ciekawe poznać dzień powszedni prywatnego detektywa.

– Mogę sobie wyobrazić – rzekł Barbarotti.

Szkoda, że nie mam żadnego zdjęcia, pomyślał, krążąc przed sklepem u Nyströma w Fårö. Mógłbym zapytać ekspedientkę. Ale trudno. Pierwszy punkt planu to zrobienie zdjęcia facetowi od roweru, naturalnie z ukrycia, prywatny detektyw musi wykorzystać to, co ma pod ręką. Dla pewności poprosił Smutasa o przysłanie raportu, rzecz jasna przy zachowaniu pełnej dyskrecji, ale jeszcze nic nie dotarło do Valleviken.

Cierpliwości, pomyślał i wszedł do samochodu. Zaparkował za rogiem, dwadzieścia metrów od sklepu. Tu będzie dobry punkt obserwacyjny. Po drugiej stronie ulicy, trochę dalej, jest słynna cukiernia *Sylvis dötrar*, która latem jest obowiązkowym punktem odwiedzin każdego szanującego się turysty. Niestety, dzisiaj, w ten piękny październikowy dzień, jest zamknięta. Pewnie otworzą ją dopiero w maju, pomyślał Barbarotti. Co za dziwna wyspa ta Fårö: przez osiem–dziewięć miesięcy w roku mieszka tu zaledwie pięćset osób, przez pozostałe trzy–cztery, dziesiątki tysięcy. Gdzieś przeczytał, że wielogodzinne kolejki do promu w sezonie to tutaj chleb powszedni. Ach, ci Szwedzi i ich wakacyjne zwyczaje.

Żeby się czymś zająć, zaczął liczyć klientów wchodzących do sklepu. Przez pierwsze pół godziny było ich troje, przez następne pół – dwoje. Niestety, nikogo z rowerem. Z całej piątki cztery to kobiety. Klient płci męskiej wyglądał na jakieś trzynaście lat i przyjechał ręcznie malowanym czterokołowcem. Barbarotti zastanawiał się, jaka jest granica wiekowa dla tego typu pojazdów, ale ponieważ nie znalazł satysfakcjonującej odpowiedzi, dał sobie spokój.

Może to nie jest najodpowiedniejsza metoda do tego typu sprawy, pomyślał, po czym odchylił siedzenie do tyłu i zasnął.

Kiedy się obudził, było już wpół do czwartej. Wysiadł z samochodu i wszedł do sklepu. Nie licząc ekspedientki (tej samej młodej dziewczyny co dwie godziny temu, teraz siedzącej za kasą i coś zapisującej), sklep był zupełnie pusty. Barbarotti przeszedł się między ciasnymi rzędami półek, wziął torbę cukierków, zapłacił i wrócił do samochodu.

Inne części wyspy są pewnie bardziej zaludnione, pomyślał, włożył do ust dwa cukierki i odjechał. W Sudersand na skrzyżowaniu skręcił w lewo i krętą drogą pojechał w kierunku Fårö i Norsta Auren. Na parkingu przy latarni morskiej nie było ani jednego samochodu. Postanowił więc pozostać w aucie. Odjechał kilometr i skręcił w prawo na Skär.

Między Skär a Ekeviken minął dwa pojazdy. Jednym było stare volvo, a drugim traktor z przyczepą, na której pięturył się stos bel siana owiniętych plastikiem. Było dwadzieścia po czwartej, Barbarotti zrobił dwa okrążenia i wrócił pod sklep Nyströma.

Pudło, pomyślał. Prawdopodobnie potrzebny będzie plan B. No, ale czas do domu.

Pojechał przez Dämbę i zdążył na prom o piątej. Na pokładzie było sześć samochodów. I ani jednego roweru. Barbarotti wysiadł z wozu i ustawił się przodem do wiatru. Patrzył na mewy krążące nad promem, niebieskoszarą wodę i linię brzegową Gotlandii. Doszedł do wniosku, że jeśli ktoś chciałby się schować przed światem, to ta pogrążona w jesiennym letargu wyspa nie jest najgorszym miejscem. Natura żyje tu w harmonii i równowadze. Jak w idealnie zgodnym rządzie koalicyjnym.

Marne porównanie; uświadomił sobie, że od wyborów minęło już tyle tygodni, a Szwecja wciąż jeszcze nie utworzyła nowego rządu. Ale co to ma wspólnego z naturą? – zapytał sam siebie. Coś mi się chyba pomyliło.

Prawda, mój Panie? – wymamrotał i ku własnemu zdziwieniu otrzymał odpowiedź. *To typowe*, odrzekł Pan. *Kiedy wreszcie jesteś na właściwej drodze, zaraz zacznasz wątpić!*

No, powiedz – poprosił Barbarotti, a raczej zawołał, żeby przekrzyczeć mewy i warkot silnika, ale Stwórcę nie miał najmniejszej ochoty.

Na właściwej drodze?

Prywatny detektyw westchnął i wskoczył do samochodu. Stwierdził, że Stwórcę Nieba i Ziemi nie zawsze jest łatwym partnerem we współpracy. Ani w małych sprawach, ani w dużych. Zanim skręcił w 147 na Lergrav, przypomniał sobie, że powinien zadzwonić do Evy, żeby zapytać, czy zrobić zakupy w Fårösund, gdzie był zdecydowanie większy wybór niż w sklepie u Nyströma.

Ale w końcu jutro też jest dzień.

– I jak ci poszło? – zapytała Eva.

– I dobrze, i źle – odpowiedział. – W każdym razie dostałem znak, że jestem na właściwej drodze.

– A cóż to za znak, jeśli wolno zapytać?

– Porozmawiamy o tym później – odparł Barbarotti. – A co u ciebie?

– U mnie tylko dobrze. Może trochę mnie boli tyłek. Przejechałam ponad czterdzieści kilometrów. W Furilden jest pięknie i wyobraź sobie, że przez całą drogę spotkałam co najwyżej dziesięć osób. A jak było w Fårö?

– Dwadzieścia osób. Mamy coś do jedzenia? Zapomniałem zrobić zakupy.

– Zobacz tam. – Eva pokazała na reklamówkę leżącą na blacie kuchennym. – Zebrałam górę kurek. Poza tym mamy jeszcze trochę baraniny. Wystarczy?

Barbarotti podszedł i powąchał grzyby.

– Fajna z ciebie dziewczyna – powiedział. – Chcesz, żebym ci pomasażował stopy?

Eva się zastanowiła.

– Jeszcze za wcześnie.

– Aha, chodzi ci...?

– Właśnie. Jeśli dam ci trzy dni na dostarczenie Albina Rungego, to będzie okej?

– Całkowicie – odparł Barbarotti. – Prawdopodobnie wystarczą dwa, ale niech będą trzy, na wszelki wypadek.

Przesyłka do ciebie. Co to może być? Do odebrania w Coop w Lärbro.

– Hm... tak? – zdziwił się Barbarotti.

Leżał na sofie i czytał książkę o bitwie o Visby w 1361 roku. Eva właśnie wróciła z dworu, gdzie sprawdzała skrzynkę pocztową.

– Co znaczy to „tak”?

Barbarotti poprawił koc wokół nóg, unikając jej wzroku. Przez chwilę badał słoje na panelach sufitowych.

– Pomyślałem, że... żeby zbadać sprawę dokładnie...

– Gunnar, o czym ty mówisz?

– Po prostu poprosiłem Smutasa, żeby przysłał raporty.

– Jakie raporty? Chyba nie chcesz powiedzieć, że...?

– Hmm, tak, Runge – odpowiedział Barbarotti. – Teczki z przesłuchań z dwa tysiące trzynastego. Przecież i tak już na niego trafiliśmy... Hmm.

Eva Backman zaczęła się śmiać i rzuciła w niego poduszką.

– Ty szalony glino! Nie potrafisz odpuścić, co?

– Kieruje mną silne poczucie sprawiedliwości – wyjaśnił. – Chcę zostawić świat lepszym miejscem.

– Ojoj. – Eva zrzuciła z nóg drewniaki. – Nie podlec tylko zbyt blisko słońca. Bo tak naprawdę to nic nie mamy.

– Może ty nie masz – odparł Barbarotti nieśmiało. – Ale jeśli już tak wszystkim rzucasz, to może przy okazji dorzuciłabyś trochę drewna do ognia?

Zrobiła, o co poprosił, i wyciągnęła nogi na sofie.

– Mam propozycję.

– Zamieniam się w słuch.

– Przestało padać. Poleżymy na sofie z pół godziny, a potem urządzimy sobie wycieczkę do Ar i Stenkusten... może nawet do Bläse, zrobimy zakupy, a w drodze do domu odbierzemy paczkę w Lärbro. Jak ci się podoba mój pomysł?

– Świetny – powiedział Barbarotti. – I pomyśleć, że każdy dzień można wypełnić takimi drobnymi sprawami.

Kiedy w deszczu zatrzymali się przed Muzeum Wapienia w Bläse (*Zamknięte do maja*), zadzwonił telefon Evy. Spojrzała na wyświetlacz telefonu i odebrała. *Tak, zgadza się i rozumiem*, powtórzyła kilka razy, podziękowała i zakończyła rozmowę.

– Kto to? – zapytał Barbarotti.

– Stigman. Jestem oczyszczona z zarzutów.

– Masz na myśli...?

– Właśnie to mam na myśli. Najwyraźniej dochodzenie wykazało, że nie miałam innego wyjścia i musiałam strzelić.

Barbarotti chwycił jej dłoń.

– Przecież to jasne jak słońce, że nie popełniłaś żadnego błędu. Ani przez moment w to nie wątpiłem.

– Wiem – odparła i pociągnęła nosem. – Przepraszam, ale to cholernie dziwne uczucie. Czuję jakąś pustkę... tak, dokładnie to czuję. Cholerną pustkę.

Pomilczeli jeszcze kilka minut, a potem ruszyli do Kappelshamn i do Lärbro. Deszcz wciąż padał. Barbarotti pomyślał, że człowiek podczas swojej ziemskiej wędrówki czasami dochodzi do leśnej polany, gdzie wszystko jakby się urywa. Gdzie zamazuje się przeszłość i przyszłość, jakby spowijała je mgła, i że teraz te ciągnące się w nieskończoność minuty są taką właśnie polaną. Przeznaczoną na refleksję, ale jednocześnie klaustrofobiczną i lekko przerażającą. Barbarotti dobrze znał to ciągle powracające uczucie, które w każdej chwili może go wypełnić, jeśli pozwoli mu rosnąć. Eva u jego boku teraz też jest na takiej polanie. W poczekalni, w której zapominamy, na co czekamy.

W sklepie w Lärbo, który równie dobrze mógłby znajdować się w Arjeplog czy Ängelholm, wszystko wyglądało jak zwykle. Sklep zawsze pozostanie sklepem. Żadne uczucie nie trwa wiecznie, pomyślał. Ani smutek. Ani żal czy rozpacz. Ani radość. Z wyjątkiem otuchy, ale to nie uczucie, a poza tym trudno ją znaleźć. Nie mówiąc o tym, żeby ją zatrzymać.

Raporty od inspektora Smutasa to osiem opasłych teczek i kilka skoroszytów z niepokładanymi kartkami.

Barbarotti zaczął od skoroszytów, w jednym z nich znalazł to, co najważniejsze. Sześć zdjęć. Rozłożył je na stole w kuchni i przez kilka minut uważnie im się przyglądał, potem poprosił Evę, żeby też rzuciła na nie okiem.

– Przypominają stare portrety pamięciowe, które się robiło, kiedy zamordowali Palmego – skomentował Barbarotti. – Już dawniej przyszło mi to do głowy. Kiedy zajmowaliśmy się sprawą Albina Rungego.

– Kiedy zastrzelili Palmego, musiał mieć nie więcej niż kilkanaście lat – powiedziała Eva i pochyliła się nad stołem. – Dlatego na pewno nie miał z tym nic wspólnego.

– Masz rację – zgodził się Barbarotti. – Ale przypatrz się dokładnie i porównaj z facetem z rowerem. Odrzuć brodę i włosy.

– Przecież nie jestem głupia – zaprotestowała.

Minęło kilka minut, Barbarotti wywnioskował po jej oddechu, że coś jest na rzeczy. Po chwili się wyprostowała i włożyła ręce do kieszeni spodni.

– Cholera, Gunnar, nie wiem, jak to powiedzieć, ale...

– Ale?

– Ale całkiem możliwe, że masz rację.

Barbarotti pokiwał głową z zadowoleniem.

– Witaj w klubie?

– Nie mówię na pewno. Powiedziałam tylko, że możliwe, że masz rację. Ale jest jeden drobiazg.

– Mianowicie?

– Albin Runge nie żyje.

– Wiem.

– Co znaczy to wiem? Przecież facet z rowerem był żywy jak cholera? I przed domem kultury, i na promie.

– Jego ciało nigdy nie zostało odnalezione, pamiętasz?

– Jasne, że pamiętam. Chociaż...

– Chociaż co?

Eva Backman westchnęła.

– Gunnar, jeśli rzeczywiście jest tak, jak ci się wydaje, to chyba rozumiesz, co to znaczy?

Barbarotti złożył zdjęcia i schował je do skoroszytu.

– Zupełnie nie, nie rozumiem, co to znaczy. Poza jednym. – Przesunął ręką po teczkach leżących na stole. – Jeśli to, co nazywasz moim przywi-

dzeniem, się potwierdzi, równie dobrze możemy to wszystko wrzucić do ognia.

– Hm. Nie działajmy zbyt pochopnie. Może powinniśmy jeszcze raz przejrzeć te teczki. Odświeżyć pamięć, minęło już ponad pięć lat. Od tamtego czasu mieliśmy setki innych spraw.

– I następne czekają w kolejce – dodał Barbarotti. – Jesteś gotowa, żeby jeszcze raz to przeczytać?

Eva wzruszyła ramionami.

– Godzinę dziennie mogę poświęcić. Może dwie... w końcu nie jesteśmy zawaleni robotą. Ale najpierw musisz być pewien tego, co mówisz.

– Ja?

– No dobrze, my. Jednak bardziej ty...

Eva się uśmiechnęła.

– Spokojnie – rzekł Barbarotti i poklepał teczkę, którą przed chwilą zamknął. – Teraz, kiedy już coś mamy, powinno pójść jak z płatka.

Zaśmiała się.

– Dlaczego nie wyjechaliśmy do Grecji albo Hiszpanii?

– Bo nic nie dzieje się przypadkiem – odparł Gunnar Barbarotti. – Nawet to, że wylądowaliśmy... w parafii Rute, w dodatku w październiku dwa tysiące osiemnastego roku. Jestem przekonany, że to nie przypadek.

– A może wręcz przeciwnie. Może wszystko jest przypadkiem.

Gunnar Barbarotti pokiwał głową.

– Jeśli mam być szczery, to nie wiem. Ale to nie oznacza, że jest inaczej, tylko dlatego, że w to nie wierzymy.

– Nie oznacza, że nie... – powtórzyła Eva Backman. – Zawsze mam problem z... no... z podwójną negacją. Nie lubię tego.

– W takim razie przepraszam. Ale jeśli jest w tym jakiś sens, to musimy go znaleźć. Nikt inny nie ma żadnych wskazówek oprócz...

Barbarotti zwrócił wzrok ku sufitowi.

Eva pokiwała głową.

– Wiem, Gunnar. Wiem.

Styczeń–Marzec 2013

Plamy i strzępy, piętnasty stycznia

Nie wiem, co o tym myśleć.

Od tego idiotycznego polecenia, żebym sobie odciął palec, nie pojawiły się żadne nowe listy ani nikt nie dzwonił. Trzynastego stycznia znów byłem na policji i wszystko im powiedziałem, ale wciąż nie wiem, czy pracują nad wyjaśnieniem mojej sprawy. Zastanawiam się, czy nie powinienem o wszystkim powiedzieć Karin, ale kiedy o tym pomyślę, czuję, że byłoby to szaleństwem. Wie o dwóch pierwszych listach, i to wystarczy. Wyprowadziliśmy się z Uppsali do Kymlinge, żeby uciec od przeszłości i zacząć nowe życie. Załamałaby się, gdyby się dowiedziała, że po tylu latach wciąż ktoś chce mnie skrzywdzić. Czuję to instynktownie i chcę ją przed tym uchronić. Jest aniołem, bardzo kruchym aniołem, i nie chcę, żeby nasze wspólne życie przesłaniało to mroczne wydarzenie z mojej przeszłości.

Ale teraz o zupełnie innej sprawie. Jeszcze przed wyprowadzką z Uppsali próbowałem czymś zająć myśli i wróciłem do swoich zainteresowań akademickich: do Erazma z Rotterdamu, olbrzyma nad olbrzymami, i Marcina Lutra. Byli w kręgu moich zainteresowań już w czasie studiów, a ponieważ w związku z odziedziczonym spadkiem stałem się niezależny finansowo, bez reszty mogłem poświęcić się tym renesansowym myślicielom, nie czując przymusu, że koniecznie muszę coś opublikować. Mogłem czytać, zgłębiać ich i pisać. Czasami bawię się myślą, żeby za piętnaście–dwadzieścia lat opublikować prawdziwą cegłę. Ale na razie to tylko fantazja, nic poważnego.

Z tego powodu może sensownie byłoby zostać w Uppsali, ale w dzisiejszych czasach równie dobrze można pisać i studiować nawet w miejscach, które nie mają znamienitych uniwersytetów czy bibliotek. Nie trzeba przeżywać w Carolinie Redivivie. Poza tym w Kymlinge też jest szkoła wyższa.

Tak więc kilka godzin dziennie nad tym pracuję w naszym pięknym domu na Strandvägen. Po ślubie Karin zakończyła pracę w banku i teraz większość czasu poświęca działalności charytatywnej Alexandra. W ciągu tych trzech lat, odkąd tu mieszkamy, odbyła z nim kilka dalekich podróży, żeby sprawdzić, jak działają założone przez niego wioski dziecięce. Bardzo ich oboje podziwiam za zaangażowanie i cieszę się, że też mogę mieć w tym swój udział. Mamy z Karin wspólnotę majątkową; kiedy ludzie sobie ufają, tak jest najlepiej.

Czasami śnią mi się moje podróże autokarowe, zawsze wtedy budzę się zlany zimnym potem. Wprawdzie nic nie pamiętam z samego wypadku, ale rozpaczliwe krzyki dzieciaków, płomienie i cierpienie umierających wciąż trawia mi mózg. Myślę, że to był błąd, że też wtedy nie zginąłem. Nie powinienem być wśród żywych. Ale może to kara i w rzeczywistości nie-trudno zrozumieć, że ktoś mi grozi, niezależnie od tego, kto taki. Ludziom się wydaje, że tak łatwo wszystko zostawić za sobą, pogodzić się z tym i żyć dalej, ale to nie takie proste. Przeszłość zawsze nas w końcu dopadnie, patrz Erazm i Luter.

Do dwudziestego drugiego marca zostały jeszcze ponad dwa miesiące. Czy jedynie tyle mam czasu?

[Plamy i strzępy, dwudziesty ósmy stycznia](#)

Wczoraj dostałem kolejny, szósty list.

Boisz się? Czy się cieszysz? Jeszcze pięćdziesiąt cztery dni. Nemezis

Tak jak obiecałem, zadzwoniłem na policję. Przełączyli mnie do inspektora Evy Backman, która prowadzi moją sprawę. Dzisiaj po południu wybieram się do nich. Chętnie się dowiem, czy sprawa posuwa się do przodu. Czy w ogóle coś robią.

Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak by to miało wyglądać. Odszukać wszystkich rodziców, którzy prawie sześć lat temu stracili dziecko, na nowo rozgrzebywać rany i każdego z nich podejrzewać, to przecież absurdalne... czemu by miało służyć?

Jednak to musi być ktoś z nich.

Boisz się? Cieszysz się?

Ani jedno, ani drugie, taka jest moja odpowiedź.
Chcę tylko tego uniknąć.

Dzień dobry, panie Runge. Proszę usiąść. Zaraz przyjdzie inspektor Barbarotti.

Albin Runge usiadł. Eva Backman spojrzała na niego; przynajmniej zmienił wiatrówkę na porządną kurtkę zimową. Na głowie miał grubą wełnianą czapkę. Nic dziwnego, bo na dworze było minus dziesięć stopni.

– Kurtkę może pan powiesić na krześle.

– Dziękuję.

Runge powiesił kurtkę i położył na stole plastikową szaro-żółtą teczkę. Usiadł i założył nogę na nogę. Spojrzał na Evę Backman, jakby oczekiwał, że zaraz powie mu, iż wszystko jest pod kontrolą i nie musi się niczym przejmować.

A może obudziła w nim coś innego? Uczniaka (na nowo), który przyszedł po dyplom za wzorowe sprawowanie i postępy w nauce? Albo wręcz odwrotnie: pacjenta onkologicznego, który w przednim płacie mózgowym ma nieoperacyjnego guza i zaraz usłyszy diagnozę?

Niezdecydowanie, zdążyła pomyśleć Eva Backman, gdy do pokoju wszedł Gunnar Barbarotti. To słowo, którego Eva Backman używa bardzo rzadko, prawie nigdy, ale Runge to nieodgadniona zagadka, toteż jest tu uprawnione.

A może to jej własne niezdecydowanie, nie jego?

– Słyszałem, że coś nowego się wydarzyło – powiedział Barbarotti i podał rękę Rungemu.

– Niestety – odparł Runge.

Pokazał na plastikową teczkę.

– Jaka informacja tym razem? – zapytała Backman. – Może pan jeszcze raz powtórzyć?

Runge odchrząknął.

– Boisz się? Czy się cieszysz? Zostały jeszcze pięćdziesiąt cztery dni.

– Podpisano Nemezis?

– Tak.

– Liczba dni też się zgadza, jeśli policzymy od dwudziestego drugiego marca?

– Zgadza się – odpowiedział Runge. – Od wczoraj pięćdziesiąt cztery dni. Jakkolwiek by liczyć.

– Hm – mruknął Barbarotti. – Żadnych nowych telefonów?

– Nie.

– Może nasuwają się panu jakieś wnioski... czy przemyślenia... związane z tym listem?

Runge pokręcił głową.

– Nic szczególnego. Tylko że czuję się okropnie.

– To zrozumiałe – wtrąciła Eva Backman. – Podejrzewam, że i tym razem nie znajdziemy interesujących nas odcisków palców, ale wszystko sprawdzimy. Skąd jest pieczętka na kopercie? Da się odczytać?

– Chyba Göteborg. Jest trochę niewyraźna, ale tak mi się wydaje.

Eva Backman popatrzyła na kopertę i pokiwała głową. Ale jako tako widoczne były tylko ostatnie litery. Zresztą *borg* to równie dobrze może być *berg*.

– Żona nie dotykała koperty? – zapytała inspektor Backman.

– Nie, nikt inny oprócz mnie. Czy mogę o coś zapytać?

– Proszę pytać o wszystko – odpowiedział Barbarotti.

Runge poprawił okulary na nosie.

– Jak to wygląda z waszej strony? Doszliście już do jakichś wniosków?

Eva Backman spojrzała na Barbarottiego.

– Co pan ma na myśli? – zapytała.

– Jestem po prostu ciekawy, czy już zaczęliście sprawdzać rodziców.

– Wkrótce – odparł Barbarotti. – I obiecujemy, że dowie się pan natychmiast, jak coś będziemy mieli.

Tere-fere, pomyślała Eva Backman. Nic nie mamy i wcale się na to nie zanosz. Ale co innego mu odpowiedzieć?

– Zaczęliście ich już przesłuchiwać? Więc twierdzicie, że zaczęliście ich już przesłuchiwać? – zapytał Runge.

– W pewnym sensie – odparł Barbarotti. – Sporządziliśmy listę, według której będziemy ich sprawdzać. To niezwykle delikatna sprawa. Mam nadzieję, że pan rozumie.

– Tak – rzekł Runge zakłopotany. – Zastanawiałem się, co się stanie, jeśli znajdziecie właściwą osobę. Przecież ona... on czy oni... nie przy-

znają się tylko dlatego, że ich o to zapytacie. Będzie jedynie wiadomo, że poinformowałem policję. A przecież nie o to chodzi.

– To prawda – zgodziła się Eva Backman. – Czy ma pan jakieś propozycje, co powinniśmy zrobić, żeby... no właśnie, żeby uniknąć komplikacji?

– Niestety, nie. – Runge pokręcił głową. – Ale chyba macie... jakieś procedury?

– Oczywiście – zapewniła go Backman.

– Dobrze wiedzieć – odparł Albin Runge z lekką złośliwością.

– Obserwowanie czterdziestu osób wymaga ogromnych nakładów – dodał Barbarotti po krótkiej przerwie. – Poza tym nie mamy pewności, czy autor listów... i telefonów... rzeczywiście chce zrobić to, co pisze. Może po prostu chce pana przestraszyć. Zareagujemy, kiedy przyjdzie pora.

– W jaki sposób?

– Będziemy pana obserwować. Postaramy się, żeby dwudziestego drugiego marca był pan nieosiągalny. Ukryjemy pana tu, na posterunku, albo gdziekolwiek indziej.

– A potem, jak wyjdę, mnie zastrzeli, tak? Albo dzień wcześniej?

– To prawda, istnieje takie ryzyko – przyznał Barbarotti. – Ale mamy jeszcze trochę czasu, a jedyną osobą, która naprawdę może nam pomóc, jest właśnie pan. Najmniejsze podejrzenie, coś, co się może wydawać zupełnie nieistotne... cokolwiek, musimy o tym wszystkim wiedzieć. Rozumie pan?

Albin Runge siedział w milczeniu przez kilka sekund i wiercił się na krześle.

– Jest jeszcze coś – powiedział.

– Co takiego? – zapytał Barbarotti.

– To pewnie nic ważnego, ale zapomniałem o tym powiedzieć.

– Zamieniamy się w słuch.

– Skontaktowała się ze mną jedna z matek. To było jesienią tego samego roku, kiedy zdarzył się wypadek, zadzwoniła dwa razy. Za pierwszym razem powiedziała, że chce się ze mną spotkać, za drugim razem, że zmieniła zdanie.

– Jak to zmieniła zdanie? – zdziwiła się Eva Backman.

– Powiedziała, że jestem ostatnią osobą, z którą chciałaby się spotkać.

– I to wszystko?

– Tak.

– Jak się nazywała? – zapytał Barbarotti, wyjmując z teczki dwa listy.

– Malin – powiedział Runge. – Nazwiska nie pamiętam.

Barbarotti rzucił okiem na listę pasażerów.

– Jest tylko jedna Malin. Malin Berglund... czy to ta?

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli jest tylko jedna osoba o tym imieniu, to na pewno to ona.

Na chwilę zapadła cisza.

– Tuż przed dwudziestym drugim marca rozszerzymy obserwację – zapewniła Eva Backman. – I jak już mówiliśmy, cały czas nad tym pracujemy. A żona w dalszym ciągu nic nie wie?

– Wie tylko o dwóch listach. I nie chcę jej w to mieszać.

– Nie jestem pewna, czy da się tego uniknąć – powiedziała Eva Backman. – Szczególnie bliżej tej daty.

– W takim razie... – zaczął Runge, ale przerwał. Wyglądał, jakby coś w duchu rozważał, rozejrzał się po pokoju, unikając wzroku inspektorów.

Niezdecydowanie – znów przyszło do głowy Evie Backman.

– Co pan chciał powiedzieć? – zapytał Barbarotti.

– Nic takiego. Czy mogę już iść?

– Oczywiście – rzekł Barbarotti. – Ale będziemy w kontakcie... to dotyczy obu stron.

Albin Runge nie odpowiedział. Skinął jedynie głową, wziął kurtkę i czapkę i zamknął za sobą drzwi.

– Cholera – rzuciła Eva. – Tylko tyle mogę powiedzieć, a ty?

– Dokładnie to samo – odparł Barbarotti i zamknął teczkę.

– Nad czym tak myślisz?

– Nie wiem. Kiedy już mamy te listy...

Barbarotti wyjął kartki i położył je na stole. Popatrzyła przez chwilę na nazwiska.

– Jeśli zaczniemy od ofiar – powiedział Barbarotti – i założymy, że faktycznie ktoś z ich bliskich chce się na nim zemścić, to jest to aż sześćdziesiąt osób. I mówię tu tylko o rodzicach i rodzeństwie.

– Świetnie.

– Nawet bardzo, à propos... jak się nazywała dorosła ofiara?

– Kristina Wallin – odparła Eva, kiedy znalazła jej nazwisko. – Była mamą dwojga rodzeństwa, które przeżyło, prawda?

– Zgadza się – powiedział Barbarotti. – Córka złamała rękę i była trochę poparzona, syn wyszedł z tego prawie bez szwanku. Ale ona nie przeżyła. Ale zupełnie nie wiem, dlaczego przyszła mi do głowy?

– Ja też nie. Może dlatego, że była jedyną dorosłą osobą, która zginęła. Choć nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie. W każdym razie dobrze, że Runge myśli, że ich sprawdzamy... a byłoby jeszcze lepiej, gdyby nie pytał, w jaki sposób to robimy.

– Dlatego że nie robimy kompletnie nic? To masz na myśli? – zapytał Barbarotti.

– Właśnie. A co takiego mówi twoja słynna intuicja? Czy rzeczywiście myślisz, że to ktoś z rodziców wysyła te wszystkie listy i naprawdę chce go zabić dwudziestego drugiego marca? Przecież to brzmi jak... nawet nie potrafię określić, jak to brzmi.

Barbarotti wyjrzał przez okno.

– Moja intuicja śpi – odpowiedział. – Wysyła mi jedynie informację, że to nie kilka osób. Tu nie chodzi o grupę rodziców, którzy chcą mu wymierzyć sprawiedliwość. Po sześciu latach... to przecież bez sensu. Wydaje mi się, że mamy do czynienia z jedną osobą, która działa zupełnie sama.

– On albo ona.

– On albo ona. I najprawdopodobniej dwudziestego drugiego marca nic się nie wydarzy. Powinniśmy to na razie odłożyć do szuflady i prowadzić obserwację. Zresztą mamy jeszcze trochę czasu.

– Już sobie wyobrażam tytuły w prasie, gdyby do tego doszło – powiedziała Eva i westchnęła. – Szczególnie jeśli wyjdzie na jaw, że wiedzieliśmy o groźbach i nic z tym nie zrobiliśmy. I nawet nie próbowaliśmy.

– Może być wesoło – przyznał Barbarotti – ale nic na to nie poradzimy. Jeślibyśmy jednak zaczęli przepytывать rodziców, wystarczyłoby, że jedno z nich znało jakiegoś dziennikarza... albo same nim było... to by dopiero był news dnia.

– Rodzice dzieci, które zginęły w wypadku, grożą kierowcy autokaru, że go zabiją! Niezła heca! Masz rację, musimy to na razie zostawić.

– Przynajmniej do momentu, kiedy Stigman zdecyduje inaczej.

– Mimo to poproszę kogoś, żeby jeszcze raz przejrzał listę i zobaczył, czy jest ktoś, kto odstaje od pozostałych. Mogło się zdarzyć, że wśród rodziców jest jakiś dawny morderca.

– Albo kilku – powiedziała Eva. – Ja odsłucham jeszcze raz tę rozmowę telefoniczną.

– Okej. Numer telefonu można ukryć, ale nie głos.

Pokiwała głową i zaczęła chować papiery.

– Wniosek z tego taki, że pracujemy nad sprawą, prawda?

– Bez wątpienia – rzekł Barbarotti.

Plamy i strzępy, trzynasty lutego

Późny wieczór, w Kymlinge sypie gęsty śnieg. Karin jest u swojego brata w Göteborgu, gdzie mają się spotkać z ewentualnymi sponsorami nowego projektu: szkoła dla bezdomnych dzieci na Filipinach. Na rozruch przekazaliśmy już pół miliona koron, ale żeby ruszyć z projektem, potrzeba co najmniej drugie tyle. Dużą część dnia poświęciłem na szukanie prezentu dla Karin. Jutro jest nasza rocznica ślubu. Minęły już trzy lata, odkąd wzięliśmy ślub w Helga Trefaldighetskyrka w Uppsali. Nie mogę sobie wyobrazić, jak by wyglądało moje życie, gdybyśmy nie spotkali się tamtego dnia w banku. Co by było, gdybym nie zdobył się na odwagę i nie zaprosił jej na lunch. Prawdopodobnie nigdy nie zostalibyśmy parą i dzisiaj nie spędziłbym dnia wśród bransoletek, kolczyków, diademów i Bóg wie czego jeszcze. Ale takie jest życie. Jeśli tamto zwierzę nie wyskoczyłoby na drogę dokładnie w tamtej sekundzie tamtego dnia, setki kilometrów na północ, tak, wtedy nasz kraj miałby o osiemnastu obywateli więcej niż dzisiaj. Co najmniej osiemnastu. Przecież nietrudno sobie wyobrazić, że wielu z nich miałoby już dzieci. W dniu wypadku większość tych dzieciaków miała po szesnaście lat, a minęło już prawie sześć lat. Gdzieś przeczytałem, że wieczność rodzi się w sekundzie, i to jest prawda.

W końcu stanęło na biżuterii. Mały rubin oprawiony w złoto; Karin lubi czerwony kolor i woli złoto niż srebro. Miałem nadzieję, że wróci dziś wieczorem, ale najwyraźniej spotkania się przedłużyły.

Jeśli chodzi o działalność charytatywną, to zawsze pojawiają się jakieś nieracjonalne przeszkody. Dużo zależy od osobistych kontaktów i wzajemnego zaufania, a uważam, że Karin dużo może wnieść w tej kwestii. Jest bardzo dobra w kontaktach z ludźmi i wcale się nie dziwię, że jej brat chce, żeby pomogła mu zmobilizować potencjalnych sponsorów do otwarcia portfeli. Coraz szerzej i szerzej. Na początku naszej znajomości wciąż

mówiła o Alexandrze, ale jej rosnące zaangażowanie wcale mi nie przeszkadza. Absolutnie nie, być może pewnego dnia i ja się w to wciągnę.

Jeśli chodzi o tak zwane groźby karalne, to przez ostatnie dwa tygodnie nic się nie działo. Żadnych listów, żadnych telefonów. I żadnych kontaktów między mną a policją. Nie wiem, co mieli na myśli, mówiąc, że przed dwudziestym drugim marca wzmocnią obserwację, ale pewnie się odezwą. Został jeszcze miesiąc i zaczynam się bawić myślą, żeby o wszystkim powiedzieć Karin. A właściwie to nie ja się bawię myślą, to myśl bawi się mną. Robię, co mogę, żeby ją przepędzić, ale jakoś mi się nie udaje. Szczęrość jest wartością w naszym związku, zresztą w innych też.

Chyba już się położę. Dochodzi pierwsza, inna myśl, która się mną bawi, to taka, że Karin wraca do domu, wślizguje się do mnie do łóżka i budzi mnie swoimi ciepłymi dłońmi i swoim ciepłym ciałem. Tej myśli w żadnym razie nie odpędzam.

Plamy i strzępy, dwudziesty drugi lutego

Pozostał jeszcze miesiąc. A w zasadzie cztery tygodnie, bo luty jest najkrótszym miesiącem w roku.

Dzisiaj pojawił się następny list, siódmy. Bez stempla pocztowego. Przez chwilę nie chciałem go otwierać, tylko od razu przekazać policji, ale zrezygnowałem. Nawet jeśli natychmiast się domyśliłem, że to kolejna groźba, nie mogłem wykluczyć, że może chodzić o coś zupełnie innego.

Niestety, chodziło o to samo.

Swoje palce cenisz wyżej niż swoje życie. Twój wybór. Pozostał jeszcze miesiąc, zapewne jesteś przygotowany? Nemezis

Mieliśmy właśnie jeść obiad. Resztę poczty zostawiłem w kuchni na blacie, gdzie stała Karin i mieszała zupę warzywną. Poszedłem do gabinetu i otworzyłem kopertę, po przeczytaniu schowałem list i wróciłem do kuchni. Miałem już na końcu języka, żeby jej powiedzieć o liście, ale kiedy otworzyłem usta, Karin oparzyła się o garnek i ten moment już znikł.

Tak właśnie czułem: *ten moment już znikł*. Jakby za sprawą jakiejś zewnętrznej siły. Nie wierzę w żadne przeznaczenie, a świat w swojej isto-

cie jest taki, jakim go widzimy. Mimo to nasuwa mi się refleksja, że coś próbuje mi przeszkodzić w powiedzeniu żonie prawdy.

Kiedy powtórnie czytam te cztery powyższe zdania, odczuwam silny impuls, żeby je skreślić, ale tego nie robię. Może kryją w sobie ziarno prawdy, ale jako że nikt tego nigdy nie przeczyta, jest to raczej bez znaczenia, prawda? Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie dodać słowa „prawda”.

Zjedliśmy zupę i rozmawialiśmy o codziennych sprawach. Po południu Karin poszła do centrum handlowego na zakupy, a ja zaszyłem się w gabinecie i po chwili wahania zadzwoniłem na policję.

Okazało się, że osoba zajmująca się moją sprawą, Eva Backman, jest na nartach w Sälenfjällen. Oddzwoniła wieczorem i umówiliśmy się na spotkanie za trzy dni, kiedy wróci już do Kymlinge. Mam wrażenie, że moja sprawa wcale nie jest priorytetem naszych stróżów porządku publicznego.

S potkanie z Albinem Rungem w komisariacie policji dwudziestego piątego lutego było frustrujące i raczej bez znaczenia. Co Backman i Barbarotti jednogłośnie stwierdzili zaraz po wyjściu Albina Rungego.

Nowy list. Siódmy z kolei.

Ani mniej, ani bardziej groźny niż wcześniejsze.

Nazwisko i adres starannie wykaligrafowane wersalikami niebieskim długopisem na czarnej kopercie. Miejsce nadania nieznane. Sam list napisany został na komputerze i wydrukowany. Podpis Nemezis był ręczny, tym samym stylem co w poprzednich listach. Nie zatrudniono grafologa (to decyzja Stigmana, tak samo wierzył w grafologów jak w świętego mikołaja), ale nie było najmniejszych wątpliwości, że list pochodzi z tego samego źródła. Zresztą dłaczego, do diabła, miałyby być dwóch lub więcej autorów? (Na wespół retoryczne pytanie inspektora Barbarottiego).

– Wkraczamy na grząski grunt – skonstatowała Eva Backman. – Na litość boską, czy możesz coś sensownego z siebie wycisnąć?

– Porozmawiamy z monsieur szefem – odpowiedział Barbarotti po dziesięciu sekundach namysłu.

Monsieur szef, komisarz Stig Stigman, miał czerwony krawat i bolał go ząb.

– Wyrzyna mi się ząb mądrości – wyjaśnił, kiedy Eva Backman i Barbarotti usiedli w jego gabinecie. – Mam umówioną wizytę za trzy kwadransy. U dentysty. Za czterdzieści pięć minut. Co tam dzisiaj macie?

– Tak więc, hmm. Chodzi o naszego przyjaciela Rungego – zaczął Barbarotti.

– Dostał nowy list z groźbami – dodała Eva Backman.

– Hm – wymamrotał Stigman. – Ile już ich było? Ile?

– Siedem – odparła Eva Backman.

– Zgadza się, siedem sztuk – potwierdził Barbarotti.

– Plus telefony – dorzuciła Backman. – Dwa.

– To razem dziewięć – policzył Stigman i się skrzywił. – Dziewięć prób w ciągu...?

– Mniej więcej ośmiu miesięcy – powiedział Barbarotti. – Może dziewięciu...

– Nieprecyzyjnie – odparł Stigman. – Twoja odpowiedź jest nieprecyzyjna.

– Być może. Ale nie czas, który minął, jest najważniejszy, tylko czas, który mu pozostał. W każdym razie takie jest moje zdanie.

– Czyli dwadzieścia pięć dni – uzupełniła Eva Backman.

– *All right* – powiedział Stigman. – Przecież, cholera, potrafię liczyć. Czy w tym ostatnim liście jest coś, co zwróciło waszą uwagę?

– W kolejnym – poprawił go Barbarotti i z głowy wyrecytował treść. – Ton, mniej więcej taki sam jak w poprzednich.

– Cenisz własne palce bardziej niż życie – powtórzył Stigman i zwiniętą dłonią pogładził swoją obolałą szczękę. – Jeśli chodzi o te dni... to pytanie, czy jest przygotowany. Co tu jeszcze można dodać? No co?

– To, że standardowo zbadamy odciski palców – powiedziała Eva Backman. – I będziemy obserwować rozwój sytuacji.

– I to jedyne, co na razie macie? – zapytał Stigman.

– Z grubsza tak – przyznał Barbarotti.

– A żona? – przypomniało się Stigmanowi. – Co z jego żoną? Wciąż nic nie wie?

Eva Backman skinęła głową.

– Najwyraźniej. W każdym razie tak twierdzi Runge.

– Dlaczego?

– Twierdzi, że... że ją chroni. Nie za bardzo chce o tym mówić.

– A wy z nią rozmawialiście?

– Nie – odparła Eva.

– Nie próbowaliście jej wysondować?

Barbarotti pokręcił głową. O co mu chodzi, z tym sondowaniem? – pomyślał, ale nie zapytał.

– Śmierdząca sprawa – skonstatował Stigman. – I kiedy mówię śmierdząca, to właśnie to mam na myśli. Przyjrzyjcie jej się trochę bliżej. Tej żonie.

– Zrobimy to – powiedział Barbarotti. – Naturalnie. Liczymy się z tym, że list numer siedem nie jest ostatni. Niezależnie od wszystkiego przed

dwudziestym drugim marca musimy mieć jakiś plan działania. Nie możemy zostawić go samemu sobie, żeby go zarznęli jak... jak kurę na rosół.

– Co takiego? – rzucił Stigman. – Co powiedziałaś?

Skąd się to u mnie bierze? – pomyślał Barbarotti.

– Nie możemy beczynn timer czekać, żeby...

Nie dokończył zdania.

– Rozumiem – wymamrotał Stigman i spojrział na zegarek. – Za minutę wychodzę do swojego rzeźnika. Zrobmy tak. Czekajcie spokojnie do następnego listu, ale nie dłużej niż do... dziesiątego marca. Do dziesiątego marca, tak. Wtedy się spotkamy i opracujemy strategię. Oczywiście... aj, cholerny ząb... musimy zrobić wszystko, żeby ten Runge był bezpieczny. Jakies komentarze? Komentarze?

Inspektorzy nie mieli nic do dodania, więc komisarz Stigman szybko wyszedł do dentysty alias rzeźnika.

Jeszcze tego samego wieczoru, zanim inspektor Barbarotti położył się do łóżka (bez Evy Backman, mimo iż obowiązki domowe na to pozwalały), przypomniało mu się pytanie Stigmana.

Co z żoną?

Dlaczego Albin Runge był tak nieugięty? Dlaczego... chyba miała na imię Karin... dlaczego nie chciał, żeby Karin się o wszystkim dowiedziała? Pokazał jej dwa pierwsze listy, więc może to jej reakcja spowodowała, że postanowił ukryć następne. Czy naprawdę myślał, że ta jego wrażliwa Karin będzie się czuła lepiej, żyjąc w niewiedzy? Do samego końca, niezależnie od tego, jaki on będzie? Dlaczego tak uważał?

Pytanie gonilo pytanie. Jaki właściwie jest ich związek? Małżeństwem nie są szczególnie długo, dwa, trzy lata, o ile Barbarotti dobrze pamięta, i jedyny powód, jaki podał, to taki, że chce ją chronić i że... co on jeszcze powiedział? Że ich związek jest już wystarczająco kruchy? Czy żona jest krucha?

Jutro muszę porozmawiać z Evą, pomyślał i zgasił lampę. Jeśli mamy cokolwiek osiągnąć w tej pełnej niejasności sprawie, nie możemy pozwolić, żeby ofiara nam dyktowała warunki. W każdym razie nie na dłuższą metę.

No bo przecież tak to można nazwać? Śmierdząca sprawa. A może to w ogóle nie jest żadna sprawa. Może tylko ktoś postanowił go postraszyć. Ktoś, komu się wydawało, że pewien kierowca, który ma na sumieniu osiemnaście istnień ludzkich, za łatwo się wywinął.

Policja w Kymlinge ma już dostatecznie dużo innych spraw. Ktoś otworzył ogień do klientów pizzerii w Rokście, trzy osoby ranne, jedna w stanie ciężkim. Młoda kobieta została wyrzucona z balkonu na czwartym piętrze na Södermannagatan i w szpitalu walczy o życie. Z kolei inna kobieta została zgwałcona przez trzech nieznanych sprawców, kiedy biegła.

To tylko kilka ze spraw. Gunnar Barbarotti poprawił poduszkę i próbował zasnąć.

Plamy i strzępy, dziewiąty marca

Jest wpół do piątej rano. Przed chwilą się obudziłem i nie mogę zasnąć, toteż korzystam z okazji i siadam do pisania. A mam powód.

Wczoraj był Dzień Kobiet. Nie mogę o tym nie wspomnieć. Nie ma to żadnego związku z tym, co się stało, ale mimo wszystko.

Kiedy po popołudniu pracowałem nad Erazmem i Lutrem, Karin uchyliła drzwi i zajrzała do pokoju.

Zobacz, coś dziwnego, powiedziała.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że trzyma w ręku pocztę. Może już wcześniej czułem, co to może być, ale zwykle takie rzeczy uświadamiamy sobie po czasie.

Co takiego?

Karin wzruszyła ramionami. Pewnie nic, odpowiedziała. Ale ja też dostałam list, wyglądają identycznie.

Pokazała dwie białe koperty i w tym momencie przecucie zniknęło. Poczuję, jak krew uderza mi do głowy, i automatycznie chwyciłem się rogu biurka. Moja reakcja nie umknęła uwadze mojej żony.

Co z tobą?

Nic.

Nic? Przecież widać, że o mało nie zemdlałeś.

Podniosło mi się... podniosło mi się ciśnienie.

Ciśnienie?

Tak.

Przecież nie masz nadciśnienia. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

Karin się zaśmiała i popatrzyła na mnie nieco sceptycznie. Przełknąłem ślinę i próbowałem udawać, że wszystko w porządku.

Ale dlaczego akurat wtedy, kiedy ci pokazałam listy?

Jaka ona spostrzegawcza. Ale nie jestem jakoś szczególnie zdziwiony. Po prostu ma intuicję.

Innego wytłumaczenia nie znajduję. Karin wciąż stała w drzwiach, w jednej ręce trzymała dwie białe koperty, w drugiej resztę poczty. Jakby na coś czekała. Żeby dać mi kilka sekund na przygotowanie mowy obronnej. Tak, to chyba najlepsze określenie, mowa obronna. Doszedłem do wniosku, że w tej sytuacji najgorsze byłoby milczenie.

Wiem, co w nich jest, powiedziałem w końcu. W tych listach.

Rzecz jasna, na temat treści nie mogłem powiedzieć nic konkretnego. Dwa-dzieścia minut później siedzieliśmy w kuchni przy stole naprzeciwko siebie i wydawało mi się, że toczymy jakiś pojedynek. W dużym skrócie wszystko jej opowiedziałem: że dostałem jeszcze pięć innych listów oraz dwa telefony. Że byłem na policji już kilka razy.

Słuchała wszystkiego z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłem zinterpretować, poza dużą dozą rozczarowania. Poprosiłem ją o wybaczenie i wytłumaczyłem, że moim jedynym celem było chronienie jej.

Chronienie mnie? – zapytała i usłyszałem w jej głosie, jak bezsensownie to dla niej zabrzmiało. Poczułem podobnie. Znów ją przeprosiłem, ale w odpowiedzi otrzymałem ten sam pusty wyraz twarzy. Jak mogło ci się wydawać, że mnie chronisz? – zapytała moja żona. Odpowiedziałem, że uważałem, że tak będzie dla niej najlepiej. Odparła, że nie przyjmuje takiego tłumaczenia. Wyjaśniłem, że teraz sam nie rozumiem, co mną wtedy kierowało. Siedzieliśmy niecały metr od siebie, a odnosiłem wrażenie, że dzielą nas kilometry. Trwaliśmy w bezruchu, wyglądaliśmy jak dwoje aktorów, którzy powtarzają martwe kwestie bez żadnej wartości. Słowa wydobywały się z naszych ust jak nic nieznaczące banały, wtedy uświadomiłem sobie, że boję się po raz pierwszy od trzech lat naszego małżeństwa.

Nie wiem czego, nie wiedziałem tego wczoraj i nie wiem teraz, dzień później. Ale bałem się. Kiedy już słowa się wyczerpały, siedzieliśmy w milczeniu, aż Karin powiedziała:

Otwórzmy te listy i zobaczmy, co w nich jest.

Wzięliśmy zwykły nóż kuchenny i rozdarliśmy koperty.

Czytaj głośno, powiedziała.

Zrobiłem, co kazała. Treść nie była tak lakoniczna jak poprzednio.

Zbliżamy się do końca. Zostały ci dwa tygodnie na spisanie testamentu. Twoja żona ma na imię Karin, prawda? Poinformujemy ją o sytuacji, bo ty zapewne tego nie zrobiłeś, ty nędzny tchórze. Nemezis

Karin zaczęła czytać swój.

Twój mąż jest mordercą. Prawie sześć lat temu zabił osiemnaście osób. A mimo to żyje jakby nigdy nic. Zrobimy z tym porządek. Już niedługo. Nemezis

Jej głos się załamał. Odłożyła list i pochyliła głowę. Wzrok wbiła w stół i pewnie też zamknęła oczy. Może nawet płakała, ale tego nie widziałem ani nie słyszałem. Siedziałem jak sparaliżowany. Myślałem sobie: niech mnie zabiją, właściwie to już nie chcę żyć.

Potem wziąłem się w garść, obszedłem stół i przytuliłem mojego anioła.

Pogodziliśmy się. Znow się odnaleźliśmy. Późnym wieczorem zadzwoniliśmy do inspektora Evy Backman, to była wspólna decyzja.

Jeszcze tego samego wieczoru Karin odkryła, że stemple pocztowe można odczytać, jeśli się trochę wysilić, i że oba listy zostały wysłane z Kymlinge.

Dziewiątego marca, kilka minut po drugiej po południu, Albin Runge i Karin Sylwander weszli do gabinetu inspektora Evy Backman na posterunku policji w Kymlinge. Inspektor Barbarotti nieco się spóźnił, więc Eva, żeby nie zaczynać samej, wyszła do pokoju socjalnego po coś do picia.

Zdążyła zauważyć, że Karin Sylwander wyglądała zupełnie inaczej, niż ją sobie wyobrażała. Nigdy przedtem jej nie widziała, ale była zaskoczona, że żona Albina Rungego jest bardzo ładna.

Bo on jest właściwie brzydki, pomyślała. Karin Sylwander miała ciemne włosy oraz szczupłe i sprężyste ciało. Na pewno była co najmniej dziesięć lat młodsza od swojego męża. Kiedy Eva Backman powoli i nieśpiesznie wyjmowała wodę z lodówki i szklanki z szafki, nie mogła się nadziwić, co taka przystojna kobieta widzi w tak przeciętnym facecie. Bo prawdę mówiąc, ona była już zmęczona tym nieszczęściem. To szczere wyznanie ma się nijak do sprawy. Przecież mu tego nie powie, zatrzyma dla siebie.

Wzięła miseczkę orzeszków, która ku jej zdziwieniu jeszcze się zachowała, i wróciła do gabinetu. Na szczęście na korytarzu spotkała Gunnara Barbarottiego.

Cholera, pomyślała ku własnemu zaskoczeniu. Dwie supergliny, które mają oczy i uszy dookoła głowy. Chyba zjadłam coś nieodpowiedniego na lunch, pomyślała później.

Barbarotti zaczął.

– Muszę przyznać, że dobrze się stało (krótkie skinienie głowy w kierunku Karin Sylwander), że pani wie o wszystkich groźbach skierowanych pod adresem męża. Inspektor Backman (skinienie w przeciwnym kierunku) podziela moje zdanie.

– Też tak uważam – odezwała się Karin Sylwander i uśmiechnęła się nieśmiało.

– To był błąd... błąd z mojej strony, że trzymałem to w tajemnicy – rzekł Albin Runge i złapał żonę za rękę.

– Ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem – powiedział Barbarotti. – Zamiast tego spróbujmy znaleźć jakieś rozwiązanie. W dalszym ciągu trudno nam ocenić, czy autor tych listów rzeczywiście jest niebezpieczny i czy naprawdę planuje zrobić to, co pisze, czy to tylko taki ponury żart... że się tak wyrażę. Ale musimy dmuchać na zimne. Pozostało nam jeszcze trzynaście dni, żeby poczynić odpowiednie kroki.

– Jakie kroki? – zapytała Karin Sylwander szczerze zdziwiona. – Jakie kroki?

– Myślimy o ochronie męża – wyjaśniła Eva Backman. – Szczególnie dwudziestego drugiego marca, a także kilka dni wcześniej.

– Właściwie to już od teraz – doprecyzował Barbarotti.

– Nie jestem pewien, czy... – zaczął Runge, ale przerwał i nie wyjaśnił, czego nie jest pewien.

– O jakiej ochronie mówimy? – zapytała jego żona.

– Na początku o dyskretnej obserwacji domu – powiedział Barbarotti. – Nic, co by zwracało uwagę, mamy swoje sposoby. Zwykły, nieoznakowany samochód, jeden albo dwóch policjantów po cywilnemu, i tak dalej. Będziemy w stałym kontakcie, żebyśmy wiedzieli, gdzie jesteście.

Barbarotti spodziewał się sprzeciwu ze strony Albina Rungego, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Jeśli chodzi o dwudziesty drugi marca, to proponujemy, żebyście, jeśli pani będzie chciała towarzyszyć mężowi... – Barbarotti spojrzał na Karin Sylwander, która z niepokojem patrzyła na swojego męża – ...żebyście wyjechali z miasta. Dopilnujemy, żeby to odbyło się dyskretnie, i będziecie czekali na nasze instrukcje. Chodzi o dwa–trzy dni, nie więcej.

– A po powrocie do domu? – zapytał Runge.

– Hmm, tak – powiedział Barbarotti. – Zajmiemy się tym później. Nie możemy wybiegać aż tak daleko w przyszłość, mam nadzieję, że to rozumiecie.

Małżeństwo popatrzyło na siebie przez kilka sekund. Pewnie szukają jakiegoś porozumienia, wywnioskowała Eva. Ale najwyraźniej go nie znajdują.

– Obserwacja domu? – odezwał się Albin Runge. – Nie brzmi to szczególnie przyjemnie.

– Kiedy zamierzacie zacząć? – zapytała jego żona.

– Jeszcze nie wiemy – wyjaśniła Eva. – Ale słuchamy waszych uwag. To ważne, żebyśmy wszyscy byli co do tego zgodni.

– A co wy uważacie? – zapytała Karin Sylwander i puściła rękę męża. – Czy to aż tak poważna sprawa? Czy naprawdę ten szaleniec... czy szaleńcy... chcą Albinowi zrobić krzywdę? Czy to... właściwie dlaczego? Przecież minęło już tyle lat, poza tym to był wypadek. Prawda? Mój mąż nie mógł nic poradzić na to, co się stało. Rozumiem, że to straszne, że tyle osób straciło życie... w dodatku tak młodych, ale czy naprawdę ktoś...?

Zamilkła. Eva spojrzała na Barbarottiego, a on popatrzył na ścianę.

– Trudno nam to ocenić – odezwała się Eva. – Może to tylko puste groźby, ale nie możemy ryzykować.

– Takie mamy procedury – dodał Barbarotti. – Wszystkie groźby musimy traktować poważnie. Bomba w szkole, pozostawione na dworcach teczki, biały proszek w kopercie... sporo tego jest. A jeśli chodzi o naszego epistolografa, to nie liczyłbym na to, że jest podatny na racjonalne argumenty. Jeśli nawet nikt nie jest winny wypadkowi, to do niego... albo do niej i tak to nie dociera. W listach konsekwentnie pisze „my”, co oczywiście wcale nie znaczy, że więcej osób jest w to zamieszanych. Samotni szaleńcy często uważają, że reprezentują milczącą większość.

– Rozumiem – przyznała Karin Sylwander i znów złapała męża za rękę. – To się wydaje... to trochę wyświechtane wyrażenie, ale to jest tak nieracjonalny sposób, że ktoś może się zachowywać w tak nieracjonalny sposób.

– Rzeczywistość przestaje ogarniać rzeczywistość – powiedział Barbarotti. – Niestety. Czy macie jakieś pytania albo uwagi?

– Dlaczego on nagle zaczyna mieszać w to moją żonę? – zapytał Runge. – Wiem, że popełniłem błąd, trzymając ją od tego z daleka, ale jaki miał cel, pisząc do niej?

– Dobrze pytanie – rzekła Eva. – A jakie jest pana zdanie?

Runge zastanowił się chwilę.

– Nie mam pojęcia. Nie, nic mi nie przychodzi do głowy. Chociaż...

– Tak?

– Może chce ją nastraszyć... ją też?

– Nie jest to wykluczone – odparł Barbarotti. – Ale musimy pamiętać, że niekoniecznie stoi za tym jakiś jasny plan. Przecież to odcięcie palca świadczy o tym, że ten pomysł nagle mu przyszedł do głowy. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Albin Runge odchrząknął.

– Chciałbym porozmawiać z Karin, zanim podejmiemy decyzję co do ochrony. Zastanowić się w spokoju. Potrzebujemy kilku dni, żeby wszystko przemyśleć, wtedy możemy znów się spotkać i zdecydować, co robimy. Mamy do was pełne zaufanie, ale...

Ale przezorny zawsze... – Albin Runge nie dokończył zdania. Eva Backman pomyślała, że powiedział dokładnie to, o czym sama myślała. Zostały jeszcze dwa tygodnie i nie tylko oni potrzebowali czasu, żeby opracować strategię. Wzięła do ręki kalendarz.

– Dzisiaj jest sobota. Czy możemy się umówić na przyszły wtorek, przed południem? Dwunastego? O jedenastej, jeśli wam pasuje?

Albin Runge pokiwał głową z aprobatą. Karin Sylwander wyjęła z kieszeni kurtki komórkę, poklikała kilka sekund i też pokiwała głową.

– We wtorek o jedenastej jest okej – rzekła, schowała telefon i uśmiechnęła się przelotnie. – Przepraszam, że zajęliśmy wam tyle czasu... zapomniałam, że dzisiaj sobota.

– Nie ma za co – powiedział Barbarotti. – Większość przestępstw popełnia się poza naszymi godzinami pracy.

Zupełnie nieoczekiwanie wieczór spędzili w restauracji. W każdym razie część wieczoru. W Willi Pickford odbywał się turniej tryktraka, w którym brało udział sześciu czy siedmiu nastolatków, a ani Barbarotti, ani Eva Backman nie mieli tam czego szukać. Wystarczyło, że pojawią się około północy i spojrzą krytycznym okiem na to, co się dzieje.

Nowo otwarta restauracja nazywała się Agrokultura i znajdowała się na Ruteniusgatan, rzut kamieniem od kościoła. Mieściła zaledwie szesnaścioro gości, więc kiedy o ósmej zajęli miejsca przy stoliku, zobaczyli, że nie ma tu ani kolegów z pracy, ani innych niepożądanych osób. Mogli tu przeczekać jeszcze kilka godzin.

– Przeczekiwanie tutaj to zupełnie coś innego niż przeczekiwanie w domu – zauważył Gunnar Barbarotti, kiedy dostali po kieliszku wina na powitanie. – Na zdrowie.

– Na zdrowie – powiedziała Eva.

Menu w Agrokulturze składało się z kilku przystawek, jednej bardziej fantazyjnej i smakowitszej od drugiej. Albin Runge pojawił się na tapecie dopiero przy deserze.

– Nasz epistolograf pewnie jest teraz w Kymlinge – powiedziała Eva. – Zapomnieliśmy o tym szczególe. Jak myślisz, co to oznacza?

Barbarotti wziął do ust to, co miał na łyżeczce, i zastanawiał się.

– Nie wiem. Może to być albo niepokojące, albo to tylko jego taktyka, nic więcej.

– Wszyscy, których dotknął wypadek, mieszkają w Sztokholmie – odparła Eva Backman. – Jeśli mister Nemezis teraz jest tutaj, to chyba trochę za wcześnie. A jeśli mieszka w hotelu i zamierza uderzyć kilka dni wcześniej, niż planował?

– Odłóżmy to do jutra. Uważam, że żona pana Albina jest dużo sympatyczniejsza niż on. Dlaczego kobiety wychodzą za takich nudziarzy?

– Pamiętaj, że jest zamożny – zwrócił jej uwagę Barbarotti. – Poza tym podaż fajnych facetów jest ograniczona. Fajnych kobiet jest dużo więcej.

– Czyli uważasz, że takich jak ja jest od metra, tak? – zapytała żartem. – A takich jak ty trzeba ze świecą szukać?

– No to napytałem sobie biedy – powiedział Gunnar Barbarotti. – Czy nie mamy innych tematów?

Już po czasie, czyli mniej więcej dwa tygodnie później i przez resztę wiosennych miesięcy, inspektor Backman, inspektor Barbarotti, komisarz Stigman oraz inni zaangażowani inspektorzy zadawali sobie pytanie, co poszło nie tak wtedy, podczas wtorkowego spotkania.

Nic na to nie wskazywało. Wydawało się, że konsensus zaczyna przeważać; wprawdzie zabrało to trochę czasu, ponad dwie i pół godziny, zanim wszystkie szczegóły zostały dopracowane – ale nikt z obecnych policjantów nie zauważył u małżonków Ringe/Sylwander oznak niezadowolenia czy sprzeciwu. Nawet aspirant Wennergren-Olofsson, który zawsze lubił mieć odmienne zdanie. W ostatniej godzinie spotkania uczestniczyli również inspektorzy Smutas i Toivonen i kiedy już po czasie Barbarotti zapytał Toivonena, czy może zauważył jakieś błędy w samej operacji, Toivonen odpowiedział, że do diabła ciężkiego, nic takiego nie widział.

Chodziło o samą operację. To znaczy o ochronę obiektu Albina Runego. Od środy trzynastego marca, przez jedenaście następnych dni, czyli do dwudziestego trzeciego, kiedy to można było sądzić, że zagrożenie minęło albo przynajmniej się zmniejszyło.

Nikt nie miał również żadnych zastrzeżeń, jeśli chodzi o ramy czasowe. Również co do zewnętrznych przygotowań, czyli obserwacji domu do dwudziestego, następnie przeniesienia obojga małżonków w bezpieczne miejsce, powrotu do domu dwudziestego trzeciego i zakończenia obserwacji.

Jeśli chodzi o miejsce przebywania małżonków, to znajdowało się ono w gestii policji. Nie poinformowano ich, dokąd zostaną przeniesieni. Należy dmuchać na zimne, nigdy nic nie wiadomo.

Jeśli podczas tych jedenastu dni wydarzyłoby się coś nieoczekiwanego, decyzje będą podejmowane na bieżąco. *Play by ear*, jak to określił asystent Wennergren-Olofsson.

Jedynym szczegółem, co do którego Albin Runge miał pewne obiekcje, był mały nadajnik, który musiał mieć przy sobie. Upierał się, że wystarczy, że będzie miał włączoną komórkę przez całą dobę. Jednak żona przekonała

go, że jeśli na przykład zostanie porwany, telefon na wiele mu się nie przyda. Porywacze raczej nie pozwolą mu na użycie iPhone'a. Runge się zgodził, ale chciał najpierw zobaczyć nadajnik i dowiedzieć się, gdzie na ciele będzie musiał go nosić.

– We włosach albo za uchem – wyjaśnił Barbarotti. – Gdzie pan sobie życzy, jest nie większy od ziarnka kukurydzy.

– Mniejszy – powiedział Wennergren-Olofsson. – Najwyżej jak ziarnko pszenicy.

– Przez cały czas musimy znać pańską lokalizację – podkreślił komisarz Stigman. – Przez cały czas.

To zdecydowało o sprawie. Oczywiście Runge bezzwłocznie będzie musiał ich informować o najmniejszym spostrzeżeniu, które wskazywałoby na to, że Nemezis jest gdzieś w pobliżu, lub o nowych listach czy telefonach. Bezpośrednio jednego z inspektorów, Backman albo Barbarottiego, czy któregośkolwiek z czterech policjantów, którzy będą w samochodzie zaparkowanym na Strandvägen, około pięćdziesięciu metrów od domu. Małżonkowie otrzymali również potrzebne numery telefonów i Karin Sylwander podziękowała, że ich sprawa została potraktowana poważnie. Komisarz Stigman wyjaśnił, że to należy do obowiązków policji dopóty, dopóki nie będzie dowodów, że nie ma potrzeby traktować jej poważnie.

– Nie możemy wykluczyć, że chodzi tu o postraszenie, żart czy zwykły szczeniacki wybryk – zauważył Wennergren-Olofsson, czując się w obowiązku, żeby doprecyzować. – Ale czasy się zmieniły.

– Dziękuję – powiedział Stigman. – Dziękuję za tę ważną uwagę.

– Nie ma za co – odparł Wennergren-Olofsson i się wyprostował.

Kiedy już wszystkie środki bezpieczeństwa zostały przewalkowane, Karin Sylwander chciała się dowiedzieć, jak wygląda sprawa rodziców i kontrola nad nimi. To znaczy, chodzi o tych biedaków, których sześć lat temu pozbawiono dzieci. Bo to przecież w tej grupie należałoby szukać sprawcy... czy sprawców.

Stigman skinął dyskretnie głową Barbarottiemu, który zapewnił, że mają wszystko pod kontrolą. Co było rażącym kłamstwem, gdyż nie mieli nad nimi żadnej kontroli. Aspirant Tillgren przejrzał pobieżnie listę osób z autokaru, żeby zobaczyć, czy ktoś odstawał od pozostałych, ale jedyne, co znalazł, totolotkowego milionera i powożącego w wyścigach zaprzęgów konnych. Powodem, dla którego Stigman poprosił jednego ze swoich podwładnych, aby odpowiedział na pytanie małżonków, było to, że wolał, żeby ktoś

inny kłamał. Tak w każdym razie wydawało się Barbarottiemu; lepiej zrzucić to na innych, gdyby prawda wyszła na jaw.

Jeśli Albin Runge byłby premierem albo członkiem rodziny królewskiej, można by rozważyć wzięcie pod lupę pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu osób. Ale pan Runge to tylko były nauczyciel akademicki i były kierowca autokaru, a zarówno w Szwecji, jak i w innych demokracjach policjanci opłacani są z publicznych pieniędzy. A ściśle mówiąc, z niechętnie płaconych podatków. Zatem trzeba znać granicę.

Poddany jest tylko poddanym, zakończył swoje rozważania Barbarotti. Trzeba robić dobrą minę do złej gry, pełna kontrola rodziców.

Jeśli rzeczywiście Rungemu coś by się stało, sprawa przybrałaby zupełnie inny obrót. Już podczas trwania spotkania Barbarotti modlił się w duchu, aby ich chroniony obiekt był tak samo zdrowy i cały za dwa tygodnie jak w ten deszczowy i wietrzny wtorek.

Ale Pana nie można zasypywać modlitwami, które wierni kierują do Niego pewnie hurtem. Taką oto naukę wyciągnął Gunnar Barbarotti w momencie życia, w którym się obecnie znajdował.

Dał ci Bóg dary, zażywaj miary.

Jednak coś musiało pójść nie tak i już tego samego wieczoru Eva Backman trafiła w ten czuły punkt.

– Wygląda na to, że doszli do porozumienia – powiedziała, kiedy o szóstej wieczorem byli w drodze do Willi Pickford.

– Do jakiego porozumienia? – zdziwił się Barbarotti.

– Nie przyszło ci to do głowy?

Barbarotti pokręcił głową.

– Ani przez chwilę. Jakie porozumienie? I po co?

– Skąd mogę wiedzieć – powiedziała. – Może chcieli pokazać, że trzymają wspólny front. Zgodzili się na wszystkie kroki, ale nie ma żadnej gwarancji, że będą się do nich stosować? Tak mi to przyszło do głowy. Że mają jakiś ukryty plan B.

– Ukryty plan B? – wybuchnął Barbarotti. – Czy przypadkiem pani inspektor ostatnio nie naoglądała się za dużo filmów?

– Rozmawiała gęś z prosięciem – odparła Eva. – Przez ostatnie tygodnie spędzamy z sobą każdą godzinę. I nie przypominam sobie, żebyśmy oglądali w telewizji coś innego niż wiadomości.

– Punkt dla ciebie – powiedział Barbarotti. – Ale jeśli rzeczywiście mają jakiś ukryty plan? Psiakrew... ile ten facet nam przysporzył roboty. I jesz-

cze ile będzie nas kosztował, ochrona i tak dalej?

Eva Backman milczała przez moment.

– Wiesz co? A mnie się wydaje zupełnie coś innego, jak dotąd to on nas niewiele kosztował. Co ty na to?

Barbarotti westchnął.

– Ja na to, żebyś na razie przestała spekulować. Obiecaliśmy dzieciakom, że zrobimy risotto z owocami morza, a to wymaga pełnego skupienia.

– Ty obiecałeś, nie ja – zauważyła Eva. – Nigdy by mi nie przyszło do głowy gotować coś tak skomplikowanego w zwyczajny wtorkowy wieczór.

– Możemy zrezygnować z owoców morza – zaproponował Gunnar Barbarotti, skręcając w wijącą się drogę, która prowadziła na wschodni brzeg jeziora Kymmen.

Ale Eva zaszczepiła w nim myśl o ukrytym planie B.

Nawet jeśli nie zaszczepiła, to na pewno trafiła w czuły punkt. Przyznanie się do tego zajęło mu ponad tydzień.

Plamy i strzępy, piętnasty marca

Jest piątek po południu.

Został jeszcze tydzień. Od środy jesteście obserwowani.

To okropne, a jeszcze gorsze jest to, że oboje z Karin czekamy na kolejny list. Żadne z nas nie wierzy, że ostrzeżenie, iż powinienem już spisywać testament, jest ostatnie. To samo dotyczy się informacji dla Karin, że jej mąż jest mordercą i nędznym tchórzem.

Dzisiaj nic jeszcze nie przyszło; od siedmiu dni Nemezis nie raczył się odezwać, a następna poczta będzie dopiero w poniedziałek. Może już nic nie napisze, może przygotowuje swój śmiertelny cios. On albo ona, albo oni. Nie rozmawiamy o tym za wiele, wystarczy, że nasze spojrzenia się spotkają, i już wiemy, o co chodzi.

We wtorek, po powrocie z komisariatu, zaproponowałem Karin, żeby gdzieś wyjechała. Żeby zostawiła mnie z moim mścicielem i nie próbowała się w to mieszać. Nie miała nic wspólnego z tym wypadkiem, wtedy jeszcze nawet nie wiedzieliśmy o swoim istnieniu, dlatego nie mam prawa jej w to mieszać.

Ale odmówiła.

A ty byś mnie zostawił, gdybym ja była w takiej sytuacji? – zapytała.

Oczywiście, że nie, odpowiedziałem.

No właśnie, powiedziała, a ja poczułem, jak fala wdzięczności przepływa przez moje ciało. Szczerze mówiąc, gdyby ta fantastyczna kobieta nie została moją żoną, to nie sądzę, żebym dzisiaj chodził po tej ziemi. Jeśli mam umrzeć już za tydzień, to przynajmniej odejdę na wieczną wędrówkę z myślą, że te trzy ostatnie lata mojego życia zrównoważyły wszystko inne.

Mamy nadzieję na inny rozwój sytuacji, że środki bezpieczeństwa, jakie zastosowała policja, rzeczywiście pomogą. Nie wiem, jak bardzo mogę im ufać. Obserwujących dom z samochodu (każdego dnia inna marka, przynajmniej do teraz) nie za bardzo widać, ale taki jest zamiar. Żeby pozostawać

niewidocznym. Małego nadajnika, który mam przyczepiony na karku, pod włosami, też nie widać; w ciągu trzech dni tylko dwa razy wychodziłem z domu – na półgodzinny spacer do kościoła i z powrotem i drugi raz wzdłuż rzeki, w kierunku centrum handlowego – głównie po to, żeby policja mogła sprawdzić, czy wszystko działa, jak należy. Poza tym dzwonią podczas każdej zmiany dyżuru, co siedem godzin, raz o północy i raz o szóstej rano. Ciekawe, jak to jest siedzieć beczynnym w samochodzie przez sześć godzin i obserwować dom. Pewnie mają z sobą jakieś książki, gry komputerowe albo filmy, w każdym razie na pewno nie siedzą i nie patrzą w okna przez sześć długich godzin, trzysta sześćdziesiąt minut.

W środę, w przyszłym tygodniu, mają nas dokądś przenieść, trochę o tym rozmawialiśmy z Karin, ponieważ mamy różne zdania na ten temat. Dlaczego policja ma o tym decydować? Czy nie byłoby prościej, gdybyśmy sami dokądś wyjechali na kilka dni, nikogo o tym nie informując? Nikt by nie zauważył, wymknęlibyśmy się tylnym oknem, przeszli przez ogród, a potem na działkę Olséna, i na Olaigatan, gdzie już czekałaby taksówka i zawiozła nas do... no właśnie, jest tyle możliwości.

Nie rozważaliśmy tej możliwości na poważnie, ale do środy zostało jeszcze kilka dni, więc zobaczymy.

Dzisiaj wieczorem jestem sam w domu. Udało mi się przekonać Karin, żeby wyszła. Umówiła się z koleżanką ze szkolnej ławy już miesiąc temu, nie mogła przewidzieć, że może się zdarzyć coś takiego. Poza tym to przecież nie moja żona ma mnie chronić. W gruncie rzeczy nawet świetnie się złożyło, że będę miał chwilę dla siebie, żeby napisać te parę zdań. Karin nie ma pojęcia, że już od pewnego czasu piszę dziennik, i mam nadzieję, że nigdy nie przeczyta tego, co już wyprodukowałem i co jeszcze wyprodukuję.

Sam nie rozumiem dlaczego, ale jest wiele rzeczy na tym świecie, których nie mogę zrozumieć, nie tylko tej.

[Plamy i strzępy, osiemnasty marca](#)

Poniedziałek.

Dzisiejszy dzień też bez listu. W nocy miałem mdłości i biegunkę, może to od krewetek po tajsku, które wczoraj jedliśmy na kolację – zamówiliśmy jedzenie do domu, bo nie chciało nam się stać przy kuchni. Siedzę teraz

w toalecie i piszę, Karin wyszła do apteki, żeby kupić coś na mój rozstrojony żołądek.

Dlatego muszę się streszczać. Za godzinę na pewno już będzie z powrotem, więc nie chcę, żeby mnie złapała na gorącym uczynku. Nie dlatego że piszę coś niewłaściwego czy że przedstawiam ją w złym świetle, ale dlatego że to przed nią ukrywam. W każdym razie wygląda na to, że mamy już jakiś plan działania, nie nazwalismy tego w ten sposób, ale to kwestia czasu. Odnoszę wrażenie, że żadne z nas nie chce wysunąć jakiejś propozycji, bo przecież obiecalismy policji, że będziemy stosować się do ich instrukcji. Widzę po mojej żonie, że myśli tak samo jak ja, co więcej, jest w tym nawet parę kroków przede mną. Policyjny plan jest taki, żeby w środę po południu, to znaczy dwudziestego, wywieźć nas i ukryć, dlatego nie mamy za wiele czasu, ani ja, ani mój anioł.

Jeśli szanowny pan Nemezis chce, żebym przeczytał kolejne jego nikczemne listy, to musi się pośpieszyć, bo zostało mu niewiele czasu. Jeśli jutro nic nie przyjdzie, mogę uznać, że już więcej nie napisze.

Muszę kończyć, ale mam nadzieję, że jutro albo pojutrze uda mi się jeszcze coś naskrobać. Muszę być ostrożny, nie chcę, żeby moje zapiski dostały się w niepowołane ręce, niezależnie od tego, co się wydarzy. Ale znalazłem pewne rozwiązanie.

[Plamy i strzępy, dziewiętnasty marca](#)

Późny wtorkowy wieczór. Karin już się położyła, a ja jeszcze siedzę w gabinecie pod pretekstem, że zanim wyjedziemy, muszę jeszcze coś napisać o Erazmie i Lutrze.

Bo to zamierzamy zrobić. Jak już wspomniałem, nie zastosujemy się do instrukcji policji. Nie wątpię w ich dobrą wolę, tylko w kompetencje. Dzisiaj po południu Karin coś zaproponowała. Po krótkim namyśle na wszystko się zgodziłem. Tak więc jutro rano, piętnaście po szóstej, zaraz po zmianie dyżuru, na Olaisensgatan będzie czekała na nas taksówka. Jak już wspominałem, wyjdziemy z domu przez ogród, a ponieważ zostawię swój nadajnik w łóżku, minie trochę czasu, zanim się zorientują, co się stało. Będziemy mieć sporą przewagę, bo wyłączymy komórki, i nic nie mogę poradzić, że na myśl o tym aż zaczynam drzeć. Czuję się, jakbyśmy chcieli przechytryć jakiegoś przebiegłego wroga.

Oczywiście tym wrogiem nie jest policja, tylko Nemezis. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby on (ona, oni?) zorientował się, że policja obserwuje nasz dom. Gdyby tak było, to nasz plan jest najlepszym wyjściem. Poza tym wzięcie sprawy w swoje ręce to spora satysfakcja.

Tym zdaniem kończę swoje notatki. Przygotowałem grubą kopertę, do której schowam niemalże zapisany zeszyt. Jutro rano na dworcu wrzucę go do skrzynki, zależy mi na tym, żeby nie zaginął.

PS Prawie bym zapomniał: dzisiejszy dzień też bez listu czy telefonu. Nie wiem, co o tym sądzić, ale pamiętam, co powiedziała Karin przed pójściem spać.

Nie musimy o tym w ogóle myśleć, kochanie. Za cztery dni będzie po wszystkim i zapomnimy o całej tej historii.

Mam nadzieję, że i w tej delikatnej sprawie ma rację. *Over and out.*

Pierwszy sygnał pojawił się tuż po wpół do pierwszej. Inspektor Eva Backman w kantine skończyła właśnie jeść bardzo przeciętną zupę gulaszową i powiedziała koledze po fachu, Mattiemu Toivonenowi, że coś trzeba zrobić z tym ohydnyim jedzeniem, serwowanym stróżom prawa w tym kraju. Toivonen zaproponował, że mogą iść do cukierni po drugiej stronie ulicy, na pączki i kawę.

Jednak z ich kulinarnego przedsięwzięcia nic nie wyszło, bo właśnie zadzwonił telefon Backman.

– Przy telefonie aspirant Berger. Zniknęli.

– Co takiego?

– Runge i jego żona. Nie ma ich w domu.

Backman pokręciła głową i zapomniała o zupie i pączkach.

– Co ty, cholera, mówisz?

– To, co słyszysz – odparł Berger. – Pół godziny temu, kiedy zaczynałem dyżur, Spaak mnie poinformował, że nie odpowiadają na telefon. Weszliśmy do domu. Nikogo nie było, teraz stoję w kuchni i dzwonię do ciebie.

– Spaak? – powtórzyła Eva Backman.

– Aspirant Spaak. Stoi koło mnie. Co robimy?

Backman pomyślała przez trzy sekundy.

– Zostańcie tam, gdzie jesteście. Będziemy za dziesięć minut.

– Zrozumiano – powiedział Berger i się rozłączył.

Kiedy piętnaście po pierwszej na miejscu pojawili się Eva Backman i Barbarotti, dwaj aspiranci rzeczywiście wciąż stali w kuchni. Nawet nie usiedli przy stole, może zrozumieli rozkaz zbyt dosłownie. I Berger, i Spaak nie mieli jeszcze trzydziestki, a tym samym i doświadczenia. A może po prostu zawstydzili się, że zawalili sprawę, bo tak to wyglądało.

– Co się stało, to się nie odstanie – powiedział Barbarotti i wysunął krzesło. – Zakładam, że nie musimy przeszukiwać całego domu. Ale zacznijmy od początku.

– Zadzwoń do nich o dwunastej, tak jak było umówione – powiedział Spaak i usiadł na wskazanym krześle. – Nikt nie odbierał, więc zadzwoń jeszcze raz. I usłyszałem, że abonent chwilowo niedostępny, wtedy zacząłem coś przeczuwać. Berger pojawił się parę minut później i weszliśmy do domu...

– Nie skontaktowawszy się z nami? – zapytała Backman.

– Nie otrzymaliśmy takiego polecenia – odparł Berger, a jego twarz i szyja oblały się lekkim rumieńcem.

– Zgadza się – poparł kolegę Spaak. – Nie dostaliśmy takiego polecenia.

– Okej, zapomnijmy o tym – rzekła Backman. – Co zrobiliście, kiedy weszliście do mieszkania? Tak na marginesie, jak się dostaliście do środka?

– Przez drzwi – wyjaśnił Berger. – Nie były zamknięte na klucz.

– Nie były zamknięte?

– Nie.

– Przeszukaliście dom? – zapytał Barbarotti.

– Sprawdziliśmy każdy kąt, a potem zadzwoniliśmy do was.

– I jak to wygląda?

– Przepraszam?

– Chcę wiedzieć, czy to wygląda na uprowadzenie, czy wydostali się samodzielnie – wytłumaczył Barbarotti cierpliwie.

– Jeszcze raz wszystko przeszukamy – dodała Backman. – Ale najpierw chcielibyśmy usłyszeć waszą opinię. Czy na przykład... są jakieś ślady przemocy?

– Nie, jest wysprzątane i czyste. Prawda, Butjo? – zwrócił się do kolegi Spaak.

Butjo skinął głową i potwierdził krótkim:

– Jak cholera.

– Hm. Zróbmy tak. Wy zostanieie tutaj, gdzie jesteście, a inspektor Backman i ja zrobimy rundkę po domu.

– Zrozumiano – odpowiedział Spaak.

– Zrozumiano – rzucił Berger.

Aspiranci prawidłowo ocenili sytuację. Nic nie wskazywało na to, że małżeństwo zostało uprowadzone. Jeśli oczywiście nie mieli do czynienia z ekstremalnie profesjonalnym porywaczem, ale ani Barbarotti, ani Backman w to nie wierzyli. Szczególnie kiedy w łóżku pod poduszką znaleźli

nadajnik, poza tym w tym wysprzątany domu nie było niczego podejrzanego.

– Uciekli – stwierdziła Eva Backman, kiedy skończyli inspekcję sześciorokowej willi. – Wszystko na to wskazuje. Pamiętasz, co ci powiedziałam?

– Ukryty plan – wymamrotał Barbarotti. – Założyliśmy się w końcu czy nie?

– Nie mam pojęcia – powiedziała Eva Backman. – Ale i tak zasługuję na pochwałę. Cwaniacy! Musieli się wydostać tylnym wyjściem. Powinniśmy byli otoczyć dom.

– Nie przesadzaj, Runge to nie król ani gwiazda futbolu. Musimy pamiętać, że wcale nie jest pewne, że ten cały Nemezis ma zamiar go zabić.

– Dlaczego mamy o tym pamiętać? Przypomnij mi.

– Może chciał go tylko postraszyć. Cała ta operacja to dla policji ogromny koszt, i wszystko na nic. Popraw mnie, jeśli się mylę.

– Chociaż raz masz rację – przyznała Eva i westchnęła.

– Czy ten cały Berger naprawdę ma na imię Butjo?

– Wszystko możliwe.

Wrócili do kuchni.

– Kiedy ostatni raz mieliście kontakt z Rungem? – zapytał Barbarotti.

– Punkt szósta – odpowiedział Spaak. – To znaczy szósta rano. Zadzwo-
niłem, kiedy się zmienialiśmy. Obiekt podniósł słuchawkę, zapytałem, czy
wszystko w porządku, odpowiedział, że tak. I skończyliśmy rozmowę.

– A sześć godzin później zniknęli – rzekła Backman. – Czy podczas
dyżuru zauważyłeś coś dziwnego?

– Kompletnie nic – zapewnił Spaak. – Przez cały czas miałem dom na
oku. Musieli się wydostać tylnym wyjściem.

– Też tak myślę – rzekła Eva.

– Dom ma więcej stron niż tylko front – dodał Berger. – Ale dostaliśmy
polecenie, żeby...

– Wiemy – przerwał mu Barbarotti i odwrócił się do aspiranta Spaaka. –
Jaki miał głos, kiedy z nim rozmawiałeś?

– Runge?

– Tak. Pytam o Albina Rungego.

– A więc... – zaczął Spaak. – Raczej jak zwykle.

– Czy spał, kiedy zadzwoniłeś?

Spaak zastanowił się chwilę.

- Już nie spał... na pewno nie.
 - Dziękuję – powiedział Barbarotti. – Jesteście wolni. Pojedźcie na posterunek i skontaktujcie się ze Stigmanem w sprawie dalszych działań. Aspiranci wstali, pożegnali się z inspektorami i odjechali.
 - Młodzież szwedzka, przyszłość kraju – powiedział Barbarotti.
 - Już to kiedyś mówiłeś – zwróciła mu uwagę. – Ale nie pamiętam, przy jakiej okazji?
 - Tak było napisane na medalach, które dostawałem w szkole – wyjaśnił.
 - Oj. To musiało być całe wieki temu. Ile ty właściwie masz lat? Sto?
 - Dzisiaj kończę sto pięćdziesiąt. Co robimy dalej?
 - Barbarotti w odpowiedzi otrzymał westchnienie i wzruszenie ramion.
- Niech to szlag – zaklął komisarz Stigman niespełna godzinę później. – To dranie! Jesteście pewni, że uciekli?
- Jak cholera – powiedziała Eva Backman. – Rzecz jasna, nie możemy wykluczyć innej możliwości, ale to raczej... raczej nieprawdopodobne. Urowadzenie dwojga dorosłych ludzi z obserwowanego domu i niezostawienie najmniejszego śladu, nie, to raczej niemożliwe.
 - Pewnie masz rację – zgodził się Stigman i poprawił węzeł swojego niebieskiego krawata. A mieliśmy ich ukryć... – Stigman spojrzał na zegarek – ...mniej więcej teraz. Czyli wykorzystali okazję i w porę uciekli. Co wy na to? Co wy na to?
 - Wszystko się zgadza – odparła Eva Backman.
 - Ale dlaczego? – zapytał Barbarotti.
 - Dobrze pytanie – powiedział Stigman. – Bardzo dobre pytanie. Może Backman zna odpowiedź?
 - Eva zawahała się chwilę.
 - Szczerze mówiąc, to przeczuwałam, że tak będzie. Trochę za dobrze grali... nie, nie jestem specjalnie zdziwiona. Nawet jeśli trudno mi zrozumieć ich motywów.
 - Od samego początku było z nim coś nie tak – dodał Barbarotti. – Nie ufał nam. Na przykład powiedział tylko o dwóch listach. Jakby nie mógł się zdecydować, czy chce nas w to wciągnąć, czy nie. Ale to już przeszłość, pytanie, co robimy teraz.
 - Jeszcze jedna sprawa – przypomniała sobie Eva. – Wysłałam do analizy tę rozmowę telefoniczną... czy można coś powiedzieć o głosie. Odpowiedź przyszła dzisiaj rano. Negatywna, Szwed, bez akcentu, mówił przez

materiał tłumiący głos, mogła to być jakaś tkanina. Prawdopodobnie między dwudziestym piątym a sześćdziesiątym piątym rokiem życia.

Komisarz odchylił się do tyłu i spojrzał w sufit. Na pięć sekund zanurzył się w niebycie.

– Chrzańmy ich – powiedział. – Będą mieli za swoje, gdy coś się stanie. Jak dotąd nie zostało popełnione żadne przestępstwo, co najwyżej... z naciśkiem na najwyżej... formułowano groźby karalne. Zlecę Borgsenowi, żeby sprawdził połączenia, zrobi to szybko. Na razie wystarczy. Macie ważniejsze sprawy. Odezwijcie się, zanim wyjdziecie do domu. Przed wyjściem, pamiętajcie. Pytania? Komentarze? Pytania?

– Na razie nie – odpowiedział Barbarotti. – Właściwie to jedno, jak ma na imię aspirant Berger?

– Berger? Nie mam pojęcia. – Stig Stigman zmarszczył brwi. – A co imię Bergera ma wspólnego ze sprawą?

– Nigdy nic nie wiadomo – rzekł Barbarotti i opuścił pokój szefa razem z inspektorem Backmanem.

Kilka godzin później inspektor Smutas rzeczywiście miał już garść informacji. Jednak nie dały one odpowiedzi na pytanie, dokąd udali się Runge i Sylwander. Na pewno nie opuścili kraju z żadnego większego lotniska i na pewno nie było ich w hotelu w Kymlinge ani w Göteborgu. Tyle było wiadomo. A także to, że o siódmej rano wzięli taksówkę z Olaigatan 6 (ulica równoległa do Strandvägen, co wzmocniło teorię, że opuścili dom tylnym wyjściem). Kierowca nazywał się Paravadis, taksówka została zamówiona godzinę wcześniej, kierunek – dworzec kolejowy. Do którego pociągu wsiedli (jeśli w ogóle), nie wiadomo. Jeśli wykluczy się lokalne połączenia, to prawdopodobnie o 6.55 wsiedli do pociągu jadącego do Göteborga albo dziesięć minut później do Sztokholmu. Bilety najprawdopodobniej kupili na dworcu w automacie, a ponieważ Smutas miał gotowy raport dopiero o piątej po południu, więc do tego czasu małżeństwo mogło już być albo w królewskim mieście, albo w Göteborgu czy Malmö.

– A nawet w Kopenhadze – stwierdził inspektor Smutas lakonicznie. – I gdziekolwiek indziej. Ale zakładam, że nie będziemy za nimi jeździć?

– Nie, nie będziemy – potwierdził komisarz Stigman z niezadowoleniem. – Na pewno nie. W ogóle nie będziemy podejmować żadnych działań. Jeśli nie chcieli przyjąć zaoferowanej im pomocy, to sami muszą sobie

radzić. Sami muszą sobie radzić, mamy ważniejsze rzeczy do roboty. Czy ktoś chciał coś dodać? Jakies opinie?

Nawet asystent Wennergren-Olofsson, który z niewiadomych powodów był obecny na spotkaniu, nie miał nic do dodania, toteż komisarz Stigman poprawił krawat i poinformował, że jutro też jest dzień.

Nowy dzień, ściśle mówiąc.

Ten nowy dzień to czwartek, dwudziesty pierwszy marca. W Kymlinge i okolicy temperatura nie przekraczała zera stopni, a po południu pojawiły się krótkie, ale intensywne opady śniegu. Gunnar Barbarotti prawie cały dzień spędził w swoim gabinecie, pracował metodycznie nad kilkoma przypadkami i zastanawiał się, czy opady śniegu na przedwiośniu nie powinny być zabronione.

Kiedy nie myślał o śniegu i o aktach spraw leżących na biurku (między innymi ucznia liceum, który w garażu parkingowym próbował powiesić, ewentualnie zgwałcić, ewentualnie jedno i drugie, koleżankę z klasy, ale w odpowiedzi dostał nożem w brzuch i leży w szpitalu Sahlgrenska w Göteborgu) do głowy przychodził mu Albin Runge.

Inspektor Backman prawdopodobnie robiła to samo, bo tuż po czwartej weszła do jego pokoju, usiadła i powiedziała, że jest tak zirytowana, że zaraz eksploduje. Od rana co godzinę próbuje dzwonić na komórki obojga małżonków, ale bez skutku.

– Są wyłączone – wyjaśnił Barbarotti uprzejmie.

– Domyślam się. Chciałabym ich wyłączyć też w mojej głowie. Ale, niestety, nie da się. Cholera, nie mogę zrozumieć ich zachowania. Przecież gdyby szczerze powiedzieli, że chcą wyjechać, to pewnie byśmy na to poszli. Po co tak ściemniać?

– Nie mam pojęcia – odparł Barbarotti.

– Dzięki za pomoc.

– Nie ma za co. Zapytamy ich, jak wrócą. Jutro jest ten decydujący dzień. Może pojawią się w sobotę albo w niedzielę. Ale zgadzam się ze Stigmanem, to już nie jest nasza sprawa.

– Może nie. Ale problem w tym, że to siedzi w mojej głowie. I chcę się tego pozbyć.

– W takim razie może wieczorem pójdziemy do kina? – zapytał Barbarotti.

– Do kina? – zdziwiła się Backman.

– Zajmiesz myśli czymś innym.

Pomyślała chwilę.

– Dzięki za propozycję. Ale chyba nie. Pójdę na siłownię, Tam się mogę zupełnie wyłączyć.

– Nic nie szkodzi. Jutro też jest dzień, cytując klasyka. Zobaczymy, czy minie nam tak samo szybko jak dzisiejszy. Czy za twoim oknem też sypał śnieg?

– Jeszcze jak – odparła Eva. – Czy przypadkiem nie mamy już wiosny?

– Właśnie nadeszła.

Piątek niczym się nie różnił. Może tylko trochę mniej sypało i może Barbarottiemu nieco trudniej było się skoncentrować na sprawach, których akta miał na biurku. Przeczytał wycinek z gazety o wypadku sprzed sześciu lat i przez pół godziny porównywał listy pasażerów promu i rodziców dzieci, które zginęły.

Niczego nowego się nie dowiedział. Na lunch podzielił się podgrzaną lazanią z Evą i żeby nie myślała o Rungem, próbował z nią rozmawiać o planach na Wielkanoc. Za tydzień Wielki Piątek i jeśli nawet nie mają wtedy wolnego, poza świąteczną niedzielą i poniedziałkiem, to przecież nikt im nie zabroni przyrządzić zapiekanki z ziemniaków i jagnięciny w rozmarynie. Zrobią tym przyjemność dzieciakom i pokażą, że ogarniają rzeczywistość. Chociażby Wielkanoc.

Przynajmniej tak twierdził Gunnar Barbarotti.

– Jagnięcina jak jagnięcina – rzekła jego koleżanka po fachu i kochanka w jednym.

– Założę się, że nam wpadnie coś ekstra, jak to zwykle bywa.

– Nie sądzę – powiedział Barbarotti. Przecież to Wielki Tydzień, niewiele się wtedy dzieje.

– *Dream on, baby.*

Wciąż próbowała dzwonić na telefony komórkowe uciekinierów. Przynajmniej raz na godzinę, ale bez rezultatu. W policyjnych rejestrach i w internecie sprawdzała, czy ostatnio nie znaleziono ciała mężczyzny, ale po wyjściu z komisariatu (w towarzystwie swojego kolegi po fachu i kochanka w jednym) wiedziała jedynie, że prawdopodobnie nic się nie stało. Wprawdzie w Malmö zamordowano młodego mężczyznę, a w pobliżu Surhammar

zbezczeszczono zwłoki kobiety, ale nic nie było wiadomo o żadnym Albinie Rungem, byłym nauczycielu akademickim i byłym kierowcy autokaru.

Ponieważ poprzedniego dnia Eva Backman intensywnie trenowała, to dziś wieczorem było kino, tak jak proponował Barbarotti. Film nosił tytuł *Searching for Sugar Man*, po obejrzeniu oboje jednogłośnie stwierdzili, że to najdziwniejszy, a zarazem najlepszy film, jaki ostatnio widzieli. Eva oznajmiła, że na dwie godziny zapomniała o Albinie Rungem.

Niestety, po niecałej dobie od wyjścia z kina wrócił do niej z całą siłą.

Telefon zadzwonił w sobotę dwudziestego trzeciego marca, piętnaście po szóstej.

Numer nieznan. Nie odbierała, jednak po trzech czy czterech dzwonekach wcisnęła zieloną słuchawkę.

– Halo?

– Backman? Inspektor Backman...?

Głos balansował na granicy hysterii, ale poznała kto to.

– Tak, to ja.

– Ten... przepraszam, tu Karin Sylwander, który... który...

– Poznaję panią.

– Przepraszam... znaleźli go.

– Nie rozumiem?

– Znaleźli go. Znikł. Albin znikł... nie zszedł na ląd.

– Nie zszedł na ląd?

– Nie, po prostu... po prostu znikł.

– Proszę się uspokoić. Co się stało?

Karin Sylwander zaczęła płakać, ale opanowała się.

– Przepraszam, ale jestem zupełnie rozbita. Albin znikł... kiedy mieliśmy schodzić na ląd, nie było go na promie... przepraszam, wytłumaczę wszystko od początku.

– Koniecznie – powiedziała Eva Backman.

– Popłynęliśmy promem na Åbo, ze Sztokholmu. Wczoraj wieczorem... a dzisiaj, w drodze powrotnej, po prostu znikł. Musieli... musieli go wrzucić do morza. Nie wiem, co...

W tym momencie płacz wziął górę i przerwała połączenie.

Październik 2018

Gunnar Barbarotti patrzył na sześć pasących się owiec. Na jego widok uniosły łby i spojrzały na niego swoimi zielonymi poważnymi oczami.

To chyba najdziwniejsze miejsce ze wszystkich dziwnych miejsc na Fårö. Cmentarz anglikański.

Wystawiony na niepogody i wiatry, ale pilnowany przez to niewielkie szaro-czarne stadko. Niesamowite miejsce, jego historia równie mroczna, jak bezsensowna, wgrzyła się w Barbarottiego jak mały, świadomy celu kleszcz. Spoczywa tu grupa angielskich marynarzy, którzy zmarli na cholera w 1854 roku. Fårösund i cała wyspa Fårö były podczas wojny krymskiej bazą dla floty angielskich i francuskich marynarzy, dlatego tu się znaleźli. I dlatego tu zakończyli życie. Pionki w makabrycznej wojennej choreografii.

Cmentarz był bardzo skromny, rząd kamiennych bloków, ustawionych w kształt prostokąta, ogrodzonych czarnym żelaznym łańcuchem. Dwadzieścia małych bezimiennych grobów. Nie więcej niż czterdzieści–pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Barbarotti przeczytał, że wszyscy, którzy tutaj udali się na wieczny spoczynek, to dowódcy. Reszta załogi została pochowana na morzu.

Człowiek rodzi się w małej angielskiej wiosce – w XIX wieku Anglia wciąż jeszcze była mocarstwem, przynajmniej na morzu – potem wypływa z portu i rusza na wojnę, gdzie walczy o jakiś półwysep na Morzu Czarnym, by skończyć swoją ziemską wędrówkę w Fårö z powodu epidemii cholery.

Właśnie tutaj. Owce odwróciły się tyłem i znikły w zagrodzie. Wykonały swój obowiązek, sprawdziły, kto zakłóca spokój ich zmarłych. Od... ile to już lat?... od stu sześćdziesięciu lat!

Dzisiaj to już inne pokolenie owiec, pomyślał Barbarotti.

Szedł w wietrze po kamienistej plaży. Zatrzymał się i spojrzał na prawie bezchmurne niebo. Pomyślał, jak nieprzewidywalne jest życie. Człowiek

przychodzi na świat w Birmingham, Winsford czy Puntey-on-Trent, by wkrótce zostać pochowanym gdzieś daleko, w Fårö. Ale przecież to właściwie obojętne, gdzie nas pochowają.

Co ty na to, Panie? – zainteresował się Barbarotti. Ty, który siedzisz tam na górze i o wszystkim decydujesz? A raczej Wy. Czy w takim porządku rzeczy jest jakiś sens?

Odczekał kilka minut, ale widocznie tego popołudnia Pan i Marianne byli zajęci czymś innym, mówi się trudno. Nie każdy, kto chce odpowiedzi, ją dostaje. Poszedł po rower, który oparł o niską sosnę, tu, nad morzem rosną tylko takie. To kwestia ich być albo nie być, to zrozumiałe. Drzewa, które pną się ku niebu, prędzej czy później zostają złamane przez jesienne sztormy. Za pychę trzeba płacić. Mądre sosny nie pchają się przed szereg.

Wyjął komórkę, żeby zadzwonić do Evy, ale nie było zasięgu. Planowali, że przyjadą tu razem, ale dziś rano Eva kiepsko się czuła i postanowiła zostać w Valleviken.

– Zadzwoń, jak będziesz chciał, żebym cię odebrała z promu – powiedziała. – Jeśli będziesz zmęczony.

Barbarotti wcale się nie zmęczył. Może zadzwoni z Kyrkviken albo z Gåsemory. Wcale nie planował zapuścić się dalej niż do tej zamieszkałej przez owce wyspy. A może pojechać przez Dämbę i zahaczyć o Hammars? Gra jest warta świeczki.

Gra jest warta świeczki? – pomyślał. Czy naprawdę liczę na to, że spotkam tam Albina Rungego... który może wcale nie jest tym Albinem Rungem, tylko zupełnie innym bytem, mniej lub bardziej bezwolnym. Mniej lub bardziej nieprzewidywalnym.

Od tamtego wieczoru, kiedy ten dziwny rowerzysta czekał na prom do Fårösund, minęły już dwa tygodnie. A niech tam, doszedł do wniosku Barbarotti i popedałował na północ. I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Po tygodniu dotarły raporty od Smutasa. Ślęczeli nad nimi przez trzy długie wieczory, dyskutowali o nich i próbowali znaleźć ich słabe strony. Została im jeszcze ponad połowa, a w Barbarottim rosło poczucie, że podczas śledztwa w 2013 roku nie popełniono żadnych większych błędów. W ten sam sposób malało w nim przekonanie, że mężczyzną, na którego się natknęli na tej gotlandzkiej wyspie, był Albin Runge.

Tyle że wcale nie miał zamiaru się do tego przyznawać.

Natomiast nie ulega wątpliwości, że w okolicy mieszka brodaty mężczyzna ściągający włosy w kucyk, noszący skórzaną czapkę z daszkiem i jeżdżący czerwonym rowerem. Ten sam, albo nie ten sam, co przypuszczalnie nieżyjący były kierowca autokaru, którego ostatni raz widziano pięć i pół roku temu, dziewiętnastego marca wieczorem, w jego domu na Strandvägen w Kymlinge.

On czy nie on? Oto jest pytanie (jak mawiał kolega po fachu). I tak będzie w nieskończoność, jeśli nie uda im się namierzyć go po raz trzeci. Runge czy nie Runge?

Ale mają jeszcze sporo czasu. Poprzedniego wieczoru zadzwonił inspektor Lindhagen i powiedział, że niestety nie przyjadą z żoną do Valleviken na Wszystkich Świętych, jak wcześniej obiecywał. Córka, która mieszka w Barcelonie, potrzebuje ich wsparcia, *shit happens*. Czy gościom niczego nie brakuje?

Skądże znowu, zapewnił go Barbarotti, chcieliby zostać do Bożego Narodzenia, ale praca trochę pokrzyżowała im plany.

– A to pech – skomentował słowa Barbarottiego Lindhagen. – W każdym razie macie jeszcze trzy tygodnie... co najmniej.

Wszystko się zgadzało. Był piętnasty października, piękny, jesienny dzień na Fårö – a ich urlop potrwa do czternastego listopada. Szczerze mówiąc, nie ma się na co skarżyć, pomyślał Barbarotti, mijając rowerem budynek w Dämbie, który, jak się domyślił, musiał być prywatnym kinem tego wielkiego szwedzkiego reżysera.

Persona, przyszło mu nagle do głowy. Widział najwyżej siedem–osiem filmów Bergmana, *Persona* była jednym z nich. Co to słowo właściwie znaczy? Czy to maska skrywająca prawdziwą naturę człowieka... czy coś w tym stylu?

Znak czy nie znak, oto jest pytanie. Niezbadane są wyroki Pana.

Kiedy dwanaście minut później dojechał do kościoła, żadnego mężczyzny z czerwonym rowerem nie spotkał. Żadnego innego rowerzysty też nie, za to kilkadziesiąt owiec, kilka koni, trzy samochody i jednego rolnika. Zatrzymał się i zadzwonił do Evy.

– Tu Gunnar. Jestem przy kościele w Fårö, jak się czujesz?

– Trochę lepiej – odpowiedziała Eva. – Wciąż czytam raporty i chyba coś mam...

– Świetnie. Co takiego?

– Mały szczegół. Ale powiem ci, jak wrócisz. Kiedy się ciebie spodziewać?

Barbarotti słyszał w słuchawce, że Eva się zaśmiała. Przełknął dumę i powiedział, że ma problem z tylnym kołem, więc byłoby miło, gdyby go odebrała z promu. To najwyżej dwadzieścia kilometrów od Valleviken. A nawet piętnaście.

Barbarotti spojrział na zegarek.

– Powinienem zdążyć na prom o czwartej... albo osiem po. Jeśli tylko rower wytrzyma.

– Wytrzyma, wytrzyma – zapewniła go Eva Backman. – W takim razie widzimy się za godzinę?

– Świetnie. Weź liny, to zamocujemy rower na dachu.

– Okej. – Eva się rozłączyła.

Cholera, pomyślał. Co ona takiego znalazła, co mnie umknęło? Teraz powrót pod wiatr.

To był rzeczywiście mały szczegół.

– Przeczytaj – powiedziała Eva kilka godzin później, kiedy byli już w domu. – Prawda, że coś dziwnego jest w jego słowach?

Barbarotti podniósł otwartą teczkę i zaczął czytać. Chodziło o terapeutę, z którym Runge spotkał się kilka razy po wypadku. Przesłuchującym była Eva Backman, dwudziesty szósty marca 2013 roku – sala przesłuchań, komisariat policji w Göteborgu. Terapeuta nazywał się Lindberg i przeniósł się do Göteborga rok wcześniej. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy małżeństwo Runge/Sylwander przeprowadziło się do Kymlinge.

Na pytanie inspektor Backman, czy uważa, że Runge ma osobowość suicydalną, celowo użyła tego dość niezręcznego sformułowania (w każdym razie tak uważała półtora roku później), Lindberg odpowiedział:

To bardzo trudne pytanie. Jednak w tym konkretnym wypadku z całą pewnością mogę stwierdzić, że tak. A nawet więcej, był martwy już wtedy, kiedy się spotykaliśmy. Oczywiście, nie w sensie klinicznym, ale sprawiał wrażenie, jakby zupełnie wycofał się z życia. Raz nawet sam się tak wyraził. „W sprawach zasadniczych jestem martwy. Nic mnie nie interesuje, nic nie czuję i w niczym nie widzę sensu”.

Barbarotti dwa razy przeczytał odpowiedź terapeuty i pokręcił głową.

– Coś mi tu nie gra.

– Co takiego? – zapytała Eva.

– Szczerze mówiąc, sam nie wiem.

Zaśmiała się.

– No to jest nas dwoje, bo ze mną jest tak samo.

– Może odłożymy to na kilka dni głęboko w zwoje mózgowe – zaproponował Barbarotti. – Nie wszystko staje się jasne tylko dlatego, że tego bardzo chcemy.

– Pamiętasz, co powiedział Van Veeteren? Wtedy, w Maardam. Kiedy mówiliśmy o powtarzających się wzorcach... twierdził, że są wzorce, które zauważamy, i te, których nie zauważamy. Zazwyczaj widzimy trywialne, mało znaczące. To uproszczenia, które sami tworzymy, bo one porządkują nam rzeczywistość. Prawdziwe wzorce, które rzeczywiście wskazują na coś ważnego, tylko przeczuwamy, domyślamy się ich.

Barbarotti zastanowił się chwilę.

– Tak, może nie tak słowo w słowo jak ty, ale samo przesłanie... tak, pamiętam. Ale nie bardzo rozumiem, jak to się ma do Albina Rungego.

– Ja też nie. Ale przecież mówimy tylko o domysłach, prawda?

– Niby tak. Ale wiesz co, robię się głodny. Może zjemy to spaghetti z wczoraj?

– Jestem za. A później...

– ...poświęcimy chwilę na te teczki – dokończył Barbarotti i wstał z sofy. – Byłoby dziwne, gdybyśmy nie znaleźli nic konkretniejszego niż tylko domysły.

Eva się skrzywiła.

– Może po prostu śledztwo zostało przeprowadzone perfekcyjnie, to też powinniśmy brać pod uwagę.

– Nie byłoby źle, gdyby się okazało, że tak jest – powiedział Barbarotti.

– W końcu wskazaliśmy kilku sprawców.

– Wiem. I jeśli mam być szczerą, trochę mnie to niepokoi.

– Pewnie masz powody. Spaghetti jest w lodówce?

– Tak.

Eva nie mogła spać. Dochodziła północ i Gunnar już głośno chrapał. Kochali się długo i czule, a teraz przypomniało jej się coś, co przeczytała dawno temu, kiedy jeszcze była młoda i zielona, w poradniku seksualnym czy innej książce przetłumaczonej przez jakiegoś guru od seksuologii. (Była wtedy z Villim). O kobiecym albo męskim orgazmie, nieważne. Mężczyzna pozbywa się nasienia i momentalnie robi się bardzo zmęczony, podczas gdy kobieta, która przyjmuje jego życiodajny dar, wręcz przeciwnie, staje się ożywiona i rześka.

I tak w istocie jest. Przez lata zdążyła to zauważyć. Szczerze mówiąc, nie ma się z czego cieszyć. Kochanek padł, a jego kochanka leży i nie może zasnąć. Co ma teraz zrobić ze swoim wigorem i energią? Jeśliby się kochali rano lub w ciągu dnia, wybór byłby szeroki. Można by pobiegać, pozmywać naczynia, pracować czy wypić lampkę wina, chociaż to dotyczy bardziej czasów młodości. Szybki numerek, kiedy nadarza się okazja. Teraz, w dojrzałym wieku, pięćdziesiąt plus (dla samca to pięćdziesiąt plus plus), te zabawy dorosłych odbywają się zazwyczaj późnym wieczorem i we wspólnym łóżku, co bardzo odpowiada samcowi, który po wykonaniu zadania odwraca się na drugi bok i zaczyna chrapać.

Te refleksje pojawiły się u niej nagle, jak bańka powietrza na wodzie czy w trzewiach. Dobrze wiedziała, że prawdopodobnie będzie musiała przeczekać w ciemności jeszcze godzinę lub dwie, zanim błogosławiony sen... weźmie ją w swoje ramiona. Nie miała ochoty na czytanie, poza tym nie chciała obudzić życiodajnego donatora śpiącego u jej boku. Może sudoku w komórce? Nie, dziękuję. Wordfeud? Nie grała w to od pół roku, zresztą zapraszać kogoś do gry o tej porze... nie, to byłoby podejrzane.

Pozostało myślenie.

Nie czuję się szczególnie dobrze, po pierwsze.

Nie czuję się też szczególnie źle, ale tej jesieni, i tej nocy, i w tej chwili, kiedy dochodziło wpół do pierwszej, czuła więcej niż zwykłą chandrę. W jakim miejscu życia jest teraz?

W łóżku, gdzieś w gotlandzkiej parafii, o której istnieniu jeszcze kilka miesięcy temu nie miała pojęcia. Z mężczyzną, którego poznała prawie ćwierć wieku temu i z którym pracuje pewnie tyle samo. I z którym mieszka, jakby byli najzwyczajniejszym małżeństwem.

Jakim, cholera, najzwyczajniejszym? – wymamrotała w ciemności. Istnieje może najwyżej dziesięć par w tym kraju, które żyją lepiej niż oni, para gli-niarzy z Willi Pickford w Kymlinge. Wiedziała to już od momentu wprowadzenia się do tego starego drewnianego domu, zbudowanego przez znanego producenta filmowego. Gunnar kupił go przed ślubem z Marianne. Po jej śmierci planował go sprzedać, jeśli... jeśli w jego życiu nie pojawiłaby się Eva Backman i nie zaproponowała mu innego rozwiązania.

To, że nie czuję się najlepiej, nie ma nic wspólnego z naszym związkiem. A raczej z tym, co się wydarzyło trzynastego sierpnia na Vårdstavägen w Kymlinge.

Wtedy zabiła człowieka.

To wciąż w niej tkwiło. To ją zmieniło. Coś się w niej obudziło. Coś głęboko ludzkiego. Albo nieludzkiego. Napisano na ten temat setki poradników psychologicznych. Co się dzieje z człowiekiem, który odbiera życie drugiemu człowiekowi. Kiedy zostaje przekroczona granica i tabu zostaje złamane. Nie wiemy, jak byśmy postąpili, dopóki tego nie doświadczymy. Ona zrozumiała to w ciągu dwóch miesięcy. To, co się stało, nie dotyczyło ogółu. To dotyczyło jej życia i życia tego młodego chłopca, Moamara Kajali, który nigdy nie doczeka osiemnastych urodzin, bo zginął na miejscu od kuli prosto w głowę.

A gdyby nie trafiła tak celnie? Gdyby potrafiła przewidzieć, co się stanie, i miała więcej czasu, żeby oddać strzał ostrzegawczy?

Albo gdyby w ogóle nie strzeliła? Czy ta całująca się para zdołałaby się wydostać z samochodu? Zanim pokonałyby ich płomienie? Zanim zrobiłoby się za gorąco? Trzy czy pięć sekund później? Funkcjonariusz straży pożarnej poruszył te aspekty, ale go nie słuchała. W każdym razie Bertramsson, który prowadził dochodzenie, oczyścił ją ze wszystkich zarzutów, ale nie o to chodzi. Chodzi o jej własne odpowiedzi na te same pytania – i wiele innych – od których wciąż nie może się uwolnić.

Ani ona, ani Gunnar nie poszli na pogrzeb. Odradzono im i posłuchali. Obecny był tylko komendant policji, Regnér, z zachowaniem pełnej dyskrecji, w cywilu, a mimo to pojawiły się jakieś zgrzyty. O co konkretnie chodziło, nie wiedziała i nie chciała wiedzieć. Te informacje dotarły do niej

z drugiej czy trzeciej ręki. Może to potwierdzenie, że dobrze zrobiła, zostając w domu. Morderca nie idzie na pogrzeb swojej ofiary. Szczególnie jeśli wiadomo, kto jest tym mordercą.

Morderca?

To głęboko niesprawiedliwe określenie, ale sprawiło, że jej myśli zmieniły kierunek.

Albin Runge?

Miał na swoim sumieniu nie jedno, ale osiemnaście istnień ludzkich. Mimo to też nie zasługuje na określenie morderca. A czy w tej niewyjaśnionej historii są tacy, do których to miano pasuje?

Morderca jest na wolności. Co za natrętna sugestia kryje się w tym wyrażeniu.

Panowało przekonanie, że w sprawie Albina Rungego ktoś taki istnieje, i ten wniosek wysnuto zgodnie z prawidłami sztuki kryminalnej.

A jeśli facet rzeczywiście żyje? To znaczy ofiara. W takim razie Gunnar Barbarotti, jej kolega po fachu i kochanek w jednym, ta ślepa kura znana z tego, że potrafi znaleźć ziarno, tam gdzie nikt inny go nie widzi, ma rację. Ten długowłosy brodaty rowerzysta w czapce z daszkiem, którego dwa razy spotkali tu, w północnej Gotlandii, jest tym samym mężczyzną, który został wyrzucony za burtę na promie z Finlandii pięć lat temu i którego uznano za zmarłego.

Co to oznacza?

Dochodzenie zostało zamknięte, jak się to nazywa w nomenklaturze policyjnej. Ale z prawnego punktu widzenia nie było to takie proste. Nie była to wymarzona sytuacja i niewątpliwie dość nietypowa. *Cold case*, czyli sprawa rozwiązana i jednocześnie nierozwiązana, jakich wiele na świecie.

Eva wciąż leżała i próbowała zrozumieć albo chociaż naszkicować w myślach możliwy scenariusz, w jaki sposób tej ślepej kurze udało się znaleźć największe ziarno. Ta myśl nie dawała jej spokoju... w końcu po którymś z kolei przewąłkowaniu w głowie starych obrazów i na wpół zapomnianych rozmów zauważyła, że ta życiodajna sperma zaczyna tracić swoją magiczną moc.

Ziewnęła. I tak do niczego nie doszłam, skonstatowała śpiąca i spojrzała na zegarek. Piętnaście po drugiej.

Ale udało jej się zabić parę godzin. Czy zamordować, jak kto woli.

Gunnar Barbarotti obudził się i spojrzął na zegarek. Wpół do trzeciej. Zastanawiał się, co go obudziło. Eva leżała przy jego boku i spała, spokojnie oddychając. Pamiętał, że się kochali, wciąż jeszcze czuł to w ciele. Zasłużyła na dobry sen. Nie było żadną tajemnicą, że ten strzał na Vårdstavägen wciąż ją prześladował. To dlatego teraz tu są i często o tym rozmawiają, chociaż wraz z nadejściem krótszych i chłodniejszych dni coraz rzadziej. W każdym razie sen jest najlepszym lekarstwem, jak kiedyś napisał pewien stary mistrz – a jeśli nawet nikt by tego nie napisał, on sam by to zrobił. Ale dlaczego się obudził? Co go wyrwało ze snu? Jeśli nie mucha, komar czy budzik, to musiał to być najbanalniejszy powód. Sen, który zбочył z torów i miał już dość własnych niedorzeczności czy coś w tym rodzaju.

Albin Runge! Już wszystko jasne, przecież nawet dziecko by się domyśliło.

Co Albin Runge robił we śnie Barbarottiego?

To bardzo uzasadnione pytanie, jednak bez odpowiedzi. Niestety. Cała ta historia przetoczyła się przez niego i spowodowała, że teraz ma przed sobą bezseną godzinę. Mówi się trudno. Zresztą to nie pierwszy raz.

Ostrożnie odsunął kołdrę i zszedł na dół do łazienki, wysikał się, a potem usiadł na sofie przed kominkiem. Poduszka pod głowę i koc na nogi. Żadnej lampy, geniusz lepiej myśli w ciemności, bez rozpraszaających go wrażeń zmysłowych.

Na razie wszystko w porządku. Doza nieuzasadnionej pewności siebie nigdy nie zaszkodzi.

Co najbardziej nie daje mu spokoju w sprawie Albina Rungego? Poza tym, że prawdopodobnie człowiek ten wciąż żyje?

W pewnym sensie to Barbarotti przywrócił go do życia, ale czy to, cholera, możliwe? Co takiego się stało? Jaki scenariusz przeoczyli, pięć... nie, to już pięć i pół roku temu? Dochodzenie zostało zamknięte i odłożone do akt.

Ale pytanie, co się, do cholery, wtedy stało, wciąż pozostaje bez odpowiedzi. Przecież osoba wyrzucona z promu do lodowatej wody nie może kilka lat później stać na drodze w Valleviken, w parafii Rute, na pięknej gotlandzkiej wyspie i dłużyć przy rowerze. Na żadnej innej drodze czy innym promie też nie. Nawet jeśli to był sam Harry Houdini. Powinien już dawno nie żyć, a nie chodzić po ziemi.

Ergo?

Ergo co?

Ergo Ia: Albinowi Rungemu w jakiś tajemniczy sposób udało się wydość na ląd. Ewentualnie został wyciągnięty z wody na pokład innego statku. Jednak to jest jeszcze bardziej nieprawdopodobne, gdyż media trąbiłyby o tym na lewo i prawo.

Ergo Ib: Nigdy nie został wyrzucony z żadnego promu. A to oznacza, że całą historię trzeba napisać od nowa.

Ergo 2: Runge nie żyje. Mężczyzna, który jechał na rowerze w północnej Gotlandii, Roku Pańskiego 2018, to nie ten nieszczęsny były kierowca autokaru. To tylko przywidzenie komisarza policji z Kymlinge.

Barbarotti uświadomił sobie z wyraźną niechęcią, że gdyby miał sto koron, to przynajmniej osiemdziesiąt postawiłby na ergo 2.

Cholera. A jeśli mimo wszystko, zanim jego nieuzasadniona pewność siebie na dobre z niego uleci, warto poświęcić choć trochę uwagi ergo Ia i Ib i zastanowić się, na które z nich postawić pozostałe dwadzieścia koron?

Minęła dobra chwila, zanim po długich oporach, jakby gramolił się na błotniste wzgórze, jego nocne przemyślenia zaczęły zanikać, a na sekundę przed zaśnięciem wydawało mu się, że zna odpowiedź.

Jeśli nawet nie odpowiedź, to przynajmniej jakąś jej namiastkę. Jednak czy wciąż ją będzie pamiętał, kiedy następnego ranka, nieważne, czy będzie słoneczny, czy deszczowy, obudzi się i otworzy oczy, to już zupełnie inne pytanie. Bardzo ulotne.

Marzec–kwiecień 2013

Komisarz Stigman miał taką minę, jakby zajął ostatnie miejsce w biegu Vasaloppet.

Albo przegrał w pokera miesięczną pensję. Chociaż jeśli chodzi o niego, bardziej prawdopodobna jest pierwsza wersja, pomyślał Barbarotti. Komisarz nie należy do tych, co grają o duże stawki.

– No dobrze – zaczął Stigman. – Wszyscy na miejscu? W takim razie zaczynamy.

Była niedziela, dwudziesty czwarty marca. Ci wszyscy to Stigman, Barbarotti, Backman i Smutas oraz aspiranci Wennergren-Olofsson i Tillgren. Inspektor Toivonen dołączył za jakąś godzinę, kiedy ogarnie sytuację w domu. Była dziesiąta rano i jego żona, pielęgniarka, z którą ma troje dzieci w wieku szkolnym i przedszkolnym, wróciła właśnie z nocnego dyżuru.

Ktoś, prawdopodobnie sam komisarz, opuścił żaluzje, żeby w ten niezwykle piękny dzień do pokoju nie wpadało słońce.

– Nie muszę przypominać, że sprawy poszły nie tak, jak powinny – kontynuował Stigman po zwyczajowej wstępnej pauzie. – Tak bardzo, że aż wam oczy wyjdą na wierzch ze zdziwienia. Proponuję, żeby inspektor Backman opowiedziała pokrótce, co się stało. Backman, proszę. Co się stało?

Eva Backman odchrząknęła.

– Oczywiście, istnieje jeszcze wiele niejasności. Ważne, żeby o tym pamiętać. Wiemy, że... że Albin Runge zniknął z promu między Åbo a Sztokholmem. Albo wskoczył do morza z własnej woli, albo ktoś inny zadbał o to, żeby się tam znalazł. Zakładam, że jedna lub kilka osób wyrzuciło go za burtę. Innymi słowy, morderstwo... i z dużym prawdopodobieństwem zaplanowane. Dokładnie zaplanowane, tak uważam.

– A więc rodzice? – zastanawiał się na głos Wennergren-Olofsson. – Co za ludzie, przecież to był zwykły wypadek i...

– Wolnego, bez pośpiechu – przerwał mu Stigman.

– Też myślę, że trochę za wcześnie na takie osądy – zgodziła się Eva Backman. – Ale wiele wskazuje na... Nemezis i tak dalej. W każdym razie już wiemy, co się stało, bo wczoraj o szóstej wieczorem zadzwoniła do mnie żona Albina Rungego, Karin Sylwander. Prom dopłynął do Sztokholmu i wszyscy pasażerowie zeszli na ląd... oprócz Albina Rungego. Wieczorem policja przeszukała cały prom, ale nie znaleźli go... ani żywego, ani martwego. Żona zauważyła jego zniknięcie godzinę przed dopłynięciem do portu. Szukała go też wśród pasażerów, którzy nie mieli samochodów... czyli większość. A dokładnie... – spojrzała w swoje notatki – ...wśród dziewięciuset osiemdziesięciu pięciu osób. Twierdzi, że przeczuwała coś złego i ustawiła się przy wyjściu. W ten sposób upewniła się, że jej męża nie ma wśród schodzących na ląd. Ostatni raz widziała go przed czwartą po południu, kiedy poszedł do sklepu kupić whisky. Czyli dwie godziny przed przybyciem promu do Sztokholmu.

– Rozmawiałaś z nią tylko przez telefon? – zapytał inspektor Smutas.

– Zgadza się. Zadzwoniła wczoraj około szóstej po południu, kiedy prom już dotarł do portu i kiedy domyśliła się, że coś złego stało się z jej mężem. Potem rozmawiałam z nią jeszcze trzy razy. Dwa razy wczoraj i raz dzisiaj rano.

– Gdzie ona jest teraz? – zapytał aspirant Tillgren.

– W pociągu, ale do tego dojdę za chwilę. Najpierw kilka słów o okolicznościach ich zniknięcia. To znaczy ich decyzji nieskorzystania z naszej pomocy, tylko wzięcia sprawy we własne ręce.

– Pieprzeni idioci – podsumował Wennergren-Olofsson.

– Dziękuję za tę cenną uwagę – powiedział Stigman. – Ale o ich zachowaniu będziemy dyskutować później. Kontynuuj, Backman. Kontynuuj.

Eva napiła się wody i ciągnęła:

– Z jakiegoś powodu postanowili uciec z pola walki. Chcieli się ukryć przed groźbami, które wisiały nad Rungem... bez naszej pomocy i bez naszej wiedzy, mimo wcześniejszej umowy. O ile mi wiadomo, opuścili swój dom w Kymlinge w środę wczesnym rankiem i taksówką pojechali na dworzec. Z tego, co mówiła, złapali pociąg do Sztokholmu z przesiadką w Skövde i po południu zameldowali się w hotelu Reisen na Skeppsbron. W piątek o siódmej wieczorem wsiedli na prom Viking Line na Åbo. To dość popularny rejs, szczególnie w weekendy, większość pasażerów nie schodzi nawet na ląd w Finlandii. Chodzi głównie o to, żeby dobrze zjeść, wypić i zabawić się, a nawet poderwać jakąś laskę, zrobić zakupy i po pro-

stu wyrwać się z domu na jeden dzień... chyba wszyscy znamy to z doświadczenia, prawda?

– Jednodniowy rejs z tanim alkoholem i dobrym żarciem – powiedział Wennergren-Olofsson. – I tabunem dziewczyn. Kiedyś kilka razy było się na takim rejsie, zanim się człowiek ustatkował...

– Nie wątpię – powiedziała Backman. – W każdym razie postanowili uciec przed Nemezis na pełne morze. Możemy myśleć, co chcemy, ale najwyraźniej plan się nie udał. Jak już mówiłam, rozmawiałam z nią tylko przez telefon, teraz jest w drodze do Kymlinge i umówiliśmy się u niej w domu na jutro po południu na bardziej formalne przesłuchanie.

– To ona została w Sztokholmie? – zapytał Smutas. – To znaczy na noc?

– Mieli w hotelu opłaconą jeszcze jedną dobę. Rozumiem, że nie chciała od razu wracać do domu... może czekała, że wieczorem albo w nocy pojawi się coś nowego.

– Na przykład ciało – wtrącił Wennergren-Olofsson.

– Na przykład – powiedziała Backman. – Dodam tylko, że cały czas spędzili w hotelu. W czwartek zjedli lunch na Starym Mieście. A w piątek poszli na Vikingterminalen... tak, i to by było tyle. Gunnar kontaktował się z Viking Line.

– Barbarotti, proszę – zdążył wtrącić Stigman. – Co ci powiedzieli?

– Nic szczególnego – odparł Barbarotti. – Nie dostaliśmy jeszcze listy pasażerów, ale dzisiaj powinna przyjść. Ciekawie będzie porównać ją z listą pasażerów autokaru sprzed sześciu lat i z listą rodziców. Jeśli coś znajdziemy, posuniemy się do przodu, ale...

– Ale? – rzekł Stigman. – Ale?

– Ale trochę w to wątpię. Intendent Brundin z Viking Line twierdzi, że bardzo łatwo wsiąść na prom z biletem na inne nazwisko, a sprawca raczej zadbał o taki szczegół.

– Czy łatwo jest wyrzucić ciało za burtę? – zapytał Smutas. – Przecież ktoś może zauważyć?

– O tym też rozmawiałem z Brundinem – powiedział Barbarotti. –

W nocy, kiedy jest ciemno, ryzyko jest znacznie mniejsze, poza tym na pokładzie jest kilka miejsc, które są niewidoczne, a o czwartej rano, kiedy bary są już pozamykane, ludzie raczej nie kręcą się po promie. Był pewny, że trzeba się skupić na tym przedziale czasowym... między trzecią a piątą, tak twierdził.

– Czy wcześniej to się zdarzało? – spytał Tillgren. – Że ktoś zniknął z promu?

– Zdarzyło się – potwierdził Barbarotti. – I to nie raz.

– Ale przecież ciało wypływa – zwrócił uwagę Wennergren-Olofsson.

– Jeśli się nie zapłącze w łańcuchy czy w jakieś inne świństwo, to tak – odpowiedział Barbarotti. – Jeśli zostanie wrzucone do wody bez obciążenia, to po kilku dniach wypływa na powierzchnię, bo tworzą się gazy... jeśli ryby nie zdążą się do niego dobrać. Tylko połowa trupów wypływa.

– Brundin? – zainteresował się Stigman. – Dowiedziałeś się tego od intendenta Brundina?

Barbarotti pokręcił głową.

– Nie, rozmawiałem z lekarzem sądowym z Solny. Niedługo wszystko będzie wiadomo. Albo wypłynie, albo nie.

– Zgadza się – powiedział Stigman. – Dobrze. Ale pamiętajcie, że mógł wskoczyć do wody z własnej woli. Pamiętajcie.

– Mógł to zrobić – potwierdziła Eva Backman. – Jeśli tak, to wybrał nie najlepszą porę. Zniknął około czwartej po południu, a wtedy jeszcze jest widno. Jeśli zrobił to z własnej woli, to czas nie ma tu specjalnego znaczenia, ale jeśli ktoś mu w tym pomógł, to dlaczego sprawca nie zrobił tego, kiedy było ciemno?

– Cenna uwaga – zauważył Stigman. – Bardzo ważna. W każdym razie wstępnie musimy założyć, że chodzi o morderstwo. Przecież, do diabła, grożono mu już od pół roku. Ten typ, Nemezis, bardzo jasno dawał do zrozumienia, że dwudziestego drugiego marca chce go zlikwidować... najwyraźniej poczekał do dwudziestego trzeciego, ale to nic nie zmienia. Chodzi tu o jasno sformułowane i dobrze zaplanowane morderstwo. Morderstwo. Rozumiecie?

Nikt z obecnych nie komentował słów szefa, cała piątka pokiwała głowami. To proste jak drut, że ktoś go zabił i wrzucił do morza. Albo nawet wrzucił go żywcem, rezultat jest taki sam.

– Mógł też zostać wywieziony na ląd w bagażniku samochodu – powiedziała Backman. – Ale kiedy prom jest na pełnym morzu, pokład samochodowy jest zamknięty, więc to raczej nieprawdopodobne, ale oczywiście nie niemożliwe.

– Raczej nie – przyznał Smutas.

Komisarz Stigman poprawił swój czerwony krawat i zaczął dokładnie rozważać tę mniej prawdopodobną możliwość.

- Kawa – rzekł w końcu.
- Chętnie, dziękuję – powiedział inspektor Toivonen, który właśnie wszedł do gabinetu.

Reszta popołudnia zeszła na przydzielaniu zadań. Barbarottiemu i Backman przypadła wdowa. Stigman użył określenia „wdowa”, ponieważ w związku z sytuacją było ono odpowiednie. Smutas zajął się swoją specjalnością, czyli wyszukiwaniem w komputerze potrzebnych informacji. O Rungem. O żonie. O ich pobycie w hotelu Reisen i o wszystkim, co miało związek ze sprawą, którą po wielu miesiącach nareszcie można było określić jako „śledztwo w sprawie morderstwa”.

Inspektorowi Toivonenowi przypadło rozesłanie listy pasażerów i sprawdzenie zgodności z listą z 2007 roku. Aspiranci Wennergren-Olofsson i Tillgren zostali zwolnieni z obowiązków, przynajmniej w najbliższą niedzielę, ale muszą być dostępni, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Monsieur szef powiedział, że już o wszystkim poinformował prokuraturę. Oraz że zamierza skontaktować się z kilkoma kolegami ze stolicy. Jeszcze niecały rok temu tam pracował, więc wciąż ma sieć kontaktów.

Bardzo aktywną sieć.

Kontakty z mediami zostały odłożone na później. Informacja, że mężczyzna wypadł do morza z promu płynącego z Finlandii, to wprawdzie jakiś news, ale informacja, że na promie z Finlandii została zamordowana osoba odpowiedzialna za wypadek sprzed kilku lat, w którym zginęło osiemnaście osób, to już zupełnie coś innego.

– Będziemy musieli przesłuchać pasażerów – powiedział Stigman. – Możemy też pójść jeszcze dalej i opowiedzieć całą historię w telewizji w *Poszukiwani* albo w *Przestępstwie Tygodnia*. Ale z tym jeszcze się wstrzymamy. Może uda nam się coś znaleźć w tych listach, wieczorem będziemy już coś wiedzieć. To twoje zadanie, Toivonen. Listy!

– Jasne – odpowiedział Toivonen. – Listy.

– Informujcie mnie na bieżąco – zakończył Stigman. – Spotykamy się jutro o dziesiątej, ale o wszystkim mnie informujcie.

Pociąg był spóźniony niecałe dziesięć minut, Karin Sylwander pierwsza wyszła na peron z wagonu pierwszej klasy. Jeśli komisarz Stigman wyglądał jak pechowy uczestnik biegu Vasaloppet, pomyślał Barbarotti, to ta świeżo upieczona wdowa – o ile można użyć tego określenia – wyglądała

podobnie. Zrozpaczona wdowa. Załamana, zapłakana i cierpiąca. Niosła dwie małe walizki, jedną swoją, drugą prawdopodobnie męża. Kiedy zauważyła Barbarottiego i Backman, postawiła je na ziemi i wybuchnęła płaczem.

– Bardzo nam przykro z powodu tego, co się stało – powiedział Barbarotti. – Ale nie poddamy się.

Nie była to specjalnie wyszukana replika, dlatego dostał od Evy kusańca w bok.

– Mamy samochód – rzekła komisarz. – Właściwie to powinniśmy zabrać panią do komisariatu na przesłuchanie. Ale jeśli pani woli teraz jechać do domu, to tam możemy porozmawiać.

– W domu – odparła Karin Sylwander i pociągnęła nosem. – Dziękuję, chcę natychmiast znaleźć się w domu. To wszystko jest tak straszne, że nie wiem, jak ja sobie poradzę.

Gunnar Barbarotti zaczął szukać odpowiedniej frazy w swoim magazynie pocieszających fraz, żeby powiedzieć coś właściwego, ale nic nie znalazł.

Wiosenne słońce wpadało do kuchni na Strandvägen 11, gdyż w oknie brakowało żaluzji. Karin Sylwander przestała płakać i z pomocą Barbarottiego i Backman zrobiła kawę. Barbarotti pomyślał, że byłoby lepiej przełożyć przesłuchanie na następny dzień. Poinformowali Karin Sylwander, że jeśli już na samym początku śledztwa będą współpracować, to szybciej skończą.

– Będziemy nagrywać rozmowę, żeby nam nic nie umknęło – powiedziała Eva Backman i położyła na stole mały magnetofon. – Rozmawialiśmy już przez telefon, ale mimo wszystko musimy zadać pani kilka pytań, część z nich już pani słyszała. Chcemy wyjaśnić sprawę niezależnie od tego, co się stało z pani mężem. Istnieje szansa, że wciąż żyje, ale musimy być przygotowani na wszystko.

– Przyszło mi do głowy, że może został wepchnięty do samochodu – zauważyła Karin Sylwander – ale to raczej nieprawdopodobne.

– Nie możemy wykluczyć żadnej ewentualności – powiedział Barbarotti. – Kiedy pani widziała męża ostatni raz?

– Tuż po czwartej. Kabinę zazwyczaj opuszcza się wcześniej. Ale jakoś nam to umknęło. Pakowaliśmy się i Albin wpadł na pomysł, że pójdzie do sklepu i kupi whisky. Powiedział, że zaraz wraca. Ale niestety już nie wrócił...

– Czyli dwie godziny przed przyplynięciem promu do portu – kontynuował Barbarotti. – Jest pani pewna, że to była ta godzina?

– Tak, jestem pewna. Myślałam o tym... całą noc się nad tym zastanawiałam, dopływaliliśmy do Sztokholmu, byliśmy mniej więcej na wysokości archipelagu. Trochę dziwne, że... że tak długo z tym czekali.

– Czy ktoś widział pani męża? Personel sprzątający czy ktoś z pasażerów z sąsiedniej kabiny?

Karin Sylwander zastanowiła się chwilę.

– Nie, nie pamiętam. Ale czy on w ogóle dotarł do tego sklepu, coś może wiecie?

– Badamy sprawę – powiedziała Eva. – Czy podczas podróży rozmawialiście z innymi pasażerami? Chociażby w restauracji?

Karin Sylwander się zamyśliła.

– Z jedną parą, wieczorem, przy kolacji, ale tylko z nimi. O ile dobrze pamiętam, byli z Västerås. Potem przy śniadaniu siedzieliśmy przy tym samym stoliku.

– Z nikim więcej?

– Raczej nie.

– A czy wśród pasażerów nie zauważyła pani nikogo znajomego?

– Nie... nie, na pewno nie.

Pałeczkę przejął Barbarotti.

– Szukała pani męża, zanim prom zawinął do portu?

– Czekałam na niego w kabinie około piętnastu minut, może pół godziny... na pewno nie dłużej niż czterdzieści pięć minut. Pomyślałam, że pewnie w sklepie jest kolejka. Miałam przecież nasze walizki...

– Nic z sobą nie zabrał?

– Nie.

– Zatem zaczęła go pani szukać około piątej, tak?

Karin Sylwander wzruszyła ramionami.

– Szukałam, jak szukałam, po prostu stanęłam przy drzwiach wyjściowych i czekałam. Zebrało się już trochę ludzi, to pomyślałam, że prędzej czy później się pojawi.

– Nie próbowała pani do niego zadzwonić?

– Oczywiście, że próbowałam. Zanim dopłynęliśmy, dzwoniłam pięć czy sześć razy, ale bez skutku. Na początku nie było zasięgu... dzwoniłam przez cały wieczór.

– Ale nie używaliście swoich starych numerów, prawda?

– Nie... – Karin Sylwander zaszlochała. – Zmieniliśmy numery, żeby...

– Żeby?

– Żebyście nie wiedzieli, gdzie jesteśmy. Wy i ten Nemezis. Stare numery zlikwidowaliśmy, zanim wyjechaliśmy w... kiedy to było?... w zeszłą środę rano. Przepraszam. Ale to Albin nalegał, powinnam była... nie powinnam się na to zgodzić.

– Zatem była pani przeciwna, o ile dobrze rozumiem? – zapytał Barbarotti.

– Tak... ale tylko na początku. Potem pomyślałam, że to nawet... tak, że to nawet dobry pomysł. Pokój w hotelu zarezerwowaliśmy w pociągu do

Sztokholmu. Bilety na prom też kupiliśmy przed samą podróżą... w piątek. Wydawało nam się, że jesteśmy bezpieczni, nie rozumiem, jak oni nas znaleźli.

– Kiedy pani mówi „oni”, o kim pani myśli? – zapytała Eva Backman.

– O Nemezis. Nie wiem, czy to była jedna osoba, czy więcej, ale to przecież jasne, że... że to musiał być on czy oni. No bo kto inny, na litość boską?

– My też tak sądzimy – odparł Barbarotti. – Ale musimy brać pod uwagę różne możliwości, taka nasza praca. A więc uważała pani, że wasz plan, żeby nam uciec, był dobry, tak? Byliście obydwoje co do tego zgodni, jak rozumiem?

– Tak, wtedy tak uważałam. Teraz jestem zdania, że był beznadziejny.

– Pojechaliście pociągiem z Kymlinge do Skövde, a potem do Sztokholmu, zgadza się?

– Owszem.

– Czy pamięta pani pasażerów z pociągu? Czy ktoś jeszcze jechał z Kymlinge i przesiadał się w Skövde?

Karin Sylwander wyglądała na zaskoczoną i przeniosła wzrok z Barbarottiego na Backman.

– Sugerujecie, że... sugerujecie, że ktoś nas śledził? Przecież to niemożliwe.

– Ale nie nieprawdopodobne – powiedział Barbarotti.

Karin Sylwander pokręciła głową.

– Nie... nie zauważyłam nic dziwnego.

I znów zaczęła płakać.

Godzinę później Barbarotti i Backman siedzieli już w samochodzie. Karin Sylwander zapewniła ich, że nie chce w domu nikogo obcego, że woli być sama, więc ani Barbarotti, ani Backman nie widzieli powodu, żeby na to nie przystać. Każdy ma prawo do przeżywania żałoby na swój sposób.

Niewiele też mieli do powiedzenia na temat przesłuchania. Potwierdzili wszystko to, co już wiedzieli. Właściwie pierwszą osobą, która dowiedziała się o zaginięciu Albina Rungego, była Eva Backman. Dopiero po rozmowie z Evą Karin Sylwander skontaktowała się z obsługą Viking Line, a przez nich z policją w Sztokholmie.

Policjanci przeszukiwali prom dwie godziny, ale nic nie znaleźli, dlatego opóźniło się zejście na ląd ku irytacji i zdenerwowaniu prawie ośmiuset

pasażerów. Potem dwóch policjantów odwiozło Karin Sylwander do hotelu. Backman rozmawiała z jednym z nich, nazywał się Åkerlund i opisał Sylwander jako wstrząśniętą, ale panującą nad sobą.

– Nic nadzwyczajnego, prawda? – powiedział Barbarotti.

– Nie – odparła Eva. – To niewiarygodne, że ten cały Nemezis ich namierzył. Naprawdę wierzysz w to, co sugerowałeś? Że byli śledzeni już w pociągu?

– Sam nie wiem – odparł Barbarotti. – Natomiast wiem, że jestem głodny. Już wpół do trzeciej, a ja dzisiaj zjadłem tylko śniadanie i trzy krakersy, i wypilem kawę.

– W takim razie może hamburger?

– Cokolwiek.

Kiedy napełnili żołądki, pojechali na komisariat. Nie dlatego że musieli, po prostu chcieli się dowiedzieć, co nowego u inspektora Smutasa, który nie pracował z domu z powodu braku odpowiednich warunków.

Siedział w swoim gabinecie ze słuchawkami na uszach i wzrokiem utkwionym w ekran komputera. Pomachał im ręką na znak, żeby usiedli i czekali.

– Masz coś? – zapytał Barbarotti, kiedy Smutas odwrócił się plecami do komputera.

– Nic specjalnego – odparł. – A wy?

– Też nic – przyznała Eva. – Zawieźliśmy wdowę do domu.

– Zawsze coś – powiedział Smutas. – Ja próbuję to wszystko poskładać. Przed chwilą był u mnie Toivonen. Niestety, listy się nie pokrywają. Jeśli nawet na promie był ktoś z pasażerów autokaru, to na pewno nie pod swoim prawdziwym nazwiskiem.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać – powiedział Barbarotti. – Ale mam nadzieję, że jutro trochę nam opowiesz o Rungem i Sylwander?

– Też mam taką nadzieję – odparł Smutas i spojrzął na zegarek. – Czy ktoś pragnie odpocząć? Spotkać się z rodziną?

– Mówi się trudno – stwierdziła Eva Backman.

– Każdemu według możliwości – dodał Barbarotti. – Każdemu według potrzeb.

– Bardzo śmieszne – rzucił Smutas.

Barbarotti z Evą popatrzyli na siebie, po czym zostawili zgorzkniałego kolegę w spokoju.

Wponiedziałek, w Wielki Tydzień, piękna wiosenna pogoda zamieniła się w ulewny deszcz i silny południowo-zachodni wiatr.

Obojętnie, pomyślał Barbarotti, kiedy za piętnaście dziewiąta wchodził do swojego gabinetu. Spotkanie ze Stigmanem zaplanowane było na dziesiątą, więc zostało mu jeszcze trochę czasu. Deszcz walił o szyby i o blaszany dach.

Cholera, co tam się właściwie stało? Niby takie proste pytanie, a wciąż pozostaje bez odpowiedzi. Czy rzeczywiście jest takie proste? Chyba jednak nie, pomyślał Barbarotti. Wiadomo jedynie, że Albin Runge znikł. Jest duże prawdopodobieństwo, że nie żyje. Z podobną dozą pewności można założyć, że padł ofiarą osoby lub osób, które nazywały się Nemezis i mogły mieć związek (tutaj stopień prawdopodobieństwa jest trochę mniejszy) z tragicznym wypadkiem autokaru w marcu 2007 roku.

– A nie? – wymamrotał Gunnar Barbarotti i dolał sobie kawy już drugi raz tego ranka. – Wszystko na to wskazuje. Przecież to logiczne?

Potem zaczął się zastanawiać, jakie kroki należy poczynić, żeby sprawa ruszyła, i nagle wszystko wydało mu się dużo bardziej skomplikowane. Ale to już nie jego problem, przynajmniej na razie. Przed dziesiątą Stigman miał się spotkać z prokuratorem, więc niech oni zdecydują, co dalej. To pewnie prokurator ze Sztokholmu, bo ewentualne przestępstwo nie wydarzyło się w Kymlinge. Ale jeśli nawet śledztwo formalnie podlega prokuratorowi, to i tak przejmie je policja i będzie działać według własnych procedur. Poza tym Barbarotti wiedział, że na Wielkanoc monsieur szef wzięł urlop, żeby pojechać na narty. Kiedy decyzyjne młyny przestaną mieć, to inspektorzy kryminalni będą musieli podjąć stosowne decyzje i ten tonący okręt doholować jakoś do lądu.

Sprawa Albina Rungego leży na moim biurku, pomyślał, nie ma sensu udawać, że jest inaczej. Wypił łyk kawy. Wydało mu się, że ma posmak spalonej gumy, ale już się do tego zdążył przyzwyczaić. Czym zająć swoje pobudzone szare komórki? Żeby chociaż o metr ruszyć z miejsca?

Ta pieprzona lista pasażerów. Dziewięćset osiemdziesiąt pięć osób... minus jedna, przypomniał sobie... nie, minus dwie, wliczając współmałżonkę zaginionego. Tak, to trzeba zrobić najpierw. Niestety, trzeba będzie przesłuchać ogromną liczbę osób. Jeśli komuś się wydaje, że sprawdzenie listy pasażerów autokaru z 2007 roku to była żmudna robota, to lista pasażerów promu przyprawia o zawrót głowy.

Może propozycja Stigmana, żeby iść z tym do telewizji, wcale nie jest taka głupia. Wtedy prawie tysiąc potencjalnych świadków nie będzie żadnym wstydem. Ale przedtem trzeba się skontaktować z tym małżeństwem z Västerås. Mieli kontakt z Rungem i Sylwander w piątek podczas kolacji. Eva wzięła to na siebie. Według informacji na promie było sześć osób z Västerås, a to spora różnica w porównaniu z dziewięćset osiemdziesięcioma trzema.

Ale to na razie odłożymy, pomyślał Barbarotti i ziewnął. Lepiej trochę pospekulować i poczekać, aż krąg się zacieśni. Czyżby irytowało go coś związanego z Albinem Rungem?

Jasne, że tak. Najbardziej to, że Runge i Sylwander zagrali policji na nosie i uciekli. Jak, do diabła, można było wpaść na tak idiotyczny pomysł? Według żony to pomysł Rungego, nie ma powodu, żeby jej nie wierzyć. Od samego początku jego stosunek do policji był trochę podejrzany.

Albin Runge w ogóle należał do osób, które trudno zrozumieć, doszedł do wniosku Barbarotti, odchylił się na oparcie krzesła i położył nogi na biurku. A jeśli skoczył do wody z własnej woli? W takiej sytuacji niedługo powinien wypłynąć. Jeśli żona mówi prawdę. W czasie zniknięcia prom znajdował się mniej więcej na wysokości archipelagu, niedaleko Sztokholmu, przecież Runge nie mógł pójść na dno na głębokości trzystu metrów. Może to tylko kwestia czasu... kiedy jakiś właściciel domku letniego w Standhamn, który postanowił tam spędzić Wielkanoc, pójdzie na spacer na plażę i zobaczy unoszący się na wodzie przedmiot. Przy bliższych oględzinach do złudzenia przypominający człowieka.

Ale jak poznać po martwym ciele, czy jego właściciel znalazł się w morzu z własnej woli, czy też ktoś mu w tym pomógł, to już zupełnie inna kwestia. Niekoniecznie trzeba zabić człowieka przed wyrzuceniem za burtę. Wystarczy wrzucić do lodowatej wody i koniec.

To wszystko.

Był dziwny, jakiś nieprzystosowany, pomyślał Barbarotti, pozwalając płynąć strumieniowi świadomości. Niestety, oboje z Evą Backman

widzieli go przez pryzmat jego tragicznej historii, gdzie wszystko kręciło się wokół poczucia winy za śmierć osiemnastu osób. Może dlatego taki był?

Ciekawe, czego dowiedział się Smutas. Może żoną też trzeba będzie się zainteresować? Byli małżeństwem zaledwie od dwóch lat. Poznali się rok po wypadku. Co ona widziała w tym nudziarzu?

Jego pieniądze? Tylko to? Runge był zamożnym człowiekiem, bynajmniej nie dzięki pracy własnych rąk, pieniądze odziedziczył w spadku po rodzicach.

Jest jeszcze wiele pytań, skonstatował Barbarotti i przez okno wylał resztkę kawy. Sztuka polega na tym, żeby wszystkiemu przyjrzeć się w odpowiedniej kolejności.

Spojrzał na zegarek. Za dziesięć dziesiąta. Czas na odprawę.

Na początku, jak się spodziewano, prokurator Ebba Bengtsson–Ståhle wyjaśniła, że wprawdzie śledztwo jej podlega, ale ma pełne zaufanie do kompetencji policji i jak zwykle liczy na dobrą współpracę. Jakies pytania?

Żadnych pytań. Stigman uprzejmie podziękował i oddał głos inspektorowi Borgsenowi, który zaczął od życiorysu Albina Rungego. Czytał ze swojego laptopa. Zaczął od tego, że Albin Runge urodził się w Alster w 1972 roku. Jedynek, szkołę podstawową i liceum kończy w miejscu urodzenia. Maturę zdaje w Karlstad w 1991 roku. Rok później wyjeżdża na studia do Uppsali, gdzie w 1996 roku zdobywa tytuł magistra z przedmiotów humanistycznych. Następnie praca naukowa i stanowisko asystenta oraz dziekana (na pół etatu) na Wydziale Historii Idei. Zaczęty doktorat z Erazma z Rotterdamu i Marcina Lutera. W latach 1997–2007 żonaty z Viveką Bendler, również nauczycielem akademickim. Bezdzienny. W roku 2002 Runge przerywa karierę akademicką, zmienia zawód i zostaje kierowncą autokarowym w firmie należącej do szwagra, Tommy’ego Bendlera. Jeździ w długie trasy po Szwecji i po całej Europie. Po pięciu latach pracy w Stenstavig w Jemntlandii dochodzi do tragicznego wypadku.

W odstępie pół roku, w latach 2006 i 2007, umierają jego rodzice, najpierw matka, potem ojciec. Zostawiają po sobie duży majątek, na tyle pokaźny, że Runge nie musi pracować. Nie wykonuje żadnego płatnego zajęcia. Od 2008 roku żyje z procentów od kapitału.

W maju 2009 roku poznaje Karin Sylwander, którą poślubia po roku znajomości. Kilka miesięcy później, to znaczy w kwietniu 2010 roku, para

przeprowadza się do Kymlinge i zamieszkuje w dużym domu na Strandvägen.

Smutas zakończył wystąpienie i zaznaczył, że wszystkie informacje plus parę dodatkowych szczegółów prześle mailem za jakieś pół godziny, żeby każdy mógł się z nimi zapoznać we własnym tempie i według własnego rozumu. (O co mu chodzi z tym rozumem, zastanawiał się Barbarotti, ale nie zapytał). W mailu będzie też trochę informacji o znajomych Albina Rungego z czasów studenckich, o krewnych oraz o półtuzinie jego terapeutów, z którymi się spotykał po wypadku. Z tej ostatniej grupy najczęstszy kontakt miał z jakimś Arnem Lindbergiem, który mniej więcej w tym samym czasie co para Runge/Sylwander również wyprowadził się z Uppsali, tyle że do Göteborga. Na temat kręgu znajomych w nowym miejscu zamieszkania niewiele było do powiedzenia, para prowadziła spokojne i uporządkowane życie. Arcy spokojne i arcyuporządkowane.

– Sąsiedzi? – zapytała prokurator.

– Będziemy z nimi dzisiaj rozmawiać – zapewnił komisarz Stigman. – Ale nie to jest na razie naszym priorytetem.

– Rozumiem – odpowiedziała prokurator.

– Dziękuję, inspektorze Borgsen – rzekł Stigman. – Czy jakieś komentarze? Jakies komentarze?

Ponieważ wszyscy obecni potrafili czytać i mieli własny rozum, nie zgłosili żadnych pytań ani komentarzy.

– Świetnie – powiedział Stigman. – Inspektorze Borgsen, proszę kontynuować. Teraz żona. Żona.

Karin Sylwander urodziła się w 1980 roku w Rasbokil, pod Uppsalą. Miała brata, który zmarł na raka, kiedy miała dwanaście lat. Maturę zrobiła w Katedralskolan w Uppsali w 1999 roku, następnie studiowała w szkole teatralnej w Sztokholmie, po studiach od czasu do czasu grywała raczej drugoplanowe role w ostatnich teatrach. Plus dwie małe rólki filmowe. W 2003 roku wróciła do Uppsali. W 2007 roku po wielu dorywczych pracach – głównie w firmach ubezpieczeniowych, gdzie nabyła również wiedzy ekonomicznej – zatrudniła się w Swedbanku. Zanim spotkała Albina Rungego, nie miała ani męża, ani dzieci. Była w dwóch nieformalnych związkach, w 2003–2006 z Thomasem Holgessonem (prawnik pracujący w Trygg Hansa), w 2006–2009 z Alexandrem Johanssonem (przedsiębiorca budowlany). Ostatni związek zakończyła tuż przed poznaniem

Albina Rungego. Zaraz po ślubie z wyżej wymienionym zakończyła pracę w Swedbanku. Jeszcze tego samego roku para przeniosła się do Kymlinge. Rodzice Karin Sylwander żyją i mieszkają w Rasbokil. Babcia i pozostali krewni również żyją.

I to tyle. Oczywiście jest to dalekie od satysfakcjonującego, przyznał Smutas, ale lepsze to niż nic.

– Trudno ocenić, co w tej sytuacji jest ważniejsze – wyjaśnił pedagogicznie komisarz Stigman. – Trudno ocenić.

Inspektor Barbarotti uświadomił sobie, że przez całe spotkanie podpierał powieki zapalkami, taki był śpiący, bardzo pożałował, że pozbył się ostatniego łyka kawy, wylewając ją za okno.

Coś dziwnego jest z głosem Smutasa, pomyślał. Ma dokładnie ten sam ton co wentylacja w pokoju.

Do końca dnia więcej się dowiedzieli o Albinie Rungem i Karin Sylwander.

Że nie utrzymywali kontaktów z sąsiadami ani z rodziną Stenwall, ani z Rosanderami, ani z dziewięćdziesięcioletnim Algotem Olsénem, który mieszkał samotnie na Olaigatan. To właśnie przez jego ogród uciekli policji przed pięcioma dniami.

Göran Stenwall powiedział, że Runge i Sylwander zawsze byli uprzejmi i nienadgorliwi, jeśli chodzi o dziko rosnący bez, który oddziela obie działki, a który był kością niezgody z poprzednimi sąsiadami. Ale ani Göran Stenwall, ani jego żona nie postawili nawet stopy na ich działce. I vice versa.

Ale to byli porządni i kulturalni ludzie.

Małżeństwo Rosanderów było tego samego zdania. Kiedyś pożyczyci Karin Sylwander wąż do podlewania i dwie godziny później już go mieli z powrotem. Nie mogą powiedzieć o nich złego słowa. Na przykład kiedy ich wnuk grał w piłkę i wpadła do ogrodu Sylwander, nie było kłótni ani gniewu, po prostu chłopiec przyniósł piłkę, i tyle. Nie mieli się na co skarżyć, absolutnie.

Jeszcze tego samego dnia, czyli w poniedziałek, potwierdzono też stan ich konta. Było całkiem pokaźne. Spore pieniądze zainwestowali w fundacje, które między innymi zajmowały się działalnością charytatywną w wielu krajach świata. Na koniec grudnia 2012 roku stan ich wspólnego majątku wynosił osiemnaście milionów koron. Plus dom, którego wartość szacowano mniej więcej na sześć milionów koron.

W sumie to dwadzieścia cztery miliony. Łącznie ze spadkiem, który Runge odziedziczył po śmierci rodziców pięć lat wcześniej, to ponad czterdzieści jeden milionów koron. Ekonomicznej strony ich małżeństwa nie do końca jeszcze zdążyli przeświecić, ale dwie rzeczy wzbudziły zainteresowanie. Po pierwsze, pod koniec lutego Albin Runge wykupił polisę ubez-

pieczeniową na życie, której świadczeniobiorcą była Karin Sylwander. Po drugie, od początku roku, czyli w niecałe trzy miesiące, kilkakrotnie dokonano trudnych do sprawdzenia przelewów na łączną sumę czterech milionów koron. Pieniądze wyszły z ich wspólnego konta w Handelsbanken. Na trzech kontach (wszystkie wspólne), które posiadali w Swedbanku i Handelsbanku, w marcu 2013 roku znajdowało się łącznie 15 290 775 koron.

Do tego należy jeszcze dodać ponad dwa i pół miliona koron w formie ubezpieczeń emerytalnych. To dość pokaźna suma, jednak znacznie mniejsza niż kilka lat wcześniej.

– Podejrzana sprawa – skomentowała Eva Backman, kiedy siedzieli z Barbarottim w jej gabinecie i przeglądali raport przygotowany przez Toivonena. – Sumy powyżej miliona zawsze budzą podejrzenie.

– Wydają się podejrzane, bo są podejrzane – podsumował Barbarotti. – Gdyby to była stówka czy dwa pięćdziesiąt, to jasna sprawa.

– Nie może być dwa pięćdziesiąt – przypomniała mu Eva. – Musi być równo trzy. Albo dwa.

– Masz rację, zapomniałem – rzekł Barbarotti. – Ale już rozumiem, dlaczego teraz wykupili to ubezpieczenie. Pięć milionów... całkiem nieźle!

– Może miał powód, żeby się dodatkowo ubezpieczyć – powiedziała Eva Backman. – Ze względu na te groźby. Ciekawe, czy firma ubezpieczeniowa wie o tym szczególe?

– Stawiam dwie i pół stowy, że nie. A co ty uważasz? Tak ogólnie, na przykład o tych „trudnych do sprawdzenia przelewach” na cztery miliony. Może najwyższy czas zaprosić tu wdowę i zapytać ją o to i owo?

– Toivonen potrzebuje jeszcze trochę czasu, żeby to wszystko ogarnąć, jeśli go dobrze zrozumiałam. Ale jutro po południu będzie gotowy.

– Pogadam z nim – powiedział Barbarotti i wstał. – Ty, ja i on, tak? I ona. Czyli troje na jedną?

– Niezły rozkład sił. Skontaktujesz się z kim trzeba?

– Zrobię to – obiecał Barbarotti. – W drodze do domu odwiedzę naszą wdowę i sprawdzę, czy wszystko w porządku.

– Okej. A ja pogadam z szefem, żeby się nie poczuł wyłączonej.

Biorąc pod uwagę okoliczności, wdowa czuła się całkiem nieźle.

Przynajmniej Gunnar Barbarotti odniósł takie wrażenie. Wdowa otworzyła mu drzwi do swojego pięknego domu w stylu hampton i zapytała, czy

napije się kawy, a ponieważ Barbarotti był tym, kim był, nie odmówił. Choć od rana wypił już chyba dziesięć.

Usiedli w kuchni. Przy stole nakrytym białym obrusem z zastawą w kolorze polerowanej stali. Karin Sylwander miała na sobie coś, co przypominało dres. Czarne szerokie spodnie, czarną obszerną bluzę z czerwoną tasiemką. I bose stopy.

Po japońsku, pomyślał Barbarotti. Dziwne, że nie zaproponowała herbaty, tylko kawę, ale nie oceniamy ludzi po wyglądzie.

– Chciałem zapytać, jak się pani czuje – powiedział Barbarotti. – Dużo pani ostatnio przeszła.

– Dobrze wrócić do domu – odparła Karin Sylwander. – Udało mi się nawet przespać w nocy parę godzin. Ale już samo przebudzenie nie było najprzyjemniejsze.

– Mogę sobie wyobrazić. Ale czas leczy rany. Ma pani kontakt z psychologiem albo terapeutą?

Karin Sylwander pokręciła głową.

– Nie, myślę, że... że trochę z tym jeszcze poczekam.

– Oczywiście, sama pani wie najlepiej. Może jakiś przyjaciel czy przyjaciółka, z którymi może pani porozmawiać?

– Dziękuję, mam z kim porozmawiać. Czy może... czy go znaleźliście?

– Niestety. I chyba lepiej nie robić sobie nadziei. W każdym razie może to trochę potrwać.

Karin Sylwander pokiwała głową i spuściła wzrok. Zgarnęła ze stołu okruchy.

– Niezależnie od wszystkiego musimy pani zadać jeszcze kilka pytań – powiedział Barbarotti po wypiciu paru łyków kawy i odczekaniu kilku sekund. – Mam nadzieję, że pani to rozumie?

Karin Sylwander skinęła głową.

– Proponuję, żebyśmy spotkali się w komisariacie jutro po południu. Da pani radę czy woli pani w domu?

Karin Sylwander zawahała się chwilę.

– Przyjadę do komisariatu. O której?

– O drugiej? Wyjdziemy po panią do wejścia.

Karin Sylwander skinęła głową i z czarnej japońskiej bluzy wyjęła chustkę do nosa.

– Okej. Dobrze. Czy mogę zapytać... czy wiele osób pracuje nad zniknięciem Albina?

– O tak – zapewnił ją Barbarotti. – Cała oddelegowana grupa. Zrobimy wszystko, żeby to wyjaśnić, nawet jeśli to zajmie trochę czasu.

– Macie już coś? Ta wasza grupa?

– Pewne wskazówki – zapewnił ją Barbarotti.

Co za idiotyczna odpowiedź, pomyślał.

– Wskazówki? Jakie wskazówki? Czy będzie coś w gazetach? Wiem, że już była jakaś wzmianka... ale pewnie znów tak rzadko ludzie nie znikają.

– Hm, no tak. – Barbarotti próbował się wykręcić. – Teraz to żadna wielka wiadomość, ale postanowiliśmy, że jeszcze z tym trochę poczekamy. Ale jutro, a najpóźniej w czwartek, coś się pojawi w telewizji. W programie kryminalnym. Pewnie pani go oglądała? Potem robi się głośno we wszystkich mediach. W każdym razie w tym wypadku to najlepsza droga.

– Potrzebujecie świadków, tak?

– Tak. Czasami to na dobre i na złe... jeśli pani rozumie, o co mi chodzi.

Karin Sylwander westchnęła i założyła za ucho kosmyk włosów.

– Rozumiem, tak, rozumiem.

– W takim razie spotykamy się jutro o czternastej – odparł Barbarotti. – Jeszcze jedno, zanim wyjdę... sprawdziliśmy, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy z konta pani i męża wykonano przelewy do nieznanego odbiorcy. Czy wie pani, dokąd te pieniądze szły? Nie wiemy jeszcze, kto robił te transakcje, czy pani, czy mąż, ale niedługo bank powinien przysłać nam więcej informacji...

Karin Sylwander uniosła brwi, a potem je opuściła.

– Nie wiem – odpowiedziała. – To zapewne Albin wyjął te pieniądze. Dowiedziałam się o tym kilka dni temu. Czy myśli pan, że go...?

– Że co?

– Że go szantażował? Ten cały Nemezis?

Szantażował, pomyślał inspektor Barbarotti, kiedy już siedział w samochodzie. To wcale nie taka głupia myśl. Z kolei, jeśli płaci się szantażyście cztery miliony koron, to przecież nie ląduje się potem w lodowatym morzu?

Aspirant Kavafis miał duże ambicje. I wcale nie dlatego, że był imiennikiem wielkiego poety, powód był zupełnie inny. Miał na imię Erik, był imigrantem w drugim pokoleniu i rodzice chcieli zrobić z niego Szweda.

Szkołę policyjną ukończył z wyróżnieniem i zaczął pracę jako aspirant w komisariacie policji w Kymlinge. A jego pierwsze dochodzenie to zaginięcie czterdziestoletniego mężczyzny na promie z Åbo do Sztokholmu. Oczywiście Kavafis poruszał się tylko na peryferiach śledztwa, patrzył i uczył się, a jego przełożony i opiekun, trochę dziwny inspektor o nazwisku Barbarotti i imieniu Gunnar, poprosił go, żeby poświęcił dzień i znalazł mu igłę w stogu siana.

Mówiąc w przenośni.

– Masz wolną rękę – powiedział. – Przejrzyj raport inspektora Smutasa... to znaczy Borgsena i spróbuj zrobić coś ważnego. Masz dwie listy, z dwa tysiące siódmego roku i listę pasażerów promu. Jeśli znajdziesz coś, co zwróci twoją uwagę, dostaniesz medal i wolne popołudnie.

Ponieważ Erik Kavafis miał plan, żeby za dwadzieścia lat (a raczej za dwadzieścia sześć, akurat w pięćdziesiąte urodziny) zostać komendantem policji, do zadania podszedł z wielką powagą.

Minęło osiem godzin i Erik Kavafis znalazł igłę w stogu siana, a kiedy po wyjściu z komisariatu w wietrzny i deszczowy poniedziałek stał przy swoim rowerze i wycierał siodełko, na wieży kościelnej dzwony wybiły równo w pół do dziesiątej.

Erik był ciekawy, czy to jego małe odkrycie będzie miało jakiegokolwiek znaczenie dla śledztwa, ale nie jemu to oceniać. Może przyczyni się do przełomu, może nie. Bardzo lubił określenie „przełom”.

W każdym razie postanowił, że po powrocie do domu wszystko zapisze. To ciekawy epizod do pierwszego rozdziału jego pamiętników, które ukażą się, kiedy już przejdzie na emeryturę po dwunastu owocnych latach na stanowisku komendanta policji.

Nikt mi nie zarzuci, że nie stąпам twardo po ziemi, pomyślał. Po prostu lubię mieć wszystko pod kontrolą.

– Alexander Johansson? – powiedział inspektor Barbarotti. – No proszę.

Siedzieli w gabinecie inspektora Barbarottiego. Był wtorek, dziewiąta piętnaście rano. Inspektor zaproponował kawę. Erik Kavafis nie lubił kawy, ale tego ranka zrobił wyjątek.

– Nazwisko zmienił w styczniu w dwa tysiące dziesiątym – dodał.

– No proszę – powtórzył inspektor, bez specjalnej ekscytacji.

Pewnie Nobla za to nie dostanie, pomyślał Kavafis. Ale nie ma co za dużo oczekiwać. W czasach jego młodości nawet osioł mógł zostać policjantem.

– Alexander Johansson był dawnym narzeczoną tej wdowy – powiedział Kavafis. – Czyli tej Karin Sylwander... między dwa tysiące szóstym a dwa tysiące dziewiątym. Według tego, co się udało ustalić inspektorowi Borgsenowi.

Inspektor Barbarotti pokiwał głową i łyknął kawy. Skrzywił się. Nie potrafi nawet wypić gorzkiej kawy, pomyślał Kavafis.

– I ten sam Alexander Rendell jest na liście pasażerów.

– Autokaru?

– Nie, promu. Wypadek autokaru był w dwa tysiące siódmym, a wtedy nie było żadnego Alexandra Rendella. Przynajmniej tego, który wcześniej nazywałby się Johansson.

– Chcesz powiedzieć, że...?

– Że eksnarzeczoną żony Rungego był na promie. Tyle mi się udało ustalić. Pewnie to niewiele, ale uważałem, że warte wzmianki.

Inspektor Barbarotti popatrzył poważnie na Kavafisa przez kilka sekund, miał wyraz twarzy, jakby przeżuwał informację, która właśnie do niego dotarła.

– Dobrze – powiedział w końcu. – A nawet bardzo dobrze. Co ci obiecałem?

– Medal i wolne popołudnie – odparł Kavafis. – Ale jeśli mam być szczery, to nie zależy mi ani na jednym, ani na drugim. Lepsze byłoby jakieś nowe zadanie.

Wtedy ten dziwny inspektor się uśmiechnął.

– To może znaczyć cokolwiek – wyjaśnił Evie Backman dziesięć minut później. – Ale wolę myśleć, że tak nie jest.

Eva potrzebowała kilku sekund, żeby zrozumieć, co właściwie Barbarotti wolał myśleć. Potem się z nim zgodziła, jednak z pewną modyfikacją.

– Pewnie masz rację, że musimy wychodzić z tego założenia. Ale...

– Tak?

– Ale co dalej? Chodzi mi o jej byłego narzeczonego. Przecież to nic pewnego, że... hm?

Zamilkła i ugryzła się w język.

– Kontynuuj swój tok rozumowania – powiedział Barbarotti. – Dobrze zaczęłaś.

– Dziękuję. Przyszło mi do głowy, że może na razie powinniśmy usunąć się w cień. Nie wypytujmy jej o to tak prosto z mostu. Lepiej będzie się dokładnie przyjrzeć temu Alexandrowi Johanssonowi... Rendellowi. Czy angielska królowa kryminału nie miała przypadkiem takiego samego nazwiska? Tylko inaczej akcentowanego?

– Coś mi się kojarzy – rzekł Barbarotti powątpiewającym tonem. – Ale okej, rozumiem twój punkt widzenia. Zrobimy tak, jak mówisz, nie musimy od razu odtrąbić sukcesu.

– Jeśli to w ogóle jakiś sukces.

– To się okaże – odparł Barbarotti. – Zostaw to mnie, a ja skorzystam z pomocy młodego Kavafisa. Chłopak dobrze rokuje na przyszłość.

– Kavafis? Czy nie było pisarza o tym nazwisku?

– Pasowałby. I pamiętaj, że to wcale nie musi nic oznaczać.

– Będę pamiętał. A teraz możesz mnie już zostawić w spokoju, mam jeszcze coś do zrobienia.

– A co takiego, jeśli mogę spytać?

Nie otrzymał odpowiedzi, nie licząc dyskretnego pocałunku w policzek.

Przesłuchanie Karin Sylwander we wtorkowe popołudnie zajęło godzinę i nie przyniosło przełomu. Pytania stawiali Barbarotti i Backman, Stigman siedział w innym pokoju i słuchał.

A ponieważ postanowili nie pytać o sprawy majątkowe (ani o pasażera Rendella/Johanssona), inspektor Toivonen nie uczestniczył w przesłuchaniu, czekał na inną okazję, która na pewno się nadarzy. Smutas również nie brał udziału w przesłuchaniu, bo był zajęty organizacją przesłuchań z pasażerami, którzy ocaleli w wypadku z 2007 roku.

Barbarotti i Backman skupili się na okresie przed zniknięciem Albina Rungego. Analizowali niemal każdy dzień, każdą godzinę. Co robili, gdzie byli, czy zauważyli coś, co wskazywało na to, że byli śledzeni, czy rozmawiali z innymi pasażerami, z personelem... i tak dalej. Karin Sylwander chętnie odpowiadała na wszystkie pytania i sprawiała wrażenie gotowej do współpracy.

Dlaczego miałyby nie być? Backman i Barbarotti przeanalizowali również godzinę po godzinie na promie, jednak z marnym rezultatem. Po wejściu na prom małżonkowie odebrali klucze do kabiny. Potem poszli na spacer, żeby się zapoznać z promem, a następnie zjedli kolację w restauracji, podczas której zamienili kilka słów z parą z Västerås, siedzącą przy sąsiednim stoliku. Po kolacji poszli do baru na drinka, wrócili do kabiny i mniej więcej o wpół do jedenastej poszli spać. Karin Sylwander powiedziała, że nie budziła się w nocy i jej mąż również. Następnego dnia rano, w drodze powrotnej, zjedli śniadanie w formie bufetu, potem poszli do kabiny, później na lunch i znów do kabiny... pod koniec podróży Albin Runge wpadł na pomysł, żeby jeszcze iść do sklepu i kupić whisky.

Wyszedł i już się nie pojawił. Może wcale nie dotarł do sklepu, ale to się wyjaśni po sprawdzeniu jego karty kredytowej.

Bo chyba nie płacił za alkohol gotówką?

Możliwe, jednak mało prawdopodobne, zdaniem jego żony.

Jakieś osoby na promie zwróciły jej uwagę?

Nie.

Znajome twarze?

Nie.

Nic, co jej się potem przypomniało?

Nie.

Czy rozmawiali o Nemezis?

Nie, świadomie unikali tego tematu.

Co robili w kabinie przez tyle godzin?

Przed południem uprawiali seks. Po południu czytali książki.

Jakie?

Ona powieść francuską, ale nazwisko autorki wypadło jej z głowy... chyba Vigan? On coś poważniejszego, o Marcinie Lutrze.

W ostatnich dziesięciu minutach przesłuchania Barbarotti i Backman zmienili kierunek i skupili się na listach od Nemezis i groźbach. Ale tutaj też nie dowiedzieli się nic nowego. Karin Sylwander powiedziała, że bar-

dzo ostro zareagowała, kiedy się dowiedziała, że jej mąż ukrywał przed nią część listów, ale potem zrozumiała, że chciał ją chronić. Na pytanie, dlaczego jej zdaniem ona też dostała list – co spowodowało z kolei, że Albin Runge wyłożył karty na stół – nie potrafiła odpowiedzieć. Może Nemezis chciał również ją w to wciągnąć. A może to czysty przypadek, są przecież dowody na to, że autor listów (i telefonów) czasami reagował trochę impulsywnie.

Ale, rzecz jasna, to tylko czyste spekulacje.

Czy Karin Sylwander ma jakieś przemyślenia?

Nie, nic jej nie przychodzi do głowy.

Jakieś pytania?

Na razie żadnych.

– I co? – Tak brzmiało zręczne pytanie inspektora Stigmana, gdy skończyli rozmawiać z Karin Sylwander. – I co uważacie?

– Nie był to żaden przełom – odparła inspektor Backman. – Ale nie oczekiwałam niczego innego.

– Opanowana kobieta. Opanowana.

– W każdym razie na zewnątrz – powiedziała Backman. – Potrafi zachować zimną krew.

– Hm, to prawda – zgodził się Stigman. – To prawda.

– A jak tam Smutas? – wtrącił się Barbarotti, żeby zmienić temat.

– Inspektor Borgsen musi jutro jechać do Sztokholmu – odparł Stigman.

– Będziemy potrzebowali pomocy kolegów stamtąd, jeśli mamy przesłuchać sześćdziesiąt osób. Z czego prawie czterdzieści wciąż mieszka w Sztokholmie, więc od nich zaczniemy. Ja jadę z nim, bo jeszcze ten program w telewizji. Tak więc jedziemy razem, Borgsen i ja.

– Rozumiem – powiedziała Eva Backman. – Może dzięki temu będzie jakiś przełom.

– Miejmy nadzieję – odparł Stigman i poprawił krawat. – Będzie sporo roboty. Przyjmowanie tych wszystkich telefonów i maili, a potem ich odsiew. Zapomnijcie o urlopie. Poprosiłem o posiłki na kilka dni. W piątek przyjeżdża czterech policjantów z Göteborga. Posiłki!

– Świetnie – powiedział Barbarotti. – To może będziemy mogli zejść do dwunastu godzin na dobę, co?

– Niczego sobie nie obiecujcie – rzekł Stigman. – Musimy rozwinąć wszystkie żagle. Wszystkie.

– Wszystkie pieprzone żagle – zasyczała pod nosem Eva Backman.

Przełom był większy, niż się spodziewano.

Program nosił tytuł *Kroniki Kryminalne* i był pokazywany w jednym z mniejszych kanałów telewizyjnych. Nagrany został w środę, a wyemitowany już następnego wieczoru, czyli w Wielki Czwartek; wtedy Jezus zjadł z apostołami ostatnią wieczerzę, zauważył Barbarotti, kiedy siedział przed telewizorem w Willi Pickford razem z Evą i dwójką nastoletnich dzieci.

Dwa tysiące lat temu.

– Dlaczego ten wasz szef nosi pomarańczowy krawat? – zapytał jeden z nastolatków.

– To rzadki kolor – wyjaśnił Barbarotti. – Krawaty to standard. Ale teraz cicho, bo chcemy posłuchać, co powie.

Właściwie z góry było wiadomo, co powie. Prowadzący program, mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat i kobieta około trzydziestki, za pomocą zdjęć i dramatycznej muzyki referowali przypadek co najmniej dziesięć minut. Wypadek autokaru. Nemezis. Ochrona policyjna. Ucieczka pary. Prom, i w końcu zniknięcie.

– Jest z nami w studiu komisarz policji z Kymlinge, pan Stig Stigman – przedstawił go prowadzący. – Kieruje pan śledztwem w sprawie zniknięcia Albina Rungego. Co na początek może pan powiedzieć o tej dość... niezwykłej historii?

– Każda historia jest unikatowa, na swój sposób – odpowiedział Stigman ze wzrokiem utkwionym w kamerę. – Ale zgadzam się, że ta konkretna sprawa jest jedną z najdziwniejszych. Rozpracowujemy ją pod wieloma aspektami i liczymy, że uda nam się ją rozwiązać.

– Może z pomocą naszych widzów? – wtrącił prowadzący.

– W tym konkretnym wypadku jesteśmy uzależnieni od telefonów i wypowiedzi widzów – kontynuował Stigman i powędrował wzrokiem na prowadzącą program, która jeszcze nie zabrała głosu, na początku programu pokazała kilka zdjęć, a teraz siedziała i się uśmiechała. – Na promie było

wielu pasażerów, na pewno ktoś widział Albina Rungego i jego żonę... na pewno.

– Interesujące – rzekł prowadzący. – A zarazem skomplikowane, jak przypuszczam?

Dwa zdjęcia Albina Rungego. Dwa zdjęcia Karin Sylwander. Jedno zdjęcie ich razem. I ponownie Stigman.

– Jesteśmy przyzwyczajeni do skomplikowanych przypadków. Trudno z góry założyć, co jest ważne, a co nie. Bardzo trudno. Dlatego będziemy bardzo wdzięczni za wszelkie obserwacje. Każde. Dokładny czas zniknięcia Albina Rungego nie jest jeszcze ustalony, ale wydaje się, że doszło do tego w sobotę, kiedy wracał do Sztokholmu.

Zdjęcie numerów telefonów i adresów mailowych.

– W jakim kierunku idą wasze działania? – zapytała prowadząca. – Czy w centrum zainteresowań jest grupa pasażerów autokaru z dwa tysiące siódmego roku? Czy ten tak zwany Nemezis to jeden z rodziców, który stracił dziecko w wypadku?

– Hm. – Stigman zastanowił się i spojrzał krytycznym wzrokiem na prowadzącą, która zadała pytanie. – Jeszcze za wcześnie na jednoznaczną odpowiedź. Zdecydowanie za wcześnie. Oczywiście to niewykluczone, ale musimy brać pod uwagę wszystkie możliwości. Bezwarunkowo, wszystkie możliwości.

– Dlaczego on ciągle powtarza to samo? – zapytał jeden z nastolatków.

– Żebyśmy my, tępe gliny, zrozumieli, o czym mówi – wyjaśniła Eva. – A teraz pewnie wydaje mu się, że widzowie są tak samo tępi jak my.

– Dziwny koleś – powiedział drugi nastolatek. – Pewnie w domu też tak chodzi. To znaczy w tym krawacie.

– No to teraz się zacznie niezły Meksyk, pewnie zasypią was na wpół idiotycznymi telefonami, co? – rzucił pierwszy nastolatek.

– Całkowicie idiotycznymi też – zapewnił go Barbarotti. – Coś mi się wydaje, że w tym roku nie będziemy mieli świąt.

– Nie szkodzi – powiedział nastolatek numer dwa i ziewnął. – Ugotujemy jajka i przyniesiemy wam do komisariatu.

Później, kiedy już upłynęło trochę wody, ktoś policzył, że program zobaczyło ponad sto tysięcy widzów. Liczba informacji i wskazówek, jakie dostała policja, przekroczyła pięć tysięcy. Innymi słowy, co dwudziesty

oglądający program miał coś ważnego do powiedzenia. W każdym razie tak im się wydawało.

W komisariacie w Kymlinge utworzono specjalną centralę (telefoniczną i mailową), gdzie pracował sztab od ośmiu do dziesięciu osób – od Wielkiego Czwartku począwszy, kiedy wyemitowano *Kroniki Kryminalne*, aż do poniedziałku wielkanocnego włącznie. Wprawdzie ani Barbarotti, ani Backman nie przyjmowali telefonów, ale siedzieli w swoich gabinetach już prawie całą dobę i przyjmowali napływające szerokim strumieniem informacje i wskazówki, które w centrali przeszły pierwszy odsiew. Tym samym zajmowali się Toivonen i Borgsen, aspirant Kavafis oraz posilki z Göteborga, dwóch policjantów i dwie policjantki.

Po kilku dniach, w środę albo w czwartek po świętach, kiedy to już wielmożny szef Stigman wrócił z nart w Duved i kiedy posilki z Göteborga zmały o dwie osoby, zorganizowano zebranie całego wydziału, z którego Gunnar Barbarotti zapamiętał to, że ze wszystkich informacji i wskazówek sto zasługiwało na zainteresowanie, a jedynie trzy były naprawdę coś warte. Właściwie to cztery. Gdyby inspektor Barbarotti dostał szansę wnikliwego ich zbadania, której to szansy nie dostał.

Cztery z ponad pięciu tysięcy. Dobre i to.

Pierwsza informacja pochodziła od niejakiego Bertila – Berry Bogrena, lat trzydzieści sześć, który był wtedy na promie razem ze swoją grupą pokerową, pozostali czterej mężczyźni byli w tym samym wieku. O wpół do trzeciej w sobotę Berra Bogren wyszedł na pokład, żeby się trochę przewietrzyć i zapalić papierosa. Kiedy stał w zacisznym miejscu i palił, trzymając dla równowagi butelkę piwa w wolnej ręce, kątem oka zauważył dwóch mężczyzn ciągnących jakiś toból, który potem wrzucili do morza, następnie szybko się ulotnili.

Kiedy z czasem zbadano, ile alkoholu skonsumował Berra Bogren, zanim dokonał swoich obserwacji, okazało się, że musiał mieć we krwi między dwa a dwa i pół promila. Ponadto nie do końca był pewien tego, co widział. Pijany czy nie.

Informacja Bogrena zyskała aktualność po tygodniu śledztwa, kiedy okazało się, że nie znaleziono ani jednego świadka, który ze względną pewnością odważyłby się stwierdzić, że na promie widział zaginionego. Co wskazuje na to, że... no właśnie, na co? Trudno powiedzieć, ale warto to sprawdzić.

Druga informacja, a raczej dłuższy komentarz, przyszła od Arnego Lindberga, jednego z terapeutów, z którym Albin Runge spotykał się po wypadku. Dlaczego Barbarotti uważał, że to może być ważne? Sam dobrze nie wiedział. Może dlatego, że to otworzy im drzwi do osobowości Albina Rungego i właśnie na tej niezbadanej ziemi znajdą coś, co się określa mianem „wyjaśnienie”. Oczywiście na razie to tylko mgliste przypuszczenia, poza tym inspektor ma na tyle rozumu, żeby z nikim o tym nie rozmawiać. Z wyjątkiem jednej z koleżanek po fachu, najbliższej jego sercu.

Trzecie doniesienie i, jak się potem okaże, najbardziej wartościowe, pochodziło z Karlstad. Z uwagi na powagę sytuacji adwokat Helge Iwarsen postanowił osobiście przyjechać do Kymlinge i przywieźć dokumenty, żeby nie ryzykować, że mogą się zagubić. Zarówno prokurator, jak i policja bardzo docenili takie środki ostrożności, ponieważ śledztwo bez owych dokumentów prawdopodobnie nigdy nie znalazłoby rozwiązania.

W każdym razie nie takiego.

Czwarta informacja przyszła również z Karlstad. Po dwunastu dniach od wyemitowania programu zadzwonił nauczyciel Albina Rungego, który pod koniec lat osiemdziesiątych uczył go w wyższych klasach szkoły podstawowej. I mimo że Barbarotti intuicyjnie przypisywał owej informacji pewne znaczenie, to długo, zbyt długo, traktował ją jedynie jako ciekawostkę, ilustrację nieukozonej tęsknoty duszy; jako przykład zmienności natury ludzkiej, samotności człowieka i jego zdolności do wychwytywania subtelnych znaków i wyciągania wniosków.

Jakkolwiek górnolotnie to zabrzmiało.

Październik 2018

Eva zamknęła teczkę i podrapała się po głowie.

– A ten żalosny Berra Bogren. Jesteś pewien, że był trzeźwy, kiedy go przesłuchiwałeś?

– Pewnie nie. Ale podczas przesłuchania nie siedział i nie pił.

– Świetnie – odparła. – Trzeba gdzieś postawić granicę. Co o nim sądzisz?

Gunnar Barbarotti wygramolił się z fotela i podszedł do okna. Berra Bogren... co można o nim powiedzieć?

Stał przy oknie. Na dworze zaczęło się ściemniać, a w koronach drzew głośno hulał jesienny wiatr. Wydawało mu się, że jest dwudziesty czwarty października, środa. Rozmawiali kiedyś z Evą, że łatwo stracić rachubę w takim miejscu i w takich okolicznościach. Że czasami trudno umiejscowić w czasie miejsce czy zdarzenie. Eva zastrzeliła nastolatka, a teraz, dwa miesiące później, znajdują się gdzieś na Gotlandii w domu, o którego istnieniu wcześniej nawet nie słyszeli. A towarzyszy im stare śledztwo, które pojawiło się w tym domu, ponieważ dwukrotnie spotkali rowerzystę, który przypominał im... i który prawdopodobnie... prawdopodobnie...

Barbarotti przerwał swój tok myślenia i odwrócił się przodem do pokoju; na sofie, pod kocem, leżała Eva obłożona teczkami i luźnymi kartkami.

– Dlaczego o niego pytasz?

– Przeczytałam jego przesłuchanie i rzeczywiście sprawia dziwne wrażenie... chyba nie bardzo wiem, co mówi.

Otworzyła teczkę i postukała długopisem.

– Jego zeznania mogą mieć jakieś znaczenie.

Barbarotti pokiwał głową.

– Z pewnością. Przecież dobry świadek nie musi być wymowny. Byłoby wspaniale, jeśli byłby chociaż odrobinę trzeźwy, ale nie można mieć wszystkiego.

Eva się zaśmiała.

– Masz rację, posłuchaj. Pytasz, czy rozmawiał ze swoimi kolegami o tym, co zauważył na pokładzie, kiedy stał i palił. Odpowiada tak, cytując: *Nie, za cholere, te maminsynki nie potrafią odróżnić dwójki pik od własnych jaj. Widziałem, co widziałem, po co, do cholery, w środku nocy wrzucać coś do wody, jeśli to nie trup? Pamiętam, że jeden powiedział... to był facet, tak, absolutnie... powiedział coś takiego... no, to już mamy go z głowy. Jak Boga kocham, dokładnie tak powiedział. I co ty na to? Ponad dwa promile we krwi i nagle pamięta, co słyszał. Przesłuchanie jest z pierwszego kwietnia, czyli dziesięć dni po zdarzeniu. Po ewentualnym zdarzeniu, należałoby dodać.*

Barbarotti wzruszył ramionami.

– Berra Bogren to nie żadna gwiazda na firmamencie świadków, ale i tak jest ważny. To, co wydawało mu się, że widział, może mieć jakiś sens.

– Wiem – powiedziała Eva. – Wzmacnia obowiązującą teorię. Ta bzdura, że nie zrobili tego w nocy i że...

– ...i że każdy zapytany skurczybyk twierdzi, że nie widział Albina Rungego na pokładzie – uzupełnił Barbarotti. – Jeśli nawet Runge nie zwracał na siebie uwagi, to wybrał dość dziwny moment. Ale w sumie ten cały Bogren nie ma powodu kłamać.

Eva Backman zastanowiła się chwilę.

– Może raport... to znaczy moment, w jakim go sporządzili. Może byłoby lepiej, gdyby policja zaczęła szukać wcześniej, co? Najpierw pozwolili wszystkim wyjść... sama nie wiem, od samego początku było to dla mnie niezrozumiałe.

– Chyba że mamy do czynienia z żoną, która mówiła prawdę – powiedział Barbarotti. – Co w pewnych okolicznościach może mieć znaczenie.

– Prawdę, mówisz?

– Tak.

– Chodzi ci o...?

– Tak.

– Cholera – westchnęła Eva. – Lepiej rozpal w kominku, a ja zrobię kawę.

Godzinę później mrok zgęstniał i wzmógł się wiatr. Szumiał i świstał, a gałęzie drzew smagały okna. Na północnym i środkowym wybrzeżu Bałtyku meteorologowie zapowiadali gwałtowne wichury. Wsie zabezpieczały się przed sztormem. A w domu w Valleviken rozkoszowano się kawą,

w ognisku trzaskały wesołe płomienie... obojgu, Barbarottiemu i Backman, przypominało to stare angielskie kryminały. Nawet jeśli nie kawę się wtedy piło, tylko herbatę czy sherry.

Ponownie wrócili do przeglądania zeznań.

– Ten terapeuta? – powiedział Barbarotti i przetarł oczy. – Arne Lindberg, pamiętasz?

– No pewnie. Czytaj, jeśli w ogóle coś widzisz. Powinieneś nosić okulary, a nie ciągle przecierać oczy.

– Zostawiłem je w Kymlinge.

– Na stacji benzynowej możesz kupić nowe za sto koron – powiedziała Eva. – A nawet w sklepie spożywczym.

– To mam czytać czy nie?

– Czytaj, kochany ślepcze!

Barbarotti odchrząknął i zaczął czytać.

– Cytuję... co psycholog i legitymowany terapeuta Arne Lindberg ma do powiedzenia na temat swojego pacjenta: *Nie chcę twierdzić, że zamknął się w skorupie, ale miał w sobie coś, czego nie chciał otworzyć przed światem. Mimo iż był w głębokiej traumie i miał klinicznie zdiagnozowaną depresję, kiedy się spotykaliśmy, to wciąż zachował... tę swoją nienaruszalną przestrzeń, w której chronił swoją integralność. Od czasu do czasu starałem się pukać do tych drzwi, ale nigdy ich przede mną nie otworzył. To było jego schronienie, kiedy myśl, żeby odebrać sobie życie, stawała się zbyt natrączywa. Czy to tylko psychologiczny bełkot, czy coś, co powinniśmy potraktować poważnie?*

– Chciałeś powiedzieć powinniśmy byli potraktować poważnie?

– Na jedno wychodzi. I co sądzisz o jego analizie? Posłuchaj dalej, mówi to na jednym oddechu: *Runge nigdy nie chciał rozmawiać o swoim dzieciństwie. Niezależnie od tego, jakie metody stosuje terapeuta w swojej pracy, wszystkie drogi zawsze prowadzą do czasów dzieciństwa. Wielu pacjentów odcina się od swojego dzieciństwa, to sprawdzona metoda na radzenie sobie z traumatycznymi przeżyciami. Po prostu zamykamy drzwi przed tym, co niemiłe i przykre, i udajemy, że nigdy nie istniało. To działa, ale tylko przez pewien czas, rzadko przez całe życie. Sądzę, że to przypadek Rungego, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Ten wypadek to był taki punkt zapalny, jakby... jakby przed nim nie miał żadnego życia. Albo miał zupełnie inne życie.*

Eva pomyślała chwilę i pokręciła głową.

– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi... ani o co chodzi terapeutę. Czy jego dzieciństwo odgrywało jakąś rolę w tym, co się stało? Czy naprawdę uważasz, że potrzebny jest Freud, żebyśmy posunęli się dalej w śledztwie?

– Trudno powiedzieć – wymamrotał Barbarotti. – Ale próbować zrozumieć innych to całkiem niegłupi pomysł... pytasz, to odpowiadam: tak, rzeczywiście wierzę, że jest coś w tym, co mówi terapeuta. Musimy odnaleźć jego dawnego nauczyciela, pamiętasz go?

Skinęła głową.

– Jasne, ale kiedy się odezwał, mieliśmy już pamiętniki Rungego, nie?

– I w tym cały problem. Wydawało nam się, że już wszystko wiemy, i nie braliśmy pod uwagę innych rzeczy. Mam wrażenie, że gdzieś głęboko było w nim coś... albo jest... coś, czego nigdy nie odkryliśmy. Te jego zapiski można interpretować też w zupełnie inny sposób, niż to zrobiliśmy. Są bardzo... jak to nazwać... są bardzo wystudiowane... wszystko, co pisał.

– Wystudiowane? Wydawało mi się, że jednogłośnie uznaliśmy, że raczej naiwne.

– To prawda. A jeśli jest zupełnie odwrotnie?

Eva zastanowiła się chwilę.

– Nie podoba mi się ten wariant. Nawet bardzo.

– Ja też go nie lubię – powiedział Barbarotti. – Ale na razie odłożmy pamiętniki, jutro mamy Fårö. Taka była umowa? Tym razem nie chcę jechać sam.

Eva poprawiła się na sofie.

– Nie będziesz musiał, przecież ci obiecałam. Mam tylko nadzieję, że wiatr trochę osłabnie.

– Osłabnie, sprawdzałem pogodę.

– Świetnie. Jeśli w ogóle jest sens w grzebaniu w jego charakterze, to... to tylko pod jednym warunkiem.

– Pod jakim?

Zaśmiała się.

– Że ten facet z czerwonym rowerem nie nazywa się na przykład Karl-Oskar Fransson i nie mieszka całe życie w Kalbjerdze. Jeśli tak, to na nic zda się ten cały psychologiczny bełkot.

– Geniusz kalkuluje – zażartował Gunnar Barbarotti. – Ale nie martw się, nie można nad tym zapanować, to leży w naszej naturze.

– Alleluja – powiedziała.

– Coś mi mówi, że jutro go znajdziemy. Niezależnie od tego, czy nazywa się Kalle Fransson, czy Albin Runge.

Eva podniosła się z sofy.

– Byłby idiotą, gdyby zachował stare nazwisko. Pewnie nie nazywa się już Runge. Okej, wystarczy, idziemy na spacer.

– Ale jest sztorm i okropnie ciemno – zaprotestował Barbarotti. – Może w domu zrobimy coś do jedzenia, co?

– Tylko do knajpy i z powrotem. Damy radę. Jeśli mamy jeszcze cały wieczór czytać te zeznania, to najpierw musimy się trochę dotlenić.

– I tak wiedziałem, że z tobą nie wygram – powiedział Barbarotti.

– No właśnie.

Dobry plan nie musi być genialny, ale powinien być prosty.

Naszkirowali go rano; Eva była sceptyczna, ale uległa. Pod żadnym pozorem nie mogą się zdradzić, że są policjantami, którzy na własną rękę szukają osoby wyrzuconej z promu wiele lat temu. W tej sytuacji niewskazany jest żaden telefon na policję w Visby. Tym bardziej telefon z policji w Visby na policję w Kymlinge. Komisarz Stigman miałby wiele zastrzeżeń. Wiele zastrzeżeń.

– *Undercover* – podsumował Barbarotti, kiedy siedzieli w samochodzie w drodze do Fårö. – Będziemy pracować trochę jak Humphrey Bogart czy George Smiley. Szukamy twojego młodszego brata, Vincenta Backmana, który zaginął sześć–siedem lat temu. Tak za nim tęsknisz, że aż ci pęka serce.

– Chyba sam nie wierzysz, że Bogart czy Smiley szukaliby młodszego brata – powiedziała Eva. – Okej, zgadzam się. Ale dlaczego akurat musi mieć na imię Vincent?

– Nigdy nie lubił swojego imienia – wyjaśnił Barbarotti. – Na pewno je zmienił, to część... problemu. Imię. Rozumiesz?

– Wchodzę w to. Vincent był moim ukochanym bratem, o dziesięć lat młodszym. Miał trudny okres dojrzewania, trafił w nieodpowiednie towarzystwo. Kiedy miał trzydzieści osiem lat, wyjechał do Indii i słuch po nim zaginął. Aż pewnego dnia...

– ...aż pewnego dnia w sierpniu zadzwoniła do ciebie dawna koleżanka, która właśnie wróciła z wakacji w Fårö. Powiedziała, że widziała Vincenta... tak jej się przynajmniej wydawało. Równie dobrze może to być kobieta, z którą kiedyś był Vincent, obojętne... dobre, co? Załóżmy, że miała na imię Majken.

– Majken? Przecież teraz nikt nie nazywa się Majken.

– Teraz? Urodziła się w Smålandii i zbliża się już do pięćdziesiątki.

– Okej. – Eva westchnęła. – Vincent i Majken. Zdamy na prom o dziesiątej?

Zdążyli na prom o dziesiątej i żeby nic nie zaniedbać, Barbarotti skorzystał z okazji i pokazał zdjęcia przewoźnikom promowym.

Tak się ich nazywa? To brzmi trochę, jakby byli wzięci z mitologii; niestety, o tej żółtej stalowej barce, która codziennie wozi ludzi między Fårösund a Fårö, można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest mitologiczna.

Ale do rzeczy. Dwóch ponurych facetów na mostku sterowni, jeden w wieku sześćdziesięciu lat, drugi o połowę starszy, obejrzało zdjęcia Albina Rungego, próbując ukryć sceptycyzm. A może to sam Barbarotti był przedmiotem ich sceptycyzmu; bo raczej nie byli skłonni kupić historii o młodszym bracie Vincencie.

Potwierdziło się jednak to, co Barbarotti słyszał o ludziach z Fårö. Intruzów, którzy przychodzą i wypytują, nie traktuje się tu jak zbawców. Kiedy jeszcze tu mieszkał ten słynny reżyser, w swoim domu w Hammars, miejscowi chronili go w ten sposób, że ciekawskim kinomanom i wielbicielom pokazywali wszystkie możliwe kierunki, oczywiście złe.

Kiedy więc dwaj przewoźnicy pokręcili głowami i poinformowali, że nigdy nie widzieli tego typu z fotografii, wcale się nie zdziwił. Gdy zeszli na ląd w Broa, Barbarotti z niezmaconym optymizmem powiedział, że jeden pusty los jeszcze o niczym nie przesądza.

– Pojedziemy przez Rysnässet – poinformował. – Chcę ci pokazać ten cmentarz anglikański.

– Chętnie – odparła Eva. – Tyle o nim mówiłeś.

– Pomodłę się tam – dodał Barbarotti. – Za powodzenie naszej firmy.

– Dobry pomysł. Potrzebna nam każda pomoc.

Ten mały cmentarzyk wcale się nie zmienił, nawet owce wydawały się te same co poprzednim razem. Barbarotti schronił się przed wiatrem w małej owczarni i zaczął się modlić, a Eva poszła na kamienną plażę. Od wczoraj wiatr nieco osłabł, ale wciąż był rześki. Pomyślała, że Barbarotti miał rację, to dziwne miejsce.

I dziwna sytuacja; uderzyło ją to w taki sam sposób jak podczas niedawnych nocnych rozmyślań. Jakby życie uległo kondensacji. Czy koncentracji. Jeszcze dziesięć, dwanaście lat temu miała męża i trójkę nastolatków. Miała się o kogo troszczyć. I z kim walczyć. A teraz i mąż, i dzieci wyprowadzili się z domu, a ona zamieszkała razem z kolegą z pracy, którego zna już prawie trzydzieści lat. Kto by się spodziewał?

Dzisiaj, w ten wietrzny, ale słoneczny październikowy dzień, spacerowała po pustej plaży w miejscu, gdzie ta jałowa natura istniała jakby sama dla siebie. Nie obchodził ją człowiek i jego nachalne wymysły; za sto lat będzie tu tak samo, najwyżej morze bardziej wygładzi kamienie, ale karłowate sosny tak samo będą rosły wzdłuż wybrzeża, a ci angielscy żołnierze z XIX wieku wciąż będą leżeli w swoich grobach. Człowiek potrzebuje natury, ale natura nie potrzebuje człowieka. Podobnie jest z tym, co nazywamy historią. Z czasem, który przeminął. Z krótkimi latami naszego istnienia. I wiecznością, kiedy już nas nie ma.

Jakaś inna kobieta będzie tu stała i myślała o tym samym.

Nie ta kobieta, która zabiła nastoletniego chłopaka i dlatego teraz jest na dobrowolnym wygnaniu, ale kobieta, która będzie nosiła inny bagaż wspomnień. Bo dla tego kamienia, i tego mchu, i tej karłowatej sosny nie znaczą nic, myślała Eva i uświadomiła sobie, że marznie. Ludzie są różni, ale to nie znaczy, że nie można ich wymienić.

Zanim na dobre zdążyła ją chwycić melancholia, odwróciła się na pięcie i wróciła do swojego rozmodlonego komisarza.

W Centrum Bergmana jakaś kobieta myślała okna. Dlaczego myją okna na pół roku przed otwarciem sezonu? Chociaż może zimą też coś się tu dzieje, dlaczego nie? Barbarotti został w samochodzie, a Eva wysiadła.

– Przepraszam, czy mogę o coś zapytać?

Kobieta jeszcze raz machnęła ścierką i się odwróciła.

– Zapytać zawsze można. Ale dostać odpowiedź to już inna sprawa.

Na jej ogorzalej twarzy pojawił się uśmiech. Na pewno jest już na emeryturze, pomyślała Eva, chociaż mieszkańcy Fårö znani są ze swojej ogorzłości. Już w młodym wieku.

– Mam trochę nietypową sprawę – powiedziała Eva Backman. – Szukam swojego brata.

– Brata?

– Tak. Zaginął wiele lat temu, ale niedawno ktoś go tutaj widział.

– To pewnie latem.

– W sierpniu.

Eva Backman wyjęła z koperty dwa zdjęcia. Kobieta rozłożyła ręce.

– Musisz wiedzieć, kochaniutka, że latem przyjeżdżają tu miliony ludzi. Zimą to co innego... jesienią i wiosną też jest spokojniej.

– Może on tu mieszka cały rok.

Kobieta spojrzała na zdjęcia Albina Rungego. Zaczęła ruszać szczękami.
– Trzeba przyznać, że pani ładniejsza od brata. Mimo że wygląda na młodszego.

– Dziesięć lat – powiedziała Eva. – Osoba, która go widziała, powiedziała, że jeździ czerwonym rowerem.

– Rowerem – powtórzyła kobieta. – Jak turysta... pełno ich tu na rowerach... nie, nie wiem.

– Może jednak?

– Teraz tak wygląda? Czy to stare zdjęcie?

– Teraz ma o siedem lat więcej niż na zdjęciu. Moja koleżanka, która go widziała, powiedziała, że miał brodę i długie włosy. Kucyk.

– Kucyk?

– Tak.

– Hm. – Kobieta popatrzyła na zdjęcia jeszcze chwilę i oddała Evie. – Nie, niestety. Ale ja kiepsko widzę... na odległość. Blisko widzę jak orzeł, dlatego pozwalają mi tu myć okna. Dobrze się czymś zająć, nawet jeśli człowiek ma już osiemdziesiąt pięć lat na karku. – Uderzyła się w pośladek i zaczęła śmiać. – Ale kochaniutka, muszę już wracać, robota czeka. Powodzenia z bratem! Jeśli jest tu na wyspie, to na pewno go pani znajdzie.

Osiemdziesiąt pięć lat! – pomyślała Eva, kiedy wróciła do samochodu. A dałabym jej siedemdziesiąt.

– I co? – zapytał Barbarotti.

– Nic. Jest na wpół ślepa. Jedziemy dalej.

Kiedy jechali do Gåsemory Wielkiej, na dziedzińcu przed dużym budynkiem mignęły im jakieś postacie, więc się zatrzymali.

Dwaj mężczyźni robili zdjęcia. Zaparkowali mercedesa przed samym hotelem, nowoczesnym szarym budynkiem z wąskimi wysokimi oknami. Hotel był zamknięty, oprócz tych dwóch fotografów nie było tu żywej duszy.

Barbarotti i Backman zatrzymali się w pewnej odległości i popatrzyli na siebie.

– Jeśli tamci dwaj są stąd, to ja jestem Japonką – powiedziała Eva.

– Ale skoro już tu jesteśmy... – Barbarotti wysiadł z samochodu.

Eva opuściła szybę po swojej stronie i została w samochodzie. Patrzyła, jak Barbarotti podchodzi do mężczyzn i coś do nich mówi. Odległość była zbyt duża, żeby coś usłyszeć, ale ponieważ zdjęcia nie zostały wyjęte

z koperty, domyśliła się, że nie mają nic do powiedzenia ani na temat wymyślonego Vincenta, ani na temat Albina Rungego.

Po dwóch minutach Barbarotti wrócił do samochodu.

– Rosjanie – wytłumaczył i przekręcił kluczyk w stacyjce. – Niewiarygodne. I bynajmniej nie robili zdjęć sobie. Ale byli uprzejmi i dobrze mówili po angielsku.

– Ciekawe – skomentowała. – Chłopaki Putina?

– Skąd mam wiedzieć – odparł Barbarotti. – *We are sightseeing. Nice place.* Tak wytłumaczyli swoją obecność.

– Skąd wiesz, że to Rosjanie?

– Słyszałem, jak z sobą rozmawiali.

– Rosjanie fotografujący Fårö. Czy nie powinniśmy zadzwonić do Säpo? Kiedyś nawet nie wolno tu było się zatrzymać, jeśli się nie było szwedzkim obywatelem.

– *Those were the days* – skomentował Barbarotti. – Wydawało mi się, że już kończyli i mieli wracać. Ale nie zajmujemy się polityką obronną. Następny na naszej mapie to sklep u Nyströma, gdzie na pewno będą ślady po twoim bracie, zobaczysz.

– Och, Vincent, dlaczego nas opuściłeś? – powiedziała Eva i pomachała uprzejmie dwóm Rosjanom, którzy bez żadnego zażenowania wrócili do robienia zdjęć.

W małym sklepiku najwyraźniej zaczął się czas lunchu. Troje klientów tłoczyło się w trzech wąskich przejściach, oprócz kasjerki (tej samej co poprzednim razem) był tam jeszcze młody mężczyzna, który wykładał towar na półki. Wydawało się, że wszyscy się znają, nawoływali się wzajemnie, a kobieta o włosach czerwonych jak płomień głośno rozmawiała przez komórkę z jakimś Petrusem.

– Petrus, na litość boską, przecież ci mówiłam, żebyś nie brał wózka, nie nadaje się do siana! Czy ty masz słomę zamiast mózgu, czy co?

Nie wiadomo, co Petrus odpowiedział, bo Red Top rozłączyła się i wymamrotała pod nosem pełną wściekłości wiązanekę o tym, że faceci to palanty i jedyne, do czego się nadają, to kopanie rowów.

– Dzień dobry – powiedziała Eva bez skrępowania. – Czy może nam pani w coś pomóc?

– Jeśli mi pani obieca, że nigdy nie wyjdzie za mąż – odparła Red Top. – W każdym razie nie za faceta.

– Nawet o tym nie myślę – odpowiedziała Eva. – Ale nie chodzi mi o faceta, tylko o mojego młodszego brata.

– Młodszego brata? – Red Top uniosła równie czerwone brwi.

– Zaginął sześć lat temu, a teraz ktoś go widział tu, na Fårö.

Eva wyjęła zdjęcia.

– Oczywiście teraz wygląda trochę inaczej. Prawdopodobnie ma długie włosy i brodę. I jeździ czerwonym rowerem.

– I mówi pani, że tu mieszka? Latem jest tu od cholery turystów i jeżdżą rowerami we wszystkich możliwych kolorach.

– Prawdopodobnie.

– Co za idiota – powiedziała Red Top. – Jak ma na imię? Nie poznaję go ze zdjęcia.

– Vincent. Vincent Backman. Ale nie jestem pewna, czy nie zmienił nazwiska.

– A co, siedział?

– Nie... w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Zniknął w czasie podróży do Indii, sześć lat temu. Wtedy nazywał się Vincent Backman.

– Byłam kiedyś w Indiach – odarła kobieta. – Jeżdżą tam same czubki. Czy widziałam takiego typka tu, na Fårö... nie, przykro mi. Ale niech pani zapyta Lisbet!

– Kim jest Lisbet?

– Ta, co siedzi w kasie. O, gada z pani chłopem...

Wszystko się zgadzało. Barbarotti był zajęty rozmową nie tylko z Lisbet, ale też z mężczyzną w berecie i czarnej skórzanej kurtce. Wszyscy troje stali pochyleni nad zdjęciami leżącymi na ladzie.

– Czerwony rower, mówi pan? – rzekła Lisbet.

– To mógłby być... – odezwał się mężczyzna w berecie.

– Trzeba dołożyć brodę i długie włosy – powiedział Barbarotti.

– Diabli wiedzą – odparła Lisbet.

– To mógłby być... – powtórzył mężczyzna w berecie i zsunął go na kark. – Jeździ tu taki po wyspie czerwonym rowerem.

– Kto? – zdziwiła się Red Top, która przyłączyła się do tria.

– No ten, co mieszka u Laugera. Jakieś podobieństwo jest.

– Diabli wiedzą – odparła Lisbet.

– Też tak myślę – wtrąciła Red Top. – To może być on. Jak on się nazywał?

– Vincent Backman – odpowiedział Barbarotti. – Ale możliwe, że zmienił nazwisko. Zawsze lubił coś zmieniać.

– Zmienny to jego drugie imię – zażartowała Eva Backman.

– Nie mam pojęcia, jak się nazywa ten, co mieszka u Laugera – rzekła Lisbet. – Był tu parę razy i kupił to i tamto. Milczący typ, ale czort wie, czy to on.

– Gdzie mieszka ten Lauger? – zapytał Barbarotti.

– W Avie – rzucił mężczyzna w berecie. – Nie wiem dokładnie, w którym domu, ale wystarczy zapytać. Mieszka tam już dobrych parę lat, więc ludzie na pewno będą wiedzieli. Jest tam tylko kilka domów.

– Artysta – uściśliła Red Top. – Maluje obrazy. Dziwny typ, nawet jak na tutejsze warunki.

– Dosyć tego gadania – powiedziała Lisbet. – Lepiej, cholera, coś kupcie i dajcie człowiekowi zarobić, a nie cały czas mielicie jęzorami.

– Pocałujcie mnie gdzieś – odcięła się Red Top.

– Bardzo chętnie – odparł mężczyzna w berecie.

– A ty, Evert, łapy przy sobie – wymamrotała Red Top. – Jestem uzbrojona.

Lisbet kasjerka wybuchnęła śmiechem, a Barbarotti i Backman podziękowali i wyszli ze sklepu.

Zanim dotarli do Avanäset, zatrzymali się na małym parkingu i spojrzeli w Google. Mieli słaby zasięg, ale w końcu udało im się znaleźć w Wikipedii Andreasa Laugera. Wyświetlił się tylko jeden wynik, a informacja była dość lakoniczna. Urodził się w 1972 roku w Sztokholmie, wykształcenie zdobył we Francji i Holandii. Miał wystawy w RPA, w wielu miejscach w Szwecji, między innymi w Västervik, Borås, Sztokholmie i na Gotlandii. Jego dzieła wystawiano w Marzè Botha Art Gallery w Stellenbosch, w State of the Art Gallery w Kapsztadzie oraz w Muzeum Sztuki w Borås. Malował głównie obrazy olejne, ale również tempery, zalicza się go do malarzy tak zwanego realizmu naiwnego.

Był też rysownikiem. W muzeum w Borås można obejrzeć oryginał jego ogołoczonego z liści drzewa, stojącego przed rozpadającym się murem z cegieł. Pięćdziesiąt na trzydzieści centymetrów.

- Naiwny realista – powiedział Barbarotti. – To prawie tak jak ja.
- Nie jestem pewna, czy jesteś realistą – odparła Eva.
- Hm. – Barbarotti się zastanowił. – Czytamy dalej?
- Do samego końca.

Droga do Avy zajęła im niecałe dziesięć minut. Zatrzymali się na dziedzińcu ze słynnym tysiącletnim dębem, opisanym w XVIII wieku przez Linneusza podczas jego podróży do Gotlandii.

- Wygląda, jakby nikogo nie było w domu – powiedział Barbarotti.
- Jedź dalej – poleciała Eva. – Będziemy jechać tak długo, aż kogoś spotkamy.

Skręcili w lewo, potem w prawo, a potem na chybił trafił wjechali w wąską ścieżkę prowadzącą przez las. Minęli porozrzucane gdzieniegdzie domy, ogołoczoną przez owce łąkę, jakiś wrak samochodu, a potem jechali wzdłuż morza, które im akompaniowało monotonnym szumem dochodzącym przez otwarte okna.

Jednak nie spotkali ani jednej osoby. Jedynie stado owiec, dwa pasące się konie i ptaki śpiewające w lesie.

Dotarli do jakiejś bramy, którą z pewnym wysiłkiem udało im się otworzyć, i pojechali dalej. Droga była dwuśladowa, z pasem trawy pośrodku. Morze wydawało się podchodzić coraz bliżej, dlatego uznali, że dalsza jazda samochodem byłaby nieco ryzykowna, zatrzymali się i wysiedli.

– I co robimy? – zapytał Barbarotti. – Jakoś nie widzę tu twojego brata.

– Pewnie wciąż siedzi w Indiach. Nie ma tu żywej duszy.

– Mylisz się – zaprotestował Barbarotti. – Tylko ludzi brakuje. Ale masz rację, wygląda na to, że dotarliśmy na koniec świata. Przejdźmy się kawałek, a potem zobaczymy. Każda droga dokądś nas zaprowadzi.

– Droga?

– Ścieżka też – stwierdził Barbarotti. – Ale ta ciągnie się wzdłuż morza.

– I co powiemy, jeśli nagle pojawi się przed nami ten twój wyimaginowany człowiek? – zapytała Eva, kiedy uszli kilkaset metrów.

– O tym też pomyślałem – powiedział Barbarotti. – Najlepiej, jak zapomnimy o Vincencie, tylko pomyślimy o tym artyście. Tym naiwnym realiscie, Laugerze...

I jak tylko Barbarotti zdążył wymówić nazwisko, pojawił się on. Człowiek – daleki od wyimaginowanego. Była to młoda dziewczyna, która prowadziła konia. Zdaniem Ewy mogła mieć jakieś siedemnaście lat, wiek jej gniadego konia trudno było ocenić. Z jaką taką pewnością można było założyć, że to koń islandzki.

– Dzień dobry – powiedziała dziewczyna i pomachała półmetrowym warkoczem, który był w centrum zainteresowania konia. – Kim jesteście?

– Ja mam na imię Eva. A to jest Gunnar.

– Dlaczego prowadzisz konia, zamiast na nim jechać? – zapytał Barbarotti.

– Zgubił podkowę – powiedziała dziewczyna i pokazała za siebie. – Jeśli tam będziecie i znajdziecie, dajcie znać.

– Jasne – odparła Eva. – Ale nie mamy twojego numeru telefonu. Jak masz na imię?

– Linnea. – Dziewczyna wyjęła komórkę.

Wymienili się numerami i mimo kiepskiego zasięgu udało im się do siebie zadzwonić.

– Mieszkasz tu, w Fårö? – zapytała Eva.

– A gdzie mam mieszkać?

- To pewnie znasz tu sporo ludzi?
- Każdy kamień – potwierdziła Linnea i zaczęła się śmiać. – Większość to moi krewni. A kogo szukacie?
- Perfekcyjny świadek, pomyślał Barbarotti. Perfekcyjny człowiek. I tak wyglądała. Młoda, ładna, uśmiechnięta, z błyskiem w oku i warkoczem, któremu jej koń islandzki nie mógł się oprzeć.
- Niejakiego Laugera – powiedziała Eva. – Andreas Lauger, artysta malarz, gdzieś tu powinien mieszkać.
- Linnea zmarszczyła brwi.
- Nie jestem pewna, ale to chyba tamten dom... – Pokazała na koniec ścieżki. – Jest tu nowy, a tych za dobrze nie znam.
- Co to znaczy nowy? – zapytał Barbarotti.
- To znaczy ci, którzy się tu sprowadzili po moim urodzeniu – odpowiedziała Linnea i odsunęła łeb konia od swojego ramienia.
- Czyli musi tu mieszkać od jakichś dwunastu–piętnastu lat?
- Ja mam siedemnaście.
- O, przepraszam... a wiesz może, czy mieszka sam, czy z kimś?
- Linnea pokręciła głową.
- Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że jest gejem, więc na pewno nie mieszka z kobietą. Ale nie mogę iść z wami, bo muszę zaprowadzić do domu moją szkapę.
- Dzięki za pomoc! – zawołała Eva. – Miło cię było poznać.
- Wzajemnie – odparła Linnea. – I zadzwońcie, jeśli znajdziecie podkowę!
- Linnea się zaśmiała i pogoniła konia klapssem w zad.

Jeśli Linnea, która mieszka tu od urodzenia, nie myli się, to interesuje ich tylko jeden dom. A właściwie dwa, ale jeden to letni domek w dość kiepskim stanie; nikt nie przeżyłby zimy w jego cienkich drewnianych ścianach.

Drugi dom, schowany za pasem niskich sosen, sto metrów od plaży, wyglądał dużo solidniej. Obity ciemnym drewnem, z dachem pokrytym dachówką. Dom miał taras i dwa kominy. Stały tam jeszcze dwie szopy, jedna większa, druga mniejsza, a między nimi rozwieszono sieć rybacką. Wszystko otaczał niski drewniany płot.

Na podwórze prowadziła droga przejezdna również dla samochodów.

Żadnego dymu z komina. Żadnych oznak życia. Dwoje policjantów stało w bezpiecznej odległości i zastanawiało się, co dalej.

– I co o tym sądzisz? – zapytał Barbarotti. – Chyba tu nikogo nie ma.

– Też tak mi się wydaje.

– Zapukamy?

Eva pokręciła głową.

– Lepiej wracajmy do domu i pomyślmy, co dalej. Wystarczy na dzisiaj.

Przynajmniej wiemy, że to właściwy dom.

– Właściwy?

– No tak.

– Czyli jaki, jeśli można wiedzieć?

– Po prostu właściwy.

– A skąd wiesz, że nie mieszka tu na przykład Nisse Hult czy Ella Fitzgerald? Albo oboje naraz. Nie możemy teraz odwrócić się na pięcie i odejść, kiedy być może nareszcie... z naciskiem na być może... mamy cel w zasięgu ręki?

– Jasne, że możemy. Czy widzisz to samo co ja?

– Jezu Chryste, czy musisz mówić tak enigmatycznie? Co takiego widzisz?

– Tam. – Pokazała Eva.

Barbarotti spojrział przed siebie.

O ścianę szopy stał oparty czerwony rower.

Kwiecień 2013

Adwokat Helge Iwersen pojawił się w Kymlinge w czwartek czwartego kwietnia. Ten siedemdziesięcioletni dżentelmen, od stóp do głów ubrany w tweed – czapka z daszkiem, marynarka, kamizelka, spodnie – przyjechał taksówką.

Przedstawił się pani Vojovic z recepcji i poprosił o spotkanie z zespołem śledczym w sprawie Albina Rungego. Ma ważne informacje, zresztą jest umówiony.

Iwersen został przyjęty w sali konferencyjnej na czwartym piętrze przez cały zespół: komisarza Stigmana oraz inspektorów: Evę Backman, Barbarottiego i Toivonena.

– Witamy w komisariacie w Kymlinge, panie Iwersen – przywitał go Stigman. – Proszę się rozgościć.

– Dziękuję, komisarzu. – odpowiedział Iwersen i zajął miejsce przy owalnym stole. Położył przed sobą cienką teczkę i wyjął czarny notatnik w sztywnej oprawie, w formacie A4. Teczke postawił na podłodze i oparł o nogę krzesła. Z kieszeni kamizelki wyciągnął mikre okulary bez zauszniaków i wcisnął je mocno na stosunkowo długi nos. Cała procedura zajęła mu dwadzieścia sekund, Barbarotti pomyślał, że musiał to wcześniej przećwiczyć. Gdyby to była scena filmowa, wystarczyłoby jedno ujęcie.

Wszyscy milczeli. I czekali.

– Zatem to są te *Plamy i strzępy*, o których wspominałem – rozpoczął. – Myślę, że w takim towarzystwie nie muszę mówić, że tytuł to aluzja do zbioru wierszy Frödinga. Trafiło to w moje ręce, a ściślej mówiąc, do mojego biura w Karlstad, dwa tygodnie temu, autorem jest tak głośny ostatnio Albin Runge. Chcę nadmienić, że przez wiele lat byłem pełnomocnikiem rodziny i myślę, że wysłał ten dokument do mnie, bo czuł, że to najbezpieczniejsze miejsce. Dołączył informację, cytuję: „ważne, żeby to trafiło we właściwe ręce”. Doszedłem więc do wniosku, że to wy, panie i panowie, macie te właściwe ręce. Hm.

– Wspaniale – powiedział komisarz Stigman. – Wspaniale. A co do zawartości...

– Jeśli chodzi o zawartość, ocenę zostawiam wam – dokończył adwokat Iwersen i poprawił okulary. – Ja już wyrobiłem sobie zdanie i nie wchodząc w szczegóły tego dziwnego zniknięcia pana Rungego... wiem tylko tyle, ile słyszałem w mediach. Najlepiej jednak będzie, jeśli sami spojrzycie na to niezmaconym okiem. Tak więc od teraz jego zapiski i ich ocena są w rękach policji. Myślę, że jesteśmy co do tego zgodni.

– Ma się rozumieć, panie Iwersen – odparł Stigman. – Zrobimy co w naszej mocy. Dziękujemy za zaangażowanie. Jeśli przypomni się panu coś jeszcze, co może nas zainteresować, to proszę dzwonić.

– Myślę, że to już wszystko – odpowiedział Iwersen. – Gdzie zostawić rachunek za podróż?

– Ten skurczybyk wziął taksówkę aż z Karlstad – stwierdził Toivonen, kiedy chwilę później wszyscy trzej stali i czekali na wydruk *Plam i strzępów*, każdy z kubkiem kawy w ręce. – Jak myślicie, ile zapłacił?

– Tam i z powrotem, pewnie kilka tysięcy – oceniła Eva. – Starczyłoby na ekspres do kawy. Nie rozumiem, jak możemy pić taką lurę?

– Co cię nie zabije, to cię wzmocni – powiedział Toivonen.

– Głupie gadanie – odcięła mu się Eva.

– Kiedyś w zamierzchłych czasach studiowałem prawo i chciałem zostać adwokatem – przyznał się Barbarotti. – Szkoda, że przerwałem studia, bo całkiem nieźle bym wyglądał w tweedzie.

– Głupie gadanie – powtórzyła Eva.

– Ciekawy jestem tych jego zapisków – powiedział Toivonen. – A tak na marginesie, kto to był ten cały Fröding?

– Nie słyszałeś o Gustawie Frödingu? – zapytała Eva ze zdziwieniem. – To już zaawansowany wiekowo poeta, którego nawet ja znam.

– Pamiętaj, że chodziłem do szkoły w Finlandii – przypomniał jej Toivonen. – Tam czytaliśmy tylko *Kalevalę*.

– No tak. – Ale może najwyższy czas, żebyś...

W korytarzu pojawił się aspirant Tillgren z trzema niebieskimi teczkami.

– Oto one! – wykrzyknął zasapany. – O czym tak rozprawiacie? O *Plamach i strzępach*?

– O Frödingu – odparł Barbarotti. – Wiedza ogólna. Dziękuję, Tillgren.

- Teraz dwie godziny cichego czytania, a potem analiza u wodza... tak?
- zapytał Toivonen.
- Zgadza się – rzekła Eva. – Inspektor ma głowę nie od parady.
- Po prostu mam dobry dzień – odpowiedział Toivonen.

Już po kilku stronach coś mu się nie podobało, dlatego wrócił do początku. Teraz czytał wolniej i jednocześnie próbował sobie wyobrazić Albina Rungego – przywołać w pamięci jego szczupłą sylwetkę, gdy siedział i opowiadał o Nemezis – i poskładać wszystko w całość. To znaczy tekst i jego autora.

Co wcale nie było łatwe. Co za dziwaczna opowieść tego rozczarowanego życiem pechowca? Który... no właśnie, co? Który przeżył życie, a jednocześnie był w nim nieobecny?

Kiedy posunął się z tekstem do przodu, nasunęła mu się myśl, że Albinowi Rungemu na niczym nie zależało. Po wypadku. Po śmierci rodziców. Z wyjątkiem żony. Którą opisał jako anioła, prawie świętą... nie zapominał też o jej bracie, wspaniałym Alexandrze, o jego wielkiej bezinteresowności i jego projektach jak świat długi i szeroki.

Barbarotti zrobił sobie krótką przerwę. Przecież ona nie ma żadnego brata? Odłożył na bok *Plamy i strzępy* i sprawdził raport Smutasa.

Zgadza się. Karin Sylwander miała wprawdzie brata, ale zmarł jeszcze jako dziecko.

Co to znaczy?

Co to, do diabła, znaczy?

Odpowiedź pojawiła się niemalże natychmiast, wypisana ognistymi literami przed jego oczyma, ale je zamknął, żeby zniknęła. Już nieraz wyciągał pochopne wnioski. *Don't jump to conclusions*; jeśli ze swojej prawie dwudziestopięcioletniej pracy policjanta miałby wynieść jakąś mądrość, to właśnie tę.

Trzeba doczytać do końca. I sformułować właściwe pytania. To wszystko.

Na przykład mama jednego z dzieci, która szukała kontaktu z Rungem. A potem się wycofała. Dlaczego? Bardzo uzasadnione pytanie.

Listy od Nemezis? O co mu chodziło?

Majątek? Wspólne konta? Plan ucieczki?

Projekty charytatywne?

Brak zaufania do policji?

List od Nemezis do żony? Dlaczego nagle do niej napisał?

I w końcu jej kilkudniowa nieobecność w domu, kiedy Runge w samotności robił swoje zapiski?

I tak dalej, i tak dalej.

Kiedy dobiegł do końca, spojrzął na zegarek i zorientował się, że do zebrania zostało jeszcze piętnaście minut. Wziął głęboki wdech i jeszcze raz przeczytał ostatnie zdania, uspokajające słowa żony do swojego męża:

Nie musimy w ogóle się tym przejmować, kochanie. Za cztery dni już będzie po wszystkim i zapomnimy o całej tej okropnej historii.

I słowa męża:

Mam nadzieję, że i w tym wypadku ma rację, jak zawsze, kiedy chodzi o sprawy delikatnej natury. Over and out.

Over and out? Inspektor Barbarotti odchylił się do tyłu na krześle i spojrzął na okno. O co tu, do diabła, chodzi? – zapytał sam siebie.

O co tu, do diabła, chodzi?

Wspólna analiza *Plam i strzępów* odbyła się w gabinecie komisarza Stigmana i trwała ponad dwie godziny. Tym razem komisarz Stigman wyjątkowo zaczął od wniosków, zamiast, jak zwykle, od serwowania dobrze przemyślanych i powtarzanych słów. Pierwszy skorzystał z okazji Toivonen.

– Z tego wynika, że miał rację – powiedział. – Chodzi mi o to, czego się spodziewał. Prawda? Nemezis pociągnął za najdłuższy sznurek. Właściwie coś dziwnego jest w tych jego zapiskach. Dlaczego je w ogóle robił?

– Pytasz, dlaczego pisał, tak? – powiedział Barbarotti.

– Właśnie – odparł Toivonen.

– Pisał dziwnie, bo sam był dziwny – wtrąciła Eva. – Ja też nie rozumiem, po co pisał te swoje *Plamy i strzępy*. Chyba muszę przeczytać je jeszcze raz. To, co pisze, zgadza się z moim wrażeniem i nie zgadza.

– Zgadza się i nie zgadza? – powtórzył Stigman. – Czyli co?

– To, że istnieje wiele znaków zapytania, na które musimy znaleźć odpowiedź. Na przykład jego żona czy szwagier, Alexander. Albo pomysł, żeby wyjechać do Sztokholmu, a potem na wycieczkę promem. Ja i Barbarotti rozmawialiśmy z żoną i muszę powiedzieć, że w niektórych miejscach ich informacje różnią się od siebie.

– Czy ona wiedziała, że mąż pisze pamiętnik? – wtrącił się inspektor Smutas.

– Nie sądzę – odparł Barbarotti. – Pisze, że utrzymuje to przed nią w tajemnicy, a kiedy to wysłał, powiedział jej, że... że to jego praca o Lutrze i Erazmie z Rotterdamu. Nie, Karin Sylwander nie miała pojęcia o istnieniu *Plam i strzępów*, jestem tego pewien. Zresztą wystarczy ją zapytać, i tak musimy ją trochę docisnąć.

– Bez dwóch zdań – potwierdził Stigman. – Bez dwóch zdań, trzeba się do niej zabrać. Ale poczekamy do jutra, żeby wszyscy zdążyli przeczytać to, co będzie miała do powiedzenia naszej dwójce, czyli Backman i Barbarottiemu. Wydruk będzie gotowy za jakąś godzinę i chyba nie muszę

powtarzać, że trzeba to zrobić z finezją. Z finezją i delikatnością. Absolutnie podpisuję się pod tym, że jest tu trochę niejasności. Nawet więcej niż trochę. Co na to inspektor Backman?

– Inspektor Backman też uważa, że jest tu wiele niejasności – odparła Eva. – Chociażby jej brat. Karin Sylwander nie ma brata, ciekawe, jak jest z tą jego dobroczynnością, o której Runge tyle pisze i w którą włożyli parę milionów. Zaczęliście już to sprawdzać...?

Eva Backman odwróciła się do Toivonena i Smutasa, którzy siedzieli obok siebie, przez ułamek sekundy przypominali jej Duponda i Duponda z komiksów o Tintinie. To skojarzenie było dla niej nowe i zaskakujące, więc w duchu ich przeprosiła. Toivonen skrzywił się, jakby czytał w jej myślach, podczas gdy Smutas skinął głową i otworzył swój notatnik.

– To nie jest do końca jasne – powiedział sceptycznie. – Są cztery spółki, do których zostały przelane pieniądze z ich wspólnego konta, nazwy trzech wskazywałyby na to, że zajmują się działalnością charytatywną. The Good Samaritan czy Kids for Life. Nie mam jeszcze wszystkich danych, ale na moje oko to...

Zawahał się na chwilę.

– Inspektorze Borgsen, proszę śmiało, w tej sytuacji... – zapewnił go komisarz Stigman i poprawił swój czerwony krawat, który nieco się przekrzywił. – Śmiało.

– Dziękuję – odparł Smutas. – W każdym razie zaryzykuję stwierdzenie, że żadna z tych spółek nie zajmuje się działalnością charytatywną.

Na kilka sekund zapadła cisza.

– A to oznacza... – zapytał Stigman. – A to oznacza...?

– ...że to cholerny przekręt i po prostu oskubali go z pieniędzy – dokończył Toivonen. – Żona i ten cały braciszek, który może i jest czyjś bratem, ale na pewno nie jej. Ten cały Albin Runge to naiwniak, jakiego świat nie widział.

– Świat widział różnych naiwniaków – wtrącił Barbarotti. – Ale zgadzam się. Runge został wywiedziony w pole, w dodatku to gadanie, że jego żona to anioł, a szwagier to zbawiciel uciśnionych... to już lekka przesada.

– Zdecydowanie – potwierdził Stigman. – Też jestem tego zdania. Proszę kontynuować, inspektorze Barbarotti!

– Dziękuję – odpowiedział Barbarotti. – Dodam tylko, że jeśli nawet niezupełnie dobrze znam się na kobietach, do czego w pełni się przyznaję, to

trudno mi zrozumieć, jak można się zakochać w kimś takim jak Albin Runge.

– Znam bardziej czarujących mężczyzn – wtrąciła Eva i dyskretnie wymieniła spojrzenie z Barbarottim.

– Spotkali się w banku – uzupełnił Toivonen. – Tak się poznali. Pachnie mi tu pieniędzmi jak cholera, przecież to nie...

– Tak, hmm, no właśnie – przerwał Stigman, był to jego wypróbowany sposób na to, żeby wszyscy się uciszeli. – Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków, ale na pewno jeszcze raz musimy porozmawiać z wdową. Teraz z innej beczki: Co się stało z Albinem Rungem na promie z Finlandii między dwudziestym drugim a dwudziestym trzecim marca?

– Przecież dlatego tu siedzimy – powiedział Borgsen. – Nie?

Przedmiotem obrad było również to, co jedno i drugie, i trzecie, i czwarte... mają z sobą wspólnego, kiedy więc Barbarotti zaprezentował odkrycie młodego Kavafisa, że jeden z pasażerów na promie to z dużym prawdopodobieństwem były narzeczony Karin Sylwander – tylko pod innym nazwiskiem – inspektor Toivonen nie mógł się powstrzymać, żeby nie powiedzieć, że to wszystko coraz bardziej się zagęszcza. A może chodziło mu o coś odwrotnego: że mgła zaczyna opadać.

– Cholera – dodał. – Robi się coraz ciekawiej. Coś mi się wydaje, że to dobry trop. Czy ona przypadkiem nie mówiła, że nie spotkała nikogo znajomego na tym promie?

– Tak mówiła – powiedział Barbarotti. – Trudno, żeby go nie poznała. Przecież rozstała się z nim miesiąc przed poznaniem Albina Rungego, jeśli się nie mylę. Czyli nie więcej niż cztery lata temu, chyba aż tak się nie zmienił, do

cholery.

– Jak on się nazywa? – zapytał Stigman. – Przedtem i teraz.

Barbarotti zrobił pauzę, bo nagle uświadomił sobie, co to wszystko znaczy.

– Johansson jako jej narzeczony – wyjaśnił. – Rendell jako singiel. Przynajmniej zachował imię. Alexander.

– Alexander? – powtórzył Smutas. – To może przypadek, ale wygląda na to, że...

– Jaki przypadek, jaki przypadek! – przerwał mu Toivonen i uderzył pięścią w stół. – Niech mnie szlag!

– Cisza na sali – rzucił komisarz Stigman i spojrzął na Toivonena. – Ty i Smutas, znajdźcie tego pasażera. I nie żałujcie wysiłków, to sprawa najwyższej wagi. Najwyższej... wagi!

– To nie będzie nic skomplikowanego – powiedział Barbarotti i zdusił ziewanie. – Jeśli już tyle wiemy.

– Pomożesz mi to wszystko uporządkować? – poprosił Barbarotti kilka godzin później. Zaszli się z Evą w pubie Zielona Świnia, w zacisznym miejscu kilka ulic od komisariatu. – Mam taki mętlik w głowie, że już nie wiem, jak się nazywam.

Eva wypła łyk piwa i wzięła garść chipsów.

– Trochę tego jest – powiedziała w końcu. – Ale coś mi mówi, że nasza wdowa musi nam wyjaśnić jeszcze to i owo. Coraz trudniej mi uwierzyć, że wyszła za niego z miłości.

– Już dawno przestałem w to wierzyć – rzekł Barbarotti. – Ale musiała całkiem niezłe grać, że tak dobrze się o niej wyrażał. Czy on naprawdę był tak cholernie naiwny i ślepy, jak twierdzi Toivonen?

Eva Backman pokręciła głową.

– Nie wiem. Trudno ocenić. Ale to oczywiste, że go oskubali, ona i ten jej fikcyjny braciszek... wierzysz, że to jej były, który zmienił nazwisko, ale zachował imię? Zresztą sporo jest Alexandrów na świecie? Chociażby Alexander Skargård.

– Albo Aleksander Wielki – dodał Barbarotti. – Ale to na pewno żaden z nich. Niedługo się dowiemy. Jeśli Toivonen i Smutas dobrze się spiszą, jutro będziemy wiedzieć więcej. Ale są ważniejsze sprawy.

– Też tak sędzę. I to cholernie dużo.

– Jaka jest najważniejsza, według ciebie? – zapytał Barbarotti, wypijając łyk piwa.

– A według ciebie?

Barbarotti wziął chipsa i popatrzył w sufit.

– Myślę, że Nemezis – powiedział.

– Naprawdę?

– Wiesz, o czym mówię?

– Może. Ale mów.

Barbarotti popatrzył w swoją na wpół pustą szklankę. Albo na wpół pełną.

– Nie mam ochoty – powiedział. – Kiedy myśli ubierzesz w słowa, to z nami zostają... kiedy wypowiesz je głośno.

– To prawda. Ale mów.

– Widzę, że nie odpuszczasz.

– Nigdy.

– Okej. Ale potem już ani słowa o tym przez resztę wieczoru, zgoda?

– Zgoda.

Barbarotti wziął jeszcze kilka chipsów, ale odłożył je z powrotem do miski i odchrząknął.

– Najważniejsze to jak dużo mają na sumieniu... wdowa i ten jej wymyślony braciszek. Czy tylko oskubali go z pieniędzy, czy jest jeszcze coś.

– Chodzi ci o...?

Barbarotti nie odpowiedział.

– Chodzi ci o...?

– Tak. Ale chyba się umówiliśmy, że na razie koniec tematu?

– Zgoda – potwierdziła Eva Backman i stuknęli się szklankami. – Przepraszam. Na zdrowie, mój tajemniczy kochanku.

– Na zdrowie. Wypijemy i wracamy do domu. Jenny obiecała, że zrobi lazanie wegetariańską... cholera, spóźnimy się!

– Powinnam dzisiaj jechać do siebie – powiedziała Eva. – Spędzam u ciebie więcej czasu niż we własnym domu.

– Nie mów głupstw.

Następnego dnia Karin Sylwander, cała ubrana na czarno, pojawiła się na posterunku policji w Kymlinge. Miała na sobie prostą sukienkę z długim rękawem, a na szyi wąską apaszkę. Była bez makijażu i wyglądała na zmęczoną. Barbarotti zaczął się nawet zastanawiać, czy celowo tak się ucharakteryzowała, czy po prostu jej nie zależało. Ale nie znalazł odpowiedzi.

Przesłuchanie miało się zacząć o godzinie pierwszej, więc całe przedpołudnie przeznaczyli z Evą na przygotowania. Rzecz jasna, przy łaskawym wsparciu komisarza Stigmana. Ważne, żeby nie popełnić błędu, powtarzał w równych odstępach czasu. Nie. Popełnić. Błędu.

Siedzieli w pokoju im. Asunandera, nazwanego tak na cześć poprzednika Stigmana. Backman, Barbarotti i Sylwander, trzy krzesła, kilka butelek wody, kilka plastikowych kubków, i to wszystko. Stigman i asystent Wennergren-Olofsson za lustrem weneckim mieli oczy i uszy otwarte.

– Po co...? Po co się tu spotykamy? – zapytała zdziwiona Karin Sylwander, zanim usiadła.

– Rutynowe postępowanie – odparła Eva. – Będziemy nagrywać naszą rozmowę, a tutaj jest najlepsze światło i akustyka. Proszę usiąść.

Karin Sylwander usiadła i poprawiła apaszkę na szyi.

– Czy to przesłuchanie?

– Przesłuchanie w roli świadka – potwierdził Barbarotti. – Proszę nie zwracać uwagi na kiepską oprawę, naszym celem jest jedynie dowiedzieć się, co się stało z pani mężem. W miarę możliwości proszę odpowiadać na wszystkie pytania, informuję również, że ma pani prawo do milczenia.

– Dlaczego miałabym nie chcieć odpowiedzieć na wasze pytania? –

Karin Sylwander uniosła brew ze zdziwienia i zaraz ją opuściła. – Czy... czy go znaleźliście?

– Nie – odparła Eva. – Nie znaleźliśmy pani męża. Jak się pani wydaje, czy mąż sam, z własnej woli, wyskoczył do wody?

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Tak. Ale dla formalności pytamy jeszcze raz.

Karin Sylwander pokręciła głową.

– Jestem pewna, że nie. I zupełnie nie rozumiem tego rodzaju pytania. Albin obawiał się, ale nie aż tak, żeby popełnić samobójstwo. Po prostu ktoś na niego polował i to ten ktoś odebrał mu życie. Albo oni, jeśli było ich więcej...

– Ma pani na myśli Nemezis? – zapytał Barbarotti.

– Przecież to oczywiste. Nie rozumiem, czego szukacie... nie podoba mi się to. – Karin Sylwander rozejrzała się po urządzonym po spartańsku pokoju. – Bardzo mi się to nie podoba.

– Rozumiem – rzekł Barbarotti. – Ale musimy ruszyć do przodu, dlatego proszę, żeby pani odpowiadała na nasze pytania. Mam nadzieję, że nie muszę przypominać, że jest pani najważniejszym świadkiem. Ale zatrzymajmy się na chwilę na autorze tych niesympatycznych listów. Co pani o nim sądzi? Dla uproszczenia założmy, że chodzi o jedną osobę... na początku nie traktowała pani tego poważnie, prawda?

Karin Sylwander zawahała się chwilę.

– Chyba nie. Pomyślałam, że to pewnie jakiś wariat. Sporo ich w internecie i w ogóle...

– Ale Nemezis nie używał mediów społecznościowych.

– Nie, ale Albin też nie miał konta mailowego... nie ma.

– Rozumiem.

– Faktycznie, na początku nie traktowałam tego poważnie... kiedy Albin pokazał mi dwa pierwsze listy. Ale potem było coraz gorzej, prawda?

– Bez wątplenia. Jak pani sądzi, dlaczego Albin ukrywał przed panią część listów?

– Boże drogi, przecież już o tym mówiliśmy. Po prostu nie chciał mnie martwić.

– Czy pani zdaniem dobrze zrobił?

– Nie, przecież wiecie, co o tym sędzę.

Barbarotti skinął głową i lekko trącił Evę w kolano.

– Czy ma pani brata? – zapytała Eva.

– Co takiego? – Sylwander była wyraźnie zaskoczona.

– Pytam, czy ma pani brata.

– Dlaczego... dlaczego pani pyta?

– Chcemy wiedzieć – odparła Eva. – Odpowiedź chyba nie jest trudna?

– Nie mam brata.

– Odniosłem wrażenie, że pani się chwilę zastanawiała – wtrącił Barbarotti. – A może się mylę?

Karin Sylwander wyprostowała plecy i powędrowała wzrokiem po prowadzących przesłuchanie.

– Podejrzewam, że pani coś przed nami ukrywa.

– Niestety, pewne rzeczy w dalszym ciągu nie są dla nas jasne – powiedziała Eva. – Pani zeznania roz mijają się z zeznaniami męża. Jest pani tego świadoma?

I położyła na stole *Plamy i strzępy*. Sylwander wyglądała na lekko zaskoczona.

– Co to jest?

– Nigdy pani nie widziała tego notatnika?

– Nie.

– Na pewno? – zapytał Barbarotti.

Karin Sylwander wzruszyła ramionami.

– Nie przypominam sobie. Przecież to zwykły notatnik, jeśli dobrze widzę?

– Zgadza się – rzekł Barbarotti. – Nic szczególnego, ale zawiera ponad czterdzieści stron notatek, które pani mąż robił przez ostatnie pół roku. Nic pani o tym nie wiedziała?

Pokręciła głową.

– Nie... nie, na pewno nie. Co takiego zapisywał?

Barbarottiemu wydawało się, że usłyszał w jej głosie pewien niepokój. Zmieniła też pozycję na krześle, znów poprawiła apaszkę i położyła ręce na stole. Jakby tymi małymi ruchami czyniła jakieś zaklęcia; jakby chciała się powstrzymać przed wzięciem notatnika, otworzeniem i przeczytaniem jego zawartości. Barbarotti sam się zdziwił swoim spostrzeżeniem i był ciekawy, czy reszta też tak to odebrała.

– Pisz o wielu sprawach – wyjaśniła Eva po wyważonej pauzie. –

O waszym związku. O tym, jak się poznaliście. O pani bracie i jego działalności charytatywnej, na którą dawaliście pieniądze...

– Przepraszam, ale muszę skorzystać z toalety – przerwała Karin Sylwander.

– Pójdę z panią – powiedziała Eva i wyłączyła magnetofon.

Wróciły po dziesięciu minutach; Barbarotti był zaskoczony, że Sylwander wydawała się znów skłonna kontynuować przesłuchanie. Z pewnością pod-

czas pudrowania nosa dobrze rozważyła to i owo; byłoby dziwne, gdyby tego nie zrobiła. Może chciała się upewnić, co policja już wie, a czego nie, zanim przerwie przesłuchanie. Czy wciąż uważała, że jest przesłuchiwana w roli świadka, a nie w roli podejrzanej, to już inna sprawa. Może nie знаła przepisów, a może myślała, że po prostu mogą ją w coś zrobić, jeśli zechcą. Barbarotti nie bardzo wiedział, co sądzić o jej względnym spokoju, kiedy znów usiadła na krześle i splotła dłonie. Była aktorką, przypomniał sobie. Nie zapominaj o tym.

Aktorka wdowa przejęła inicjatywę.

– Te jego notatki – odezwała się. – Jak je znaleźliście?

– Wróćmy do tego – odparł Barbarotti. – Interesuje nas Alexander, według pani męża to pani brat. A przecież pani nie ma brata, dość trudno zrozumieć, jak mąż mógł się tak mylić.

Karin Sylwander zawahała się najwyżej sekundę. Najwyraźniej spodziewała się takiego pytania, więc podczas wizyty w toalecie miała czas, żeby się przygotować.

– Alexander nie jest moim bratem. Tak jak mówiłam, nie mam brata. Ale postanowiliśmy, że tak zostanie dla dobra sprawy.

– Dla dobra sprawy? – zapytała Eva z udawanym zdziwieniem. – Nie rozumiem.

Karin Sylwander wzięła głęboki wdech.

– Alexander to mój dobry przyjaciel. Poświęcił życie działalności charytatywnej. Pomoc dzieciom w różnych częściach świata, sierocińce, szkoły i tak dalej... jest temu oddany bez reszty, podobnie jak ja. Naprawdę dobrze nam się z Albinem wiodło i pomyślałam, że moim obowiązkiem jest pomóc. Może popełniłam błąd, przedstawiając Alexandra jako brata, ale wydawało mi się, że w taki sposób łatwiej mi będzie wciągnąć w to mojego męża. To było głupie, ale kiedy już tak powiedziałam, to potem było mi niezręcznie to odkręcać. Jest mi przykro z tego powodu, ale stało się.

– Dobry przyjaciel? – zapytał Barbarotti. – Nic ponad to?

– Nie, a o co panu chodzi?

– Tak tylko zapytałem. A ta działalność charytatywna przynosiła owoce?

– Tak sądzę. Ale ani Albin, ani ja nie byliśmy wciągnięci w szczegóły. Wszystkim zajmował się Alexander.

– Zainwestowaliście sporo pieniędzy, prawda?

– Stać nas było. Jeśli ma się pieniądze, to zawsze znajdzie się powód, żeby je dobrze wydać. Żeby pomóc tym, którzy mają gorzej niż my.

– Bardzo szlachetne – stwierdziła Eva. – Ale na razie odłóżmy to na bok. Jest inna rzecz, która nas interesuje. Kto wpadł na pomysł tego nieszczęsnego wyjazdu do Sztokholmu i rejsu na Åbo?

– Nie bardzo rozumiem.

– To chyba dość proste pytanie? Czy to był pani pomysł, czy męża?

– Albina. Ale jakie to ma znaczenie?

– Wbrew pozorom dość duże – wtrącił się Barbarotti. – W swoich notatkach mąż twierdzi, że to pani pomysł.

– To... to nieprawda – powiedziała Karin Sylwander i przez moment wyglądała na zdezorientowaną. – Faktycznie, na początku uważałam, że to całkiem dobry pomysł... ale później się okazało, że było zupełnie inaczej.

– To się akurat zgadza – rzekł Barbarotti. – To był naprawdę zły pomysł. W takim razie dlaczego mąż twierdził, że to pani wymyśliła?

Karin Sylwander znów się zawahała.

– Nie wiem... nie wiem.

– Mam nadzieję, że pani rozumie, dlaczego o to pytamy? – wtrąciła Eva.
– Po prostu któreś z was kłamie.

– Dlaczego mielibyśmy kłamać?

– Też jesteśmy ciekawi – odparł Barbarotti. – Nawiasem mówiąc, ostatnio wykupiliście nowe ubezpieczenie na męża, prawda? Które w razie jego śmierci opiewa na całkiem pokaźną kwotę.

Karin Sylwander skinęła głową w milczeniu.

– Czy to też był pomysł męża?

– Tak... oczywiście.

– Czyli to nie pani podsunęła mu tę myśl?

– Nie.

– A ja zapytam o inną sprawę – przejęła pałeczkę Eva. – Powiedziała pani, że na promie nie było nikogo znajomego. Zgadza się?

– Ech... tak. W każdym razie nikogo znajomego nie spotkałam.

– A jeśli powiem, że niejaki Alexander był na liście pasażerów, jak pani to wytłumaczy?

– ...Alexander?

– Tak. Alexander Rendell. Dawniej Johansson.

Stop, pomyślał Gunnar Barbarotti i odchylił się na oparcie krzesła. Najwyższy czas, żeby sobie uświadomiła, że lepiej milczeć, jeśli nie chce spaść sobie drogi ewakuacyjnej.

Skąd ta myśl? – zapytał sam siebie na jednym oddechu. Przecież nie gramy w tej samej drużynie.

Karin Sylwander zamilkła na pięć sekund i zaczęła wędrować błędnym wzrokiem po swoich prześladowcach. A potem wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

– Tak, Alexander był na promie. To...

– Tak?

– To Albin tak chciał. Dla... dla poczucia bezpieczeństwa.

– Czyżby? – rzuciła powątpiewająco Eva. – Dlaczego pani nam o tym nie powiedziała?

Karin Sylwander wzięła dwa duże łyki wody i odparła, że nie ma ochoty odpowiadać na więcej pytań oraz że chce się skontaktować ze swoim adwokatem, ponieważ ma do tego prawo.

Gunnar Barbarotti i Eva Backman ze zdziwienia unieśli przynajmniej trzy brwi, ale się nie sprzeciwili. Barbarotti skorzystał z okazji i jeszcze raz podkreślił, że nie jest o nic podejrzana i że według przyjętych procedur występuje jedynie w roli świadka, toteż w każdej chwili może opuścić komisariat.

Karin Sylwander bezzwłocznie to uczyniła. Nie poinformowano jej jednak, że niejaki Alexander Rendell, urodzony jako Johansson, mniej więcej od pół godziny siedzi razem z inspektorami Borgsenem i Toivonenem w innym pokoju przesłuchań, dość podobnym do tego, który ona właśnie opuściła.

(Protokół z przesłuchania Alexandra Rendella, komisariat policji w Kymlinge, 5 kwietnia 2013 roku).

BORGEN: Przesłuchanie Alexandra Rendella w sprawie nr 13/124-2S. Godzina 13.35, piątek, piętnasty kwietnia 2013 roku. Przesłuchujący: inspektor kryminalny Lars Borgsen. W przesłuchaniu bierze udział inspektor Matti Toivonen. Dzień dobry, panie Rendell.

RENDELL: Co ja tu robię?

BORGEN: Wezwaliśmy pana, żeby zadać kilka pytań w związku ze zniknięciem Albina Rungego dwa tygodnie temu. Mamy podstawy sądzić, że może nam pan pomóc.

RENDELL: Skąd te przypuszczenia?

TOIVONEN: Naprawdę pan nie rozumie?

RENDELL: Nie, nie rozumiem.

BORGEN: Jeśli pozwoli nam pan zadać kilka pytań, to może wszystko się wyjaśni.

RENDELL: Dobrze, dobrze, stawiajcie te swoje pytania.

BORGEN: Dziękuję. Gdzie pan przebywał dwudziestego drugiego i dwudziestego trzeciego marca?

RENDELL: Co?

BORGEN: Powtarzam pytanie. Gdzie pan był dwudziestego drugiego i dwudziestego trzeciego marca?

RENDELL: W tym roku?

BORGEN: W tym roku.

(Rendell siedzi i milczy przez pięć sekund, po czym odpowiada).

RENDELL: Okej. Byłem na tym pieprzonym promie.

BORGEN: O jakim promie pan mówi?

RENDELL: Do Åbo, oczywiście. Viking Line ze Sztokholmu.

BORGEN: Dziękuję. Dlaczego pan płynął tym promem?

(Znowu przedłużające się milczenie Rendella).

BORGSEN: Powtarzam pytanie. Z jakiego powodu znajdował się pan na promie kursującym między Sztokholmem a Åbo dwudziestego drugiego i dwudziestego trzeciego marca?

(Niezrozumiałe mamrotanie Rendella).

TOIVONEN: Co pan powiedział?

RENDELL: A od kiedy to nie można wybrać się na małą wycieczkę, jeśli ma się na to ochotę?

TOIVONEN: Ma pan nieograniczone prawo pływania promem, ale nam chodzi o tę konkretną podróż. Czy może pan opisać swoją relację z Albinem Rungem?

RENDELL: Z Albinem Rungem?

TOIVONEN: Tak.

RENDELL: Spotkałem go tylko kilka razy.

BORGSEN: W jakich okolicznościach się spotkaliście?

(Bez odpowiedzi).

TOIVONEN: W jakich okolicznościach się spotkaliście?

RENDELL: W interesach.

TOIVONEN: W interesach? Jakich interesach?

RENDELL: Jestem biznesmenem. Spotykam wiele osób, żeby robić interesy.

BORGSEN: O jakie interesy chodziło, kiedy spotkał się pan z Albinem Rungem?

RENDELL: Inwestowanie.

BORGSEN: Może pan to rozwinąć?

RENDELL: Nie rozumiem, dlaczego mam to rozwijać. Ale okej, chciał zainwestować pieniądze w kilka projektów, które prowadzę.

BORGSEN: O jakie projekty chodzi?

RENDELL: Różne.

BORGSEN: Jakiś przykład?

RENDELL: Chodziło przede wszystkim o projekty charytatywne. Nie rozumiem, co to ma wspólnego z jego zniknięciem.

TOIVONEN: Nieważne, że pan nie rozumie. Ile pieniędzy w sumie zainwestował Albin Runge w te projekty charytatywne?

RENDELL: Nie sądzę, żebym musiał odpowiadać na to pytanie.

TOIVONEN: Zgadza się. Byłoby nierozsądnie odpowiadać, jeśli ma się coś do ukrycia.

RENDELL: Nie mam nic do ukrycia.

TOIVONEN: Świetnie. To ile pieniędzy zainwestował Albin Runge w te pańskie projekty?

RENDELL: Nie jestem w stanie odpowiedzieć, nie mając przed sobą rachunków.

TOIVONEN: A tak szacunkowo?

RENDELL: Nie, nie ma powodu, żebym to robił.

BORGEN: Mamy informację, z której wynika, że Albin Runge i jego żona zainwestowali w pańskie projekty około siedmiu milionów koron. Czy to prawda?

(Rendell nie odpowiada).

BORGEN: Powtórzę pytanie. Czy to prawda, że Albin Runge i Karin Sylwander zainwestowali w pańskie projekty około siedmiu milionów koron?

RENDELL: Nie mam pojęcia, jakiego rzędu sumy to były. Nie mam w głowie wszystkich liczb.

BORGEN: Chodzi o cztery spółki, czy to prawda?

REDNELL: Cztery?

BORGEN: A może więcej?

RENDELL: Sądzę, że trzy.

TOIVONEN: I te trzy spółki zajmują się działalnością charytatywną w różnych częściach świata, tak?

RENDELL: Zgadza się.

TOIVONEN: Wioski dziecięce i szkoły?

RENDELL: Tak.

TOIVONEN: Czy może pan podać nazwy tych wiosek czy szkół?

RENDELL: Wszystko jest w dokumentach.

TOIVONEN: Przynajmniej jedną z nich?

RENDELL: Nie ma żadnego powodu, żebym się spowiadał przed wami z moich interesów. Chcę wiedzieć, dlaczego tu siedzę. Czy jestem o coś podejrzany?

TOIVONEN: Podejrzany? Nie, a kto tak mówi?

(Rendell milczy. Pięciosekundowa cisza).

BORGSEN: Czy pieniądze, które zainwestowali Albin Runge i Karin Sylwander, dotarły do adresatów?

RENDELL: Oczywiście. Nie mam nic więcej do dodania.

BORGSEN: Rozumiem. Wróćmy do podróży promem do Finlandii. Dlaczego pan tam popłynął?

RENDELL: *(Wstał z krzesła i pół minuty chodził po pokoju tam i z powrotem).* Okej, do diabła. To Albin Runge chciał, żebym się z nimi wybrał. Jako pewnego rodzaju... nie wiem... jako zabezpieczenie. Przecież mu grozili.

BORGSEN: Albin Runge, którego pan spotkał zaledwie kilka razy w życiu, poprosił, żeby pan z nim pojechał do Finlandii, tak?

RENDELL: Może spotkaliśmy się parę razy więcej, jeśli dobrze pomyślę.

TOIVONEN: Dobrze, że pan myśli. Jak dobrze zna pan żonę Albina Rungego, Karin Sylwander?

RENDELL: *(Niesłyszalnie).*

TOIVONEN: Słucham? Nie usłyszałem. Jak dobrze pan zna Karin Sylwander?

RENDELL: Jesteśmy znajomymi sprzed lat.

TOIVONEN: I nic ponad to?

RENDELL: Nie.

(Pół minuty przerwy, podczas której prowadzący przesłuchanie szuka czegoś w teczce. I znajduje).

BORGSEN: Z naszych informacji wynika, że mieszkaliście razem przez kilka lat.

RENDELL: Nie zgadza się.

BORGSEN: Ale przez dwa i pół roku byliście zameldowani pod tym samym adresem. Wtedy pan się nazywał Johansson.

RENDELL: Była moją lokatorką.

TOIVONEN: No proszę, proszę. A czy przypadkiem nie była też pana siostrą?

(Rendell znów wstaje, ale zaraz siada).

BORGSEN: Przypominam, że w każdej chwili może pan przerwać przesłuchanie. Ale byłoby dość praktycznie, gdyby pan jednak odpowiedział teraz na nasze pytania. Wtedy nie będziemy musieli jutro pana ściągać. Czy to prawda, że Albin Runge myślał, że Karin Sylwander jest pana siostrą?

(Pauza. Niesłyszalne mamrotanie Rendella).

BORGSEN: Czy mam powtórzyć pytanie?

RENDELL: To nie był mój pomysł.

BORGSEN: Czyj to był pomysł?

RENDELL: Karin. To było głupie. Byłem temu przeciwny.

BORGSEN: Czyli można powiedzieć, że wywiedliście Albina Rungego w pole?

RENDELL: Ale cel był szczytny. Nie chcę o tym rozmawiać.

TOIVONEN: Rozumiem, że pan nie chce. Zatem zmieńmy temat. Czy może nam pan wyjaśnić, swoimi słowami, co pan robił na promie między dwudziestym drugim a dwudziestym trzecim marca?

(Rendell milczy przez pół sekundy. Borgsen i Toivonen też).

BORGSEN: Słuchamy.

RENDELL: Byłem na tym pieprzonym promie, bo mnie o to poproszono. Byliśmy z Karin w kontakcie telefonicznym, ale trzymałem się na odległość. Taki był zamysł.

BORGSEN: Jaki zamysł?

RENDELL: Że będę miał oko na Albina, ale z daleka.

BORGSEN: Proszę to rozwinąć.

RENDELL: Miałem wypatrywać podejrzanych osób... to znaczy tego całego Nemezis.

BORGSEN: Czyli wiedział pan o Nemezis?

RENDELL: Tak, Karin mi o nim powiedziała.

BORGSEN: Rozumiem. Czy widział pan kogoś, kto zachowywał się podejrzanie?

RENDELL: Nie.

BORGSEN: A kiedy ostatni raz widział pan Albina Rungego na promie?

RENDELL: Podczas śniadania w drodze powrotnej. Wydaje mi się, że nie wychodził z kabiny do momentu, kiedy dopływaliśmy do Sztokholmu.

TOIVONEN: Skąd pan wie?

RENDELL: Karin zadzwoniła do mnie i powiedziała, że poszedł do sklepu. Była wtedy chyba czwarta po południu. Ale już nie chcę tu dłużej siedzieć. Wasze pytania coś sugerują.

TOIVONEN: Coś sugerują?

RENDELL: Tak. Nie wie pan, co to znaczy?

BORGSEN: Może pan iść, jeśli pan chce.

RENDELL: Dziękuję.

(Rendell wstaje i opuszcza pokój).

BORGSEN: Przesłuchanie skończone o 14.02.

Dokładnie cztery godziny po tym, jak Smutas zakończył przesłuchanie Alexandra Rendella, urodzonego jako Johansson, Gunnar Barbarotti siedział w saunie w parku wodnym w Kymlinge, w eleganckim przybytku, który miał nie więcej niż rok, i realizował prezent gwiazdkowy od swoich dzieci. Jednak problem w tym, że nie za bardzo lubił pływać i siedzieć w saunie. Ale na karcie prezentowej zostało mu jeszcze kilkaset koron, poza tym darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Na ósmą zamówił stolik dla dwóch osób w restauracji Brännström i Przyjaciele, więc trudno tu mówić o cierpieniu. W każdym razie ta gorąca para rozpuściła nie tylko napięcie w jego ciele, ale również myśli w jego głowie.

A jeśli nawet nie rozpuściła, to przeformowała. Ogólnie mówiąc, byłoby kłamstwem przeprowadzać z samym sobą proste logiczne rozumowanie, sprawa nie była aż tak trudna. Chodziło o to, żeby postawić odpowiednie pytania, bo bez nich nie ma odpowiedzi.

Oczywiście, to sprawa Albina Rungego bulgotała w zaparowanej świadomości Barbarottiego, więc pomyślał, że najlepiej będzie, jak do końca ona wyparuje, żeby potem, po dobrym nocnym śnie i w świetle dnia, znów się do niej zabrać.

Jeśli się chce wygrać zapasy albo biegi narciarskie, trzeba włożyć maksimum wysiłku, zupełnie inaczej jest z procesami myślowymi. A ponieważ najelegantsze rozwiązania trudnych (i mniej trudnych) problemów najczęściej charakteryzują się powściągliwą prostotą, całkowite pozbycie się mglistego i mętnego balastu myślowego jest tylko zaletą.

Dobrze pomyślane, zdziwił się inspektor Barbarotti i wyszedł z sauny, czując, że za chwilę zasłabnie. Jak zatem wygląda eleganckie rozwiązanie sprawy 13/124-2S? Pytanie, dlaczego uczył się na pamięć numeru każdej sprawy, zostawił we wciąż jeszcze kłębiącej się parze.

Odpowiedź była jasna.

Nie było żadnego Nemezis.

A ściśle mówiąc: nie było żadnego Nemezis ani wśród pasażerów autokaru do Åre-Duved dwudziestego drugiego marca 2007 roku, ani wśród rodziców tych pasażerów.

Nemezis był znacznie bliżej.

Zatem gdzie? Na Strandvägen 11 w Kymlinge – bo to była ona, wdowa po Albinie Rungem, i to ona razem z byłym narzeczoną za tym wszystkim stała. Przebiegłe dranie.

Listy. Telefony. Oszustwa finansowe. Podróż do Åbo i w końcu morderstwo.

Barbarotti położył się na leżaku w sali zwanej *Refugium* – o przyjemnej temperaturze dwudziestu ośmiu stopni, z widokiem na duży basen i w pełni wyposażonym barkiem. I kto twierdzi, że pływanie i wygrzewanie się w saunie nie jest pożyteczne?

Zamówił piwo i jeszcze raz, wewnętrznym okiem, spojrzął na swoje eleganckie rozwiązanie.

Czyli na Karin Sylwander i Alexandra Rendella, vel Johanssona. Od samego początku, czyli od momentu, kiedy Albin Runge poznał w banku swoją przyszłą żonę, zaplanowali, że oskubią z pieniędzy tego łatwowiernego byłego kierowcę autokaru. W końcu postanowili pójść o krok dalej i go zamordowali. Wyrzucili go do morza między Szwecją a Finlandią. Prawdopodobnie w środku nocy; a gadka, że zniknął w drodze powrotnej, o czwartej po południu, to po prostu czyste bzdury. Pozostało im tylko zgarnąć ubezpieczenie i spadek. Innych spadkobierców poza wdową nie było.

Jasna cholera, pomyślał Gunnar Barbarotti i wziął łyk piwa. Właśnie tak wygląda to proste i eleganckie rozwiązanie.

Jedyna wątpliwość, jaka się pojawiła w jego głowie, dotyczyła komentarza Toivonena po przesłuchaniu Alexandra Rendella. Nie było jeszcze spisane, ale i Barbarotti, i Backman odsłuchali je z magnetofonu.

– To niezły skurczybyk – podsumował Toivonen. – Ale muszę powiedzieć, że był dość wiarygodny, jeśli chodzi o ten prom.

Kilka godzin później, w restauracji Brännström i Przyjaciele – w samym środku wspaniałego turbota na zrumienionym maśle, kiedy już Barbarotti zaprezentował swoje proste i eleganckie rozwiązanie – Eva powiedziała, co o tym myśli.

– Nie twierdę, że mówisz od rzeczy. Ale przedstawienie tego jako dowodu może być bardzo trudne. Obawiam się, że prokurator też będzie tak uważał.

– Wiem – odparł Gunnar Barbarotti. – Ale to zawsze coś.

Październik 2018

Eva Backman siedziała w fotelu przed kominkiem i czytała protokół z przesłuchania. Barbarotti stał przy kuchence i pilnował risotto. Po udanej operacji na Fårö zdążyli jeszcze pojechać do Slite, do najbliższego sklepu monopolowego, i kupić sześć butelek wina.

Nie dlatego że tyle potrzebowali na te dwa tygodnie, jakie im pozostały, ale przezorny zawsze ubezpieczony. Mieli jeszcze czerwone włoskie wino, ale było już otwarte i się napowietrzyło. Poza tym każdy glina zasługuje na jakąś nagrodę.

Właśnie o tym myślał Barbarotti, kiedy stał i mieszał bulgoczący ryż. A czego dzisiaj udało im się dowiedzieć? Znaleźli dom, w którym rzeczywiście mieszkał artysta Andreas Lauger. Prawdopodobnie miał lokatora, który jeździł czerwonym rowerem. Ten rowerzysta z kolei był podobny do Albina Rungego, który już od ponad pięciu lat nie żył... nie, który powinien już nie żyć, ponieważ został wyrzucony z promu do morza.

Jednak jego ciała nigdy nie odnaleziono.

Ale czy to brakujące ogniwo to rzeczywiście coś, czym należy się chwalić?

Barbarotti napił się wina i myślał dalej. Ta dziewczyna, Linnea, twierdziła, że Lauger jest homoseksualistą. Skąd ta siedemnastoletnia smarkuła może to wiedzieć? Cóż, współczesne nastolatki są dużo mądrzejsze niż dawniej, to żadna nowość. Są bardziej otwarte, nieskrępowane i mają multisymulacyjne zdolności, o których ich rodzice mogą tylko pomarzyć. To też nie jest dla niego żadną nowością. Od lat ani razu nie wygrał żadnej gry w Willi Pickford.

Ale przecież Albin Runge nie był gejem? Był żonaty z dwiema kobietami i nic nie wskazywało na to, żeby wolał mężczyzn. Oprócz...

Oprócz. Barbarotti zakonotował to sobie i dołączył do ryżu ostatnią porcję bulionu. Zamieszał i zawołał do gliny numer dwa, że kolacja za moment będzie gotowa.

Czy nakryła do stołu?

Nakryła.

Salata?

Gotowa.

W porządku. Barbarotti dodał parmezanu. Zostawił na pół minuty, żeby się rozpuścił. Potem tylko jeszcze usmażone grzyby i na wierzch krewetki. Po trzydziestu sekundach odrobina natki pietruszki; risotto wyglądało tak ładnie, że Rembrandt, gdyby je zobaczył, natychmiast by namalował z tego martwą naturę.

Albo Lauger, realista naiwny.

– Co czytałaś, kiedy ja się pocilem przy kuchni?

– Mmm, smakuje fantastycznie! Codziennie możesz tak się pocić, jeśli rezultat będzie podobny. Smacznego, kochany.

– Smacznego i dziękuję – odparł Barbarotti nieśmiało. – I co czytałaś?

– *Plamy i strzępy*. Ale jeszcze trochę mi zostało do końca. To razem czterdzieści stron.

– Trochę tego jest. – Skinął głową. – Ale wciąż nie rozumiem tej aluzji do Frödinga.

– Ja też nie. Ale też urodził się w Alster, więc to może wystarczy. W końcu nasz przyjaciel Runge nie pisze poezji.

– W takim razie po co?

– Masz na myśli cel?

– Przede wszystkim.

– Dobrze pytanie.

– No właśnie – powiedział Barbarotti i westchnął. – Ale najpierw sam muszę to przeczytać. Wtedy porozmawiamy.

– Masz rację. Teraz trzeba się zastanowić, jak spotkać naszego malarza z Avy. Może powinniśmy poczekać dzień albo dwa.

– Dlaczego?

– Dlatego że musimy trochę więcej wiedzieć i dlatego że tak czuję. Przecież to nie jest kolejny *case* do rozwiązania, dobrze o tym pamiętać.

– I tak wygląda dzień powszedni każdego gliny – powiedział Barbarotti. – Niepewność i ryzyko. Nie ma odwrotu, jeśli coś pójdzie nie tak... jak ze szpiegiem zza żelaznej kurtyny. Ale napij się trochę wina, nie możemy przecież stracić animuszu w tej dyskretnej sprawie.

– Ha, ha – powiedziała Eva Backman. – Dyskretnej! Co za słownictwo u prostego gliniarza. Ale okej, jeszcze jeden kieliszek i wracam do czytania tej opery mydlanej. A co ty będziesz robił?

Barbarotti się zastanowił.

– Ten nauczyciel – powiedział. – Mamy tylko notatki z rozmowy telefonicznej. Ale wciąż siedzi mi w głowie. Jeśli jeszcze żyje, to chętnie bym z nim pogadał.

– Nie ma rzeczy niemożliwych.

– Wiem, nadzieja umiera ostatnia.

Następnego ranka wrócił deszcz i cała Gotlandia pozostała bez prądu. Z tym pierwszym niewiele można było zrobić, to drugie zależało od naprawienia kabli elektrycznych na łądzie. Inspektor Lindhagen zadzwonił z Kymlinge, kiedy się dowiedział, i pocieszył ich, że trzeba się z tym liczyć, mieszkając na wyspie. Wodę można brać z pompy w szopie – ale „najpierw wylejcie kilka wiader, bo na początku ta cholerna woda jest żółta jak mocz!” – a kawę można zaparzyć na kuchence na drewno. Północna Gotlandia to nie miejsce dla delikatnisiów.

Postąpili według instrukcji i kiedy kawa była już gotowa, przywrócono prąd.

– Ktoś tam w górze nas lubi – powiedziała Eva.

– Myślisz, że Gustav Fröding? – zapytał Barbarotti.

– A co, on poszedł do nieba?

– Na pewno. Poeci mają pierwszeństwo. Nikogo nie obchodzi, co piszą na ziemi, i to chyba całkiem w porządku.

– Ale Fröding był dość znany. A jak jest z policjantami?

– Ci, którzy umierają na służbie, idą do nieba, no i ty, i ja. Chociaż tego ostatniego nie jestem taki pewien, zapytam następnym razem, jak będę z nimi rozmawiał.

– Dobrze wiedzieć – odparła Eva. – A co robimy dzisiaj?

Barbarotti pomyślał chwilę.

– Chętnie pojechałbym do tego Laugera. Poczekałbym, aż wróca, i spotkał się z nimi... po prostu.

– Po prostu?

– Okej, no to nie po prostu, jeśli tak ci bardziej odpowiada.

– Chyba się umówiliśmy, że na razie trochę przystopujemy. A jeśli nawet ich spotkasz i ten, który nie nazywa się Lauger, powie, że nie ma pojęcia, kto to jest Albin Runge... czy kto to był Albin Runge... co wtedy zrobisz? Poprosisz go o legitymację?

– Nie wiem...

– Musimy wiedzieć trochę więcej, zanim tam pójdziemy.

Barbarotti pomyślał.

– Okej, może masz rację. W takim razie zabieram się do *Plam i strzępów*, a ty przeczytaj, co powiedział ten nauczyciel. Założę się, że... nie, zresztą nie będę ci nic sugerował. Kiedy skończysz, zadzwonię do niego.

– Do tego nauczyciela?

– Tak.

– Myślisz, że znajdziemy jego numer?

– Jeśli nie znajdziemy, to nie zadzwonię.

– No tak, logiczne.

Mniej więcej w ten sposób minęło przedpołudnie dwudziestego siódmego października w małym domku w Valleviken, w parafii Rute. Deszcz wciąż padał, a prąd wciąż był. Według kalendarza była sobota, ale tych dwoje pochłoniętych czytaniem nie miało o tym pojęcia. Jeśli trzeba się na czymś skupić, czasami dobrze stracić kontakt z rzeczywistością.

Telefon komórkowy z 2013 roku wciąż działał. Dlaczego miały go zmieniać, jeśli nie ma nic na sumieniu i prawie osiemdziesiąt pięć lat? – pomyślał Barbarotti. On też ma ten sam numer już prawie pół wieku. Jedyne, co mogłoby zmącić tę myśl, to fakt, że wtedy nie było jeszcze telefonów komórkowych.

– Halo, słucham. Waldemar Häger przy telefonie.

– Dzień dobry, nazywam się Gunnar Barbarotti. Nie wiem, czy pan mnie pamięta. Komisarz kryminalny z Kymlinge, rozmawialiśmy kilka lat temu. Sprawa dotyczyła Albina Rungego.

– Albina Rungego?

– Tak.

– Proszę chwilę poczekać, przejdę do innego pokoju... tak, pamiętam.

Głos był słaby, ale wyraźny. Jakby jego właściciel miał problemy z oddychaniem albo zdrzemnął się na sofie tuż po obiedzie. A teraz musi zadać sobie trochę trudu i zmienić miejsce na... no właśnie, na co? Na jakiś ką, żeby porozmawiać w spokoju i żeby nikt go nie podsłuchiwał? Chyba jestem jakimś paranoikiem, pomyślał Barbarotti, czekając. Waldemar Häger wrócił po trzydziestu sekundach.

– Przepraszam. Jestem w odwiedzinach u siostry, która jest piekielnie wścibska.

– Zdarza się – odparł Barbarotti. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale dzwonię, żeby zapytać, czy zechciałby pan porozmawiać o tym, co powiedział pięć lat temu. Coś drgnęło w tej smutnej historii z Albinem Rungem i bardzo by nam pomogło, gdyby pan odpowiedział na kilka pytań... a przede wszystkim trochę przybliżył nam jego osobę. Na przykład jak pan go postrzegał, kiedy był pana uczniem.

– To trochę dziwne życzenie – odparł Waldemar Häger po chwili namysłu. – Ale wiem, o co chodzi. To, co się przydarzyło Albinowi Rungemu, w pewnym sensie przydarzyło się i mnie osobiście... ale minęło już tyle lat.

– Rozumiem, że to mogło pana zaskoczyć – powiedział Barbarotti. – Najlepiej, gdybyśmy się spotkali. Teraz jestem na Gotlandii, dlatego w najbliższych tygodniach nie mogę przyjechać do Karlstad... bo pan w dalszym ciągu mieszka w Karlstad, prawda?

– To ci dopiero zbieg okoliczności! – wykrzyknął Waldemar Häger, teraz głosem dużo silniejszym. – To prawda, mieszkam w Karlstad. Ten sam adres od trzydziestu lat, ale teraz jestem z wizytą u siostry Birgitty. Wczoraj miała osiemdziesiąte urodziny, to już tradycja, że przyjeżdżam na jej urodziny... do Visby.

– Do Visby? – zdziwił się Barbarotti.

– Zgadza się, na tę wyspę bogów. Oczywiście byłoby dużo przyjemniej, gdyby miała urodziny latem, ale jest, jak jest, kochana Birgitta.

– Czy zatem moglibyśmy się spotkać? – zapytał Gunnar Barbarotti i uszczypnął się w ramię, żeby sprawdzić, czy to nie sen. – Kiedy już jesteśmy od siebie o rzut beretem.

– Wracam do domu pojutrze – wyjaśnił Häger. – Ale jutro nie mam żadnych planów. A gdzie dokładnie pan jest? Obawiam się, że będę pana prosił o przyjazd do Visby.

– Nie ma problemu – zapewnił go Barbarotti. – Proszę zaproponować godzinę i miejsce spotkania.

Häger pomyślał chwilę.

– Zajazd Lindgården – powiedział. – Możemy przy okazji zjeść razem obiad. Co pan na to, panie komisarzu?

– Lindgården?

– Zgadza się.

– Doskonale – odparł Barbarotti. – Zamówię stół. Pasuje panu siódma?

– Bardzo dobrze. Słyszałem, że mają to samo menu od ponad sześćdziesięciu lat... a przynajmniej kilka dań. W moim wieku takie rzeczy się docenia.

– Ciekawe – powiedział Barbarotti. – Tak na marginesie, czy ma pan coś przeciwko temu, żebym zabrał swoją narzeczoną?

– Doprawdy – odrzekł Häger. – Oczywiście, że nie. Niestety, ja nie zabiorę siostry, nie pasuje w pewnych okolicznościach.

– Rozumiem. W takim razie do zobaczenia jutro o siódmej wieczorem.

– Dziękuję. To bardzo zaskakujące, ale może tak musiało być... mimo wszystko.

Ostatnie zdanie Hägera kołatało się w głowie Barbarottiego, kiedy już odłożył słuchawkę.

Może tak musiało być?

W każdym razie ktoś, kto trzyma wszystkie sznurki, postanowił teraz pociągnąć kilka z nich. Jeśli jest choreografia, to jest i choreograf, czasami czuć to bardzo wyraźnie. Gunnar Barbarotti nie pierwszy raz miał taką refleksję, o nie. Nawet ślepa kura potrzebuje pomocnika, kiedy ziarna leżą daleko od siebie.

– I jak ci poszło? – zapytała Eva, która wyniosła śmieci.

– Zaskakująco dobrze – powiedział Gunnar Barbarotti. – Jutro wieczorem jemy kolację w Visby.

– W Visby? Dlaczego tam?

– Dlatego że ten nauczyciel Häger tam jest. Czuję, że bogowie nagle są po naszej stronie.

– Wydawało mi się, że wierzysz tylko w jednego Boga – zwróciła mu uwagę.

– To tylko taka figura stylistyczna. W każdym razie to dziwny zbieg okoliczności. Telefon jest ten sam, a to już pięćdziesiąt procent powodzenia.

– Czyli jutro będzie sto, tak?

– Osiemdziesiąt–dziewięćdziesiąt – powiedział Barbarotti. – Jest już wiekowy, ale głowę ma niczego sobie. Poza tym...

– Poza tym?

– Poza tym sprawiał wrażenie, jakby miał coś do powiedzenia. Tak jakby ostatnim razem nie powiedział wszystkiego... ale wtedy to była tylko rozmowa telefoniczna. Chociaż muszę przyznać, że siedziało mi to w głowie. A co z twoim czytaniem?

Eva wzruszyła ramionami.

– Nic szczególnego. To głównie charakterystyka osobowości... i trochę o przyjaźni między chłopcami. Trudno powiedzieć, jak to się ma do tego, co się stało wiele lat później. Ale nie zaszkodzi spotkać się z nim i porozmawiać. Poza tym nie byliśmy w Visby, odkąd tu przyjechaliśmy, trochę dziwne, nie uważasz?

– Na granicy wstydu – zgodził się Barbarotti. – Zaslugujemy na miłe popołudnie w mieście, a wieczorem na kolację w towarzystwie magistra Hägera.

– Brzmi nieźle. W takim razie jak zaplanujemy dzisiejszy dzień?

– Pojedziemy rowerami do Furilden – zaproponował Barbarotti i spoj-
rzył na zegarek. – Jeszcze przez parę godzin będzie widno. A kiedy wró-
cimy, rozpalimy w kominku i przedyskutujemy sprawę.

– Będziemy jechać pod wiatr – powiedziała Eva Backman.

– Niestety – odparł Barbarotti i wyjrzał przez okno. – Wieje jak cholera.

Wycieczka rowerowa zajęła im półtorej godziny, a rozpalenie w kominku
półtorej minuty. Analiza niewiele wniosła. Przeważkowali cały materiał,
który im przysłał Smutas, ale nie czuli, że są jakoś szczególnie mądrzejsi.
Pięć lat temu stało się, co się stało. Po czasie z pewnością można wytknąć
jakieś niedociągnięcia, ale czy rezultat nie byłby taki sam?

– Czy w ogóle ktoś powątpiewał w ich winę? – zapytała Eva, kiedy
zamknęła ostatnią teczkę tego wieczoru.

– Nie sędzę – odparł Barbarotti. – Ale pamiętam, że Toivonen miał
swoje zdanie na temat Alexandra Rendella. Twierdził, że... że brzmiał
zaskakująco wiarygodnie, kiedy on i Smutas go przesłuchiwali.

– Czytałam o tym. A może po prostu mówił to, co należało powiedzieć
w danej chwili?

– Może. W takim razie okazał się sprytnym skurczybykiem. Jeśli jest
coś, czego nienawidzę, to właśnie takich przebiegłych drani.

– Ale przynajmniej nie są aż tak szkodliwi.

– Najwyżej trochę – powiedział Barbarotti. – Jeśli nie dostalibyśmy tych
Plam i strzępów, gdzie by teraz byli? Czy w ogóle byśmy się nimi zaintere-
sowali? Tą wdową i jej gachem Alexandrem?

Eva zamyśliła się na chwilę.

– Prawdopodobnie nie – doszła do wniosku. – Pewnie byśmy szukali
mordercy wśród rodziców, którzy stracili dzieci... I na pewno byśmy nic
nie znaleźli.

– Mam w głowie zupełną pustkę – przyznał Barbarotti. – Otworzyć
butelkę wina?

– Pewnie. Wiesz, na co mam nadzieję?

– Nie mam pojęcia.

– Że ten facet w Avie to nie Albin Runge, tylko ktoś zupełnie inny... i że
jutro ten nauczyciel nie powie nam nic nowego. Wtedy będziemy mogli
sprawę odłożyć do akt.

Barbarotti, ściągnąjąc folię cynową z butelki i wyciągając korek, próbo-
wał o tym nie myśleć.

– Rozumiem twój punkt widzenia – powiedział. – I pewnie tak by było, gdyby nie to, że...

– Gdyby nie co?

– Gdyby nie to, że coś mi mówi, że jest wręcz przeciwnie.

– Wiem, że tak myślisz – wymamrotała Eva z lekką rezygnacją w głosie.

– I może nie chcę się do tego przyznać, ale obawiam się, że piłka jest po twojej stronie... nie, stop, wystarczy mi pół kieliszka!

Gunnar Barbarotti uśmiechnął się krzywo i nalał jej wina.

Zajazd Lindgården na Strandgatan leżał rzut kamieniem od Almedalen. Kiedy Gunnar Barbarotti i Eva Backman pojawili się kilka minut po siódmej, Waldemar Häger był już na miejscu. Siedział wyprostowany przy jednym ze stolików w prawie pustej restauracji, która przypominała Barbarottiemu restaurację hotelową z lat pięćdziesiątych. Wprawdzie nie żył w tamtych czasach, ale to bez znaczenia. Można mieć opinię na temat Karola XII, nie walcząc pod Połtawą.

Zresztą emerytowany nauczyciel Häger przypominał nieco tego starego monarchę. Przynajmniej na podstawie portretu w podręczniku historii, którym Barbarotti w liceum domalował wąsy. Silnie zarysowany nos, wysokie czoło i cienkie białe włosy, zaczesane do tyłu przydawały mu arystokratycznego wyglądu.

Kiedy zorientował się, że do restauracji weszli jego goście, wstał. Może nieco z trudem, ale z godnością.

– Waldemar Häger, prawda? – powiedział Barbarotti i przedstawił swoją koleżankę po fachu i narzeczoną.

– Miło mi poznać – odparł Häger i mocno uścisnął im ręce. – Nieczęsto ma się zaszczyt siedzieć przy stole z jednymi z najlepszych stróżów prawa. – Uśmiechnął się, a jego delikatnej ironii trudno było nie zauważyć.

– To dyskusyjna sprawa – powiedział Barbarotti. – W ostatnich latach policja nie ma najlepszej reputacji, ale robimy z Evą, co możemy, żeby to zmienić.

– Czegóż chcieć więcej? – odparł Häger. – Czegóż chcieć więcej?

Usiedli i zamówili wodę mineralną.

– Na stare lata stałem się bardziej wstrzemięźliwy – wyjaśnił Waldemar Häger i poprawił niebieską muchę w białe kropki. – Alkohol już odegrał swoją rolę w moim życiu.

– My też mamy zamiar być wstrzemięźliwi dzisiejszego wieczoru – powiedziała Eva. – Poza tym przyjechaliśmy samochodem.

Häger znów się uśmiechnął. Barbarotti pomyślał, że ten wysoki, dystyn-
gowany dżentelmen, który siedział naprzeciwko nich i wyjmował cienkie
okulary, żeby przeczytać menu leżące na stole nakrytym białym obrusem,
musiał być kiedyś wspaniałym nauczycielem.

Emanował autorytetem. Był człowiekiem, któremu się ufa. Może wła-
śnie to utkwilo Barbarottiemu w pamięci po rozmowie telefonicznej pięć
i pół roku temu. I nieodparte wrażenie, że można było powiedzieć więcej.
A nawet powinno zostać powiedziane więcej.

A teraz siedzą tutaj, w restauracji w Visby, znanej z tego, że nie schodzi
z raz obranego kursu i nie ugina się przed nowinkami, które pojawiają się
i znikają.

– Kotleciki z mielonej cielęciny – powiedział Häger. – Tylko to. Bez
deseru, proszę. Kiedy człowiek zbliża się do setki, już tak dużo nie je.

– Ja bym panu dała sześćdziesiąt – rzekła Eva Backman. – Ani dnia wię-
cej.

– W takim razie szanowna pani ma słaby wzrok – zazartował Waldemar
Häger.

– Albin Runge. – Barbarotti przeszedł do właściwego tematu. – Chcieliby-
śmy o nim porozmawiać.

Podczas luźnej rozmowy o dawniejszym i obecnym Visby trzy kotlety
zmieciono z talerzy z wielkim smakiem. Häger uczył historii, i to było
widać.

Napił się wody i wytarł usta serwetką.

– Przecież po to się spotkaliśmy – zauważył. – Co takiego się wydarzyło,
że znów o nim rozmawiamy? Byłem pewien, że sprawa jest już dawno
zakończona.

– Pojawiły się nowe fakty – odparła odruchowo Eva. – I jeśli nawet
sprawa została już zamknięta, to pozostało jeszcze sporo znaków zapytania.

– Rozumiem – rzekł Häger. – To smutna historia, pod każdym wzglę-
dem, więc jeśli będę mógł rzucić na nią trochę światła, to z chęcią to zrobię.
Byłem belfrem czterdzieści lat i miałem kilka tysięcy uczniów, ale Albin
Runge należy do tych, których zapamiętałem najlepiej. Z gulą w gardle,
powinienem jeszcze dodać.

– Pamiętam naszą rozmowę telefoniczną – powiedział Barbarotti. – Co
takiego specjalnego było w Albinie Rungem?

We wzroku Hägera nagle pojawiło się coś takiego jak u jasnowidza albo raczej coś, co pozwoliło mu cofnąć się w przeszłość. Pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy był nauczycielem w szkole podstawowej w Karlstad. Barbarotti uświadomił sobie, że nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby dowiedzieć się, jaka to szkoła, a teraz było mu niezręcznie o to pytać.

– Był bardzo nieszczęśliwy – rzekł Häger. – W swojej karierze nauczycielskiej nie przypominam sobie, żebym miał ucznia, który nosiłby w sobie tyle smutku. A raczej melancholii, to może lepsze określenie. Był naprawdę dobrym uczniem, zdolnym i bystrym, ale bardzo samotnym i smutnym. Nigdy się nie uśmiechał, nigdy się nie śmiał. Ale nikt mu z tego powodu nie dokuczał. Był w dobrej klasie, w której uczniowie pomagali sobie wzajemnie, a Albin Runge był szanowany, chociaż nie miał kolegów. Wybrał samotność i nosił brzemię, które i mnie nie było całkiem obce. I tak aż do...

Przerwał, ponieważ podeszła kelnerka i zapytała, czy chcieliby deser.

Nie chcieli deseru, natomiast zamówili trzy filiżanki kawy. Kelnerka zniknęła.

– Aż do? – zapytała Eva.

– Aż do ósmej klasy. W kwietniu, pod koniec roku szkolnego dołączył do nich nowy uczeń i w ciągu kilku tygodni wszystko się zmieniło. Ale muszę się zastanowić, jak bardzo chcę to rozwijać... przepraszam państwa na chwilę, pójdę przypudrować nos i pomyślę.

Poprawił muchę, podniósł się z pewnym wysiłkiem i odszedł.

– I co uważasz? – zapytała Eva.

– Jeszcze nie wiem. Ale coś czuję, że już niebawem zdołamy powiązać jedno z drugim. „Brzemię, które i mnie nie było całkiem obce”. O co mu chodziło?

Eva pokręciła głową.

– Mam pewne podejrzenia, ale poczekajmy.

Kawa i Waldemar Häger pojawili się w tym samym momencie. Jak również taca z herbatnikami czekoladowymi. Kelnerka zapytała, czy na pewno nie chcą jakiegoś alkoholu do kawy, i ku ogólnemu zaskoczeniu magister Häger poprosił o kieliszek koniaku. Barbarotti wymienił się spojrzeniem z Evą i postanowił dotrzymać mu towarzystwa.

– Potrzebuję czegoś mocniejszego, zanim wrócę do rozmowy – wyjaśnił Häger i pozwolił sobie na uśmiech. – Nic na to nie poradzę.

Gunnar Barbarotti pokiwał głową i Eva także.

– Hmm, żebym był dobrze rozumiany, muszę najpierw wyjaśnić, że jestem gejem. Dzisiaj nie wzbudza to specjalnych emocji, na szczęście, ale trzydzieści–czterdzieści lat temu było zupełnie inaczej. Przeszedłem na emeryturę w roku dwutysięcznym, po czterdziestu latach pracy, i przez cały ten czas ukrywałem moją orientację. Byłem w związkach, ale musiałem utrzymywać je w największej tajemnicy. W czasie urlopów i w innych miastach. Byłem przekonany, że mój zawód nie wytrzymałby takiej... takiej ułomności. I w dalszym ciągu tak sędzę. – Häger zrobił pauzę i z lekkim błyskiem w oku spojrzął na towarzystwo przy stole. – Przepraszam za dygresję. Chciałem wam po prostu uświadomić, że jako gej człowiek tworzy w sobie pewną specyficzną wrażliwość, taka nasza natura, wtedy też domyśliłem się, że Albin Runge jest takiej samej orientacji jak ja. Albo ją w sobie właśnie odkrywał. Kiedy go poznałem, przechodził okres dojrzewania. Wkrótce zrozumiałem, że to był jeden z ważnych powodów jego stanu psychicznego, jeśli nie najważniejszy. Świadomie bądź nie wiedział, co się dzieje z jego seksualnością, i to czyniło go nieszczęśliwym. Był zdezorientowany i samotny, tłumił poczucie wstydu, że coś z nim jest nie tak... i tak dalej. Być młodym gejem w latach osiemdziesiątych to nic, czym by się można było chwalić. Teraz nikt się z tym nie kryje, poza tym Karlstad nie było wtedy żadną metropolią tolerancji i równouprawnienia. Jeśli ktoś by nie wiedział.

Uśmiechnął się i poczekał, aż na stole pojawiły się dwa koniaki.

– Przykro mi, że będzie pani musiała prowadzić samochód.

Eva się zaśmiała.

– Nic takiego. Koniak nie należy do moich ulubionych trunków.

Barbarotti i Häger wypili po łyku.

– Mocny – powiedział Häger z grymasem na twarzy.

– Proszę kontynuować – rzekł Barbarotti.

Waldemar Häger tak też uczynił.

– Zmiana nastąpiła pod koniec ósmej klasy, jak już wspomniałem, kiedy doszedł ten nowy chłopiec. Już po kilku tygodniach on i Albin Runge byli najlepszymi przyjaciółmi. Jakby byli stopieni w jedno... nie wiem, jak to wyrazić... z taką naturalnością, jakby byli stworzeni dla siebie. Przyjaźń między chłopcami jest czymś wyjątkowym, nawet jeśli nie ma podtekstu seksualnego. Przypomnijcie sobie Rasmusa i Gunnara u Astrid Lindgren albo Sidnera i Splendida u Tunströma... przepraszam za to porównanie, ale to takie moje skrzywienie zawodowe.

– To my przepraszamy – powiedziała Eva. – I zgadzamy się z panem. Sama mam trzech synów... teraz już dorosłych.

– Dziękuję. Dość wcześnie się zorientowałem, że między tym nowym chłopcem a Albinem Rungem narodziło się coś w rodzaju pociągu fizycznego. Czy faktycznie mieli kontakty intymne, zostawiam to bez odpowiedzi, mieli dopiero po piętnaście lat... więc może tak, może nie. Tak czy owak, ich przyjaźń była oczywista i bezsprzeczna. Razem siedzieli na lekcjach, razem się uczyli i jak się spotkało jednego, to także drugiego. Przyjemnie było na nich patrzeć, być może mnie osobiście sprawiało to większą przyjemność niż innym nauczycielom... z wiadomego powodu. Tak, szczerze im współczułem, szczególnie Albinowi, któremu tak trudno było przez pierwszy rok. Ale może państwa zanudzam? Kiedy stary nauczyciel zaczyna mówić, trudno go zatrzymać, jak przy każdej okazji nie omieszka wspomnieć moja droga siostra.

Häger uśmiechnął się smutno i wziął łyk kawy. Objął dłonią kieliszek z koniakiem, ale go nie podniósł.

– Starsze siostry bywają czasami trochę uciążliwe – odezwał się Barbarotti, nie mając żadnego doświadczenia w tej materii. – Zapewniam, że w najmniejszym stopniu nie jesteśmy znudzeni. Co było dalej? Coś mi mówi, że ta historia nie miała szczęśliwego zakończenia.

– Zgadza się – potwierdził Häger. – Szczęście przychodzi i szczęście odchodzi, jak to się mówi. To banał, ale trzeba przyznać, że prawdziwy. Przyjaźń między Albinem i Andersem trwała rok, może trochę dłużej. Tak miał na imię ten chłopak, nie wspominałem o tym wcześniej, prawda?

– Co było dalej? – zapytała Eva.

– Nagle wyjechał. Mieszkał z ojcem, przyjechali do Karlstad, ponieważ ojciec kupił tam stary hotel. Najwyraźniej sprawował opiekę nad Andersem, bo mama chyba była z Holandii i po rozwodzie wróciła do siebie. Przypuszczam, że ojciec planował wyremontować hotel i oddać go do użytku. Björn Lagerman, bo tak się nazywał, był biznesmenem... i przedsiębiorcą budowlanym. Jednak nic z tego nie wyszło. Nie znam szczegółów. Ale najwyraźniej czas było zacząć nowy projekt, jak to się zazwyczaj dzieje. Wziął więc chłopaka i wyjechali do Amsterdamu... a wkrótce potem do RPA, jak się po wielu latach dowiedziałem. Dla Andersa to nie był pierwszy raz, był jednym z tych, co to nigdzie nie zdążyli zapuścić korzeni... co wcale nie musi być czymś złym, ale to w człowieku zostaje.

– Jak Albin to przyjął? – zapytał Barbarotti.

– Ciężko – odparł Häger. – Bardzo ciężko. Został niecały miesiąc do końca roku, kiedy Anders znikł, a to oznaczało... tak, to oznaczało osobistą katastrofę dla Albina. Nie znajduję na to innych słów... katastrofa.

Häger zamilkł. Eva Backman odchrząknęła, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– Anders Lagerman? – zapytał Barbarotti. – Tak się nazywał ten chłopiec?

Häger pokiwał głową.

– Zgadza się. Potem już go nie spotkałem. Na jakiś czas rozświetlił życie Albina, na ponad rok, a potem znikł równie szybko, jak się pojawił. Tamtej wiosny bałem się, że Albin targnie się na swoje życie. Stał się jeszcze bardziej zamknięty. Niemal przestał się odzywać, wiem, że szkolna psycholog, bardzo zdolna i kompetentna kobieta, próbowała do niego dotrzeć... ale bez skutku. Rozmawiałem z nią o Albinie, rozmawialiśmy o nim już wcześniej, w siódmej klasie. W czerwcu, po zakończeniu roku szkolnego, straciłem z nim kontakt, ale tak to już jest. Nagle znikają ci młodzi ludzie, do których człowiek zdążył się już przywiązać przez te kilka lat. To smutne, ale nic nie można na to poradzić... nie, już dosyć tego nudzenia. Właściwie to nie wiem, co chcę powiedzieć... a raczej co chciałem powiedzieć, kiedy rozmawialiśmy przez telefon po tym okropnym zdarzeniu na promie. Obawiam się, że bardziej chciałem sobie ulżyć, niż pomóc. Ale... ale nie znaleziono go, prawda?

– Nie – odrzekł Barbarotti. – Albin Runge nigdy nie został odnaleziony.

– Czy spotkał go pan później? – zapytała Eva. – Jeśli dobrze zrozumiałam, to zrobił maturę w Karlstad w latach dziewięćdziesiątych... a podstawówkę skończył pod koniec lat osiemdziesiątych, tak?

– W osiemdziesiątym ósmym – uzupełnił Häger. – Tak, spotkałem go, ale nie utrzymywaliśmy kontaktów. Pogratulowałem mu, kiedy zdał maturę, często tak postępowałem w stosunku do swoich dawnych uczniów, raz spotkałem też jego ojca. On również pracował w edukacji, ale nie wiem dokładnie gdzie. Albin sprawiał wrażenie posępnego nawet wtedy, kiedy uczniowie tradycyjnie po maturze wybiegali ze szkoły w białych czapkach. Sądzę, że nigdy nie doszedł do siebie po tym rozstaniu...

– A później spotkał go pan jeszcze?

– Ostatni raz widziałem go na pogrzebie ojca – powiedział Häger. – Kilka miesięcy po tym wypadku. Miałem wrażenie, jakby był... jak to określić? Jakby był bardziej martwy niż żywy. Wyglądał tragicznie, jak

człowiek, który stracił resztki nadziei. Ale myślę, że już czas, żebyśmy dopili ostatnią kroplę. Dziękuję, że z taką cierpliwością mnie wysłuchaliście, i jeszcze raz przepraszam, jeśli za dużo mówiłem.

– Przecież to ja zaproponowałem spotkanie – przypomniał mu Barbarotti. – I to my dziękujemy.

Dopili koniak. Eva wymknęła się jeszcze do toalety, a Barbarotti skinął na kelnerkę i poprosił o rachunek.

– Ostatnie pytanie – powiedział Waldemar Häger. – Przecież musi być jakiś powód, dla którego pan do mnie zadzwonił, prawda? Przecież nie...?

– Obiecuję, że jeszcze raz do pana zadzwonię, niezależnie od wszystkiego – odparł Barbarotti po krótkim namyśle. – Mam nadzieję, że już wkrótce.

– Dziękuję. I dziękuję za wyborny wieczór, nawet jeśli mówiliśmy o smutnych rzeczach.

W drodze powrotnej trasą 148 było zaskakująco cicho. A może to wcale nie takie zaskakujące. Barbarotti uważał, że to naturalne; on i Eva znają się już trzydzieści lat, a ponieważ po tak długim czasie wiadomo, jakie będą odpowiedzi, nie ma potrzeby zadawać pytań. Zamiast tego próbował je sobie formułować w głowie: Czego się właściwie dowiedzieli podczas spotkania z Hägerem? Wszystkiego czy niczego? Albo ten starszy dżentelmen zupełnie nieświadomie podał im rozwiązanie na tacy, albo był to jedynie interesujący wieczór i wyjątkowo smaczne kotlety cielęce.

Załoczył, że myśli Ewy podążają tym samym torem, i kiedy nagle księżyc przedarł się przez chmurę, żeby odbić się w bagnach Tingstäde, był już tego pewien.

– Ta szkoła – powiedziała Eva z lekką irytacją w głosie. – Powinniśmy się dowiedzieć, jak się nazywa.

Kwiecień 2013–styczeń 2015

Prokurator Ebba Bengtsson-Ståhle kątem oka, zza swoich okularów w czerwonej oprawce, spoglądała na kwartet śledczych. Barbarottiego i Backman, Toivonena i Smutasa. Komisarz Stigman był w innym mieście na konferencji. Środki przymusu bezpośredniego, wpadło Barbarottiemu do głowy, ale równie dobrze mogło to być coś zupełnie innego, w każdym razie zupełnie bez związku z dzisiejszym spotkaniem.

– Przeczytałam wasze raporty – zaczęła prokurator i zabębniła lekko w grubą teczkę, która leżała przed nią na biurku. – Zabrało mi to jeden dzień, jeden wieczór i jedną noc, i nie mam żadnych uwag, absolutnie żadnych. Co nie zmienia faktu, że sprawa i tak jest nieco skomplikowana... zakładam, że wszyscy jesteście co do tego zgodni?

Barbarotti pomyślał, że gdyby miał wybierać prokuratora kierującego dochodzeniem, to byłaby to właśnie Bengtsson-Ståhle. Była młoda (w rzeczywistości miała czterdzieści lat, ale obecnie wszystkich poniżej pięćdziesiątki zaliczał do młodych), uważna i bystra, a ponieważ to, co powiedziała, było pytaniem, więc czuł się w obowiązku odpowiedzieć.

– Bardzo skomplikowane – zgodził się. – Jeśli Rungego morze nie wyrzuci gdzieś na brzeg, nasze dowody nie są warte funta kłaków. Zakładam, że to pani ma na myśli?

– Mniej więcej – odpowiedziała prokurator.

– Trudno wskazać mordercę, jeśli nie ma ofiary – uzupełnił Smutas lakonicznie. – Chociaż w tym wypadku i tak by to nie pomogło.

Prokurator skinęła głową.

– Prawdopodobnie nie. Jeśli nie będzie naskórka pod paznokciami czy kępki włosów w dłoni, jesteśmy w punkcie zero. Żadnego dowodu, żadnych świadków. Ani ciała. Jedynie zbiór poszlak, z których każdy adwokat robi miazgę. Niestety, sprawa nie wygląda dużo lepiej, jeśli chodzi o oszustwa finansowe... ale możemy to jeszcze przedyskutować.

– Przesłuchanie Sylwander i Rendella zajęło dwadzieścia godzin – powiedział Smutas.

– Od samego początku powinniśmy ich traktować jako podejrzanych – odezwał się Toivonen. – Nie dać draniom szansy na uzgodnienie wersji.

– Może – powiedziała prokurator. – Ale prawnie to nie takie łatwe.

– Prawnie. – Toivonen westchnął.

– Niedługo miną trzy tygodnie – wtrąciła Eva Backman. – Od zdarzenia na promie. Czas ucieka.

– To prawda – zgodziła się prokurator i uniosła raporty, żeby zilustrować, ile waży ten upływ czasu. – Mimo to posłuchajmy, co już wiemy o ich oszustwach finansowych.

Smutas zabrał głos i zaczął referować, co udało mu się ustalić na temat sytuacji finansowej Rungego i Sylwander. A także rzekomej działalności charytatywnej Rendella, która tak naprawdę nigdy nie istniała. Nigdy się „nie zaczęła na poważnie”, używając słów Rendella – ale która i tak przyniosła mu zysk około siedmiu milionów. Może ten zysk był wspólny, jego i jego byłej dziewczyny? Albo „lokatorki”, jak ją nazywał.

Kiedy Smutas maglował temat z pomocą suflera Toivonena, Barbarotti pomyślał, że to mimo wszystko wydaje się bardzo dziwne. Jeśli tej parze udało się oszukać Rungego na tyle milionów, nie wzbudzając jego podejrzeń ani nie wywołując protestów, to dlaczego mieliby go zabić? Może to jest właściwe pytanie? – pomyślał Barbarotti, podczas gdy Smutas w dalszym ciągu opowiadał o pieniądzach, firmach-słupach i Bóg wie o czym jeszcze. Jeśli planowali go zamordować, to dlaczego stworzyli całą tę fikcyjną działalność charytatywną? Przecież Karin Sylwander była jedyną spadkobierczynią; w razie śmierci męża i tak wszystko by zgarnęła, włącznie z pokaźnym ubezpieczeniem na życie. A po pewnym czasie znów by się zeszli i żyli długo i szczęśliwie za swoje ciężko zarobione pieniądze. Na Strandgatan w Kymlinge albo tam, gdzie by ich fantazja poniosła... cholera jasna.

Kiedy Barbarotti siedział i analizował ten smutny scenariusz, taka sama myśl padła z ust Toivonena. Mniej więcej taka sama.

– Ale poczekajcie, do stu tysięcy diabłów – powiedział i zaczął podwijać rękawy koszuli. (Jakby zaraz miał wziąć udział w konkursie siłowania się na rękę na wakacjach w Rovaniemi, pomyślał Barbarotti z lekką odrazą). – To się jakoś kupy nie trzyma. Jedno z drugim. Mamy do czynienia z niezłymi skurwysynami, ale musi w tym być jakaś logika.

– Rozwiń myśl – poprosiła prokurator.

– Przecież to oczywiste, że oskubali go z pieniędzy – powiedział Toivonen. – Równie oczywiste jest też to, że wyrzucili go z promu. W takim razie dlaczego stwarzali pozory, jeśli i tak...?

– Dokładnie – powiedział Barbarotti.

– No właśnie – przytaknęła mu Eva Backman. – Też się nad tym zastanawiałam i doszłam do podobnych wniosków. Jednak wydaje mi się, że morderstwo zaplanowali później. Nie chciało im się czekać, aż Runge umrze śmiercią naturalną... jeśli byli parą, to chcieli trochę pożyć... bo chyba od tego wyszliśmy, prawda?

– Trudno coś zarzucić tej hipotezie – powiedziała prokurator. – Ale jakie z tego płyną wnioski?

Eva Backman pomyślała chwilę.

– Dzisiaj rano zrobiłam listę... uświadomiłam sobie, że jestem tym tak sfrustrowana, że nawet nie byłam w stanie zjeść śniadania.

– Listę? – zdziwił się Toivonen.

– Tak, z pytaniami, na które powinniśmy sobie odpowiedzieć... po kolei. Żeby to wszystko miało jakiś kształt, ale nie wiem...

– Zapisałaś te pytania? – zapytała prokurator.

– Ręcznie – odparła Eva Backman.

– To idź i skopiuj, dla każdego po jednym egzemplarzu – powiedziała prokurator. – A my tymczasem zrobimy sobie przerwę na kawę.

Lista Evy Backman zawierała dwanaście pytań.

1. Kim jest Nemezis?
2. Kto wymyślił podróż promem do Finlandii?
3. Dlaczego Alexander Rendell znalazł się na promie?
4. Kiedy dokładnie zniknął Albin Runge?
5. W których miejscach *Plamy i strzepy* różnią się od opowieści Sylwander i Rendella?
6. Dlaczego Runge napisał *Plamy i strzepy*?
7. Ubezpieczenie na życie. Czyj to był pomysł?
8. Kiedy Sylwander i Rendell kłamali?

9. W którym miejscu czy miejscach Runge mija się z prawdą w *Plamach i strzępach*?
10. Które z powyższych pytań pomogą nam znaleźć dowód?
11. Jeśli znajdziemy na nie odpowiedź.
12. Jeśli *Plamy i strzępy* nie dostałyby się w nasze ręce, gdzie byśmy teraz byli?
13. Jak zginął Albin Runge?

Kiedy prokurator Ebba Bengtsson-Ståhle przejrzała listę pytań, zaproponowała z wymuszonym uśmiechem, żeby każdy wybrał dwa pytania i poświęcił dwadzieścia cztery minuty na zastanowienie się nad odpowiedzią – a potem każdy intuicyjnie zaprezentuje tyle odpowiedzi, ile mu przyjdzie do głowy. To oczywiście nieortodoksyjna i nienaukowa metoda, ale może wskaże właściwy trop. I dalszą drogę postępowania.

Wszystko to okazało się jedynie pobożnym życzeniem. W eksperymencie wzięło udział pięć osób włącznie z prokuratorem i po ponadgodzinnej prezentacji odmiennych stanowisk, argumentów i spekulacji jednogłośnie stwierdzono, że w jedenastu punktach na dwanaście mieli różne zdania.

Tylko na pytanie numer dziesięć wszyscy odpowiedzieli zgodnie.

Wyglądało na to, że udowodnienie im czegokolwiek będzie cholernie trudne.

Gunnar Barbarotti poświęcił wieczór na malowanie swojej łodzi. Kupił ją w pakiecie z Willą Pickford i zawsze na początku lub w połowie kwietnia smarował ją dziegciem na znak, że wraca wiosna. Zamysł był taki, żeby łajba, przy czułym traktowaniu, nadawała się do użytku, a nie przeciekała jak sito. Kiedy po kilku tygodniach farba już jako tako wyschła, przeniósł łódź nad jezioro i przywiązywał do pomostu, żeby następnego dnia znaleźć ją na dnie, podobnie jak każdego roku. Ale to nic. Chodzi o sam zapach dziegciu.

Jeśli się mieszka nad jeziorem z pomostem, to przecież, do cholery, trzeba mieć łódź, mawiał jeden z jego sąsiadów.

Szukam odpowiedniej łodzi, odpowiadał mu Barbarotti.

Za piętnaście siódma, w samym wirze pracy, kiedy słońce zaczynało się już chować za lasem, zadzwoniła jego komórka.

To Eva.

– Co robisz? – chciała wiedzieć.

– Pracuję nad łodzią – odpowiedział Barbarotti.

– Nad łodzią? – zdziwiła się Eva. – A, nad tą!

Miała zmęczony głos. Barbarotti pomyślał, że nic dziwnego. Jeśli miałby wybierać, to wolałby zostać tu, nad jeziorem, i nawet przez pół roku smarować łódź, niż dzień w dzień jeździć na komisariat. Na jego biurku czeka mnóstwo zaległych spraw, ale już się do tego przyzwyczyił. Problemem nie jest sam nawał pracy, tylko Albin Runge, który wdarł się do jego głowy jak nieproszony gość i nie chce wyjść.

Zresztą nie tylko do jego głowy.

– Nie mogę się uwolnić od tego gówna – powiedziała. – A niczego bardziej nie pragnę... znasz jakiegoś dobrego lekarza od lobotomii?

– Ja się urodziłem z lobotomią – odparł Barbarotti i powąchał pędzel. – Ale nie polecam, nie pomaga.

– Niech to szlag.

– W każdym razie niewiele możemy zrobić. Musimy czekać i zobaczyć, co zdecyduje prokurator. Czy wniesie przeciwko nim oskarżenie, czy nie.

– Wiem. – Eva westchnęła. – To na pewno oni?

– Tak obstawiam. Ale pewności nie mam. Jednak gdyby tak się zastanowić, to nigdy nie byłem niczego pewien.

– Nie ma tu mądrych, niestety.

– Wpadniesz?

– Chyba nie. Chcę się położyć i przespać dwanaście godzin. Zapomniałam jednego pytania ze swojej listy. Mogę ci je wysłać, zanim padnę?

– No pewnie – powiedział Barbarotti.

– Dzięki. Chodzi o te konta. Nasi oszuści twierdzą, że oskubali go na siedem milionów. Ale brakuje jeszcze czterech milionów. Co się z nimi stało? Jest jedno konto w Holandii, nie można go wytropić, jak twierdzi Smutas... lecz to bez sensu przyznawać się do siedmiu milionów, a zaprzeczać czterem.

– I to jest to twoje pytanie? – zapytał Barbarotti.

– Tak. Ale nic się nie stanie, jeśli odpowiesz mi jutro. Wiem, że to nie jest żaden dowód.

– Dobrze. Gdzieś przeczytałem, że niektórych prawd nie da się udowodnić. Śpij dobrze, kochana.

– Ty też.

– Tylko jeszcze powdycham trochę dziegciu.

Dwudziestego czwartego maja 2013 roku, sześćdziesiąt trzy dni po zniknięciu Albina Rungego na promie między Sztokholmem a Åbo, prokurator Ebba Bengtsson-Ståhle zdecydowała o zamknięciu śledztwa i niewnoszeniu oskarżenia.

Kiedy została zapytana o powody swojej decyzji – na konferencji prasowej z udziałem dwudziestu pięciu dziennikarzy, zorganizowanej w komisariacie policji w Kymlinge z powodu tej domniemanej śmierci (zdecydowanie bardziej interesującej media niż niejasne transakcje finansowe) – wyjaśniła, że nie ustalono podejrzanych oraz że materiał dowodowy nie był wystarczający, aby wnieść oskarżenie. Jednak policja w dalszym ciągu nad tym pracuje, chociaż na mniejszą skalę niż dotychczas.

Najważniejszy powód tej decyzji to brak ciała, ponadto okoliczności zniknięcia Albina Rungego nie wskazują na to, że nie żyje. Na mocy istniejącego prawa wniosek o uznanie osoby za zmarłą można złożyć najwcześniej po roku od domniemanego momentu śmierci, to znaczy dwudziestego czwartego marca 2014 roku.

Oczywiście jeśli do tego czasu nie znajdzie się jego ciała.

Urząd stanu cywilnego obliguje osobę zaginioną do tego, aby dała znać, że żyje. Jeśli w ciągu sześciu miesięcy Albin Runge się nie odezwie, zostanie uznany za zmarłego.

Wniosek o uznanie za zmarłego został złożony przez Karin Sylwander dwudziestego piątego kwietnia 2014 roku, a ponieważ żaden Runge nie zmartwychwstał i nie poinformował odpowiednich organów, że jest wśród żywych, to trzydziestego pierwszego października tego samego roku został uznany za zmarłego. Sporządzono spis inwentarza i cały majątek przypadł wdowie po nim. Ubezpieczenie na życie, w wysokości pięciu milionów koron, zostało jej wypłacone w grudniu.

W tym samym miesiącu, w dzień Świętej Łucji, 2014 roku Eva Backman przeprowadziła się do Willi Pickford i oboje z Gunnarem Barbarottim złożyli u adwokata oświadczenie o wspólnym gospodarstwie. Mieli teraz ośmioro dzieci, nawet jeśli większość była już pełnoletnia i mieszkała oddzielnie.

Sześć tygodni później, dwudziestego czwartego stycznia 2015 roku, dwoje naszych inspektorów jadło w łóżku późne śniadanie – ponieważ była sobota, a taką mieli tradycję – i przeczytało w dodatku mieszkaniowym lokalnej gazety, że willa na Strandvägen 11 jest wystawiona na sprzedaż.

– No tak – powiedziała Eva. – Cena wyjściowa pięć milionów, czyli pewnie dostaną sześć. Będą teraz siedzieć na pieniądzach.

– Już ja wiem, gdzie oni powinni siedzieć – rzekł Barbarotti. – I powinniśmy tu mówić o latach, a nie o milionach.

– Zgadzam się.

– Nie masz wyjścia.

– Nie możemy liczyć na to, żeby cały czas nam sprzyjało szczęście.

– Ale w tym konkretnym wypadku byłoby ono pożądane.

– To prawda – przyznała Eva i odsunęła gazetę. – Ale teraz zapomnijmy już o Albinie Rungem... chociaż na chwilę. Zobacz, śnieg!

Listopad 2018

Jak to jest w tym roku? – zapytał Gunnar Barbarotti. – Dzisiaj jest piątek drugi listopada. To chyba jakieś święto, nie?

– Jeśli się nie mylę, Zaduszki – powiedziała Eva. – Wszystkich Świętych, czyli Święto Zmarłych, przesunięte jest na jutro.

– Nie wszyscy zmarli są święci?

– Tylko nieliczni, ale nie znam się na tym. W każdym razie zaczynam wierzyć, że Albin Runge się do nich nie zalicza.

– Może nawet nie jest zmarły?

– Cały czas próbujesz mi to wmówić.

– Nic ci nie próbuję wmówić. Po prostu szukam prawdy.

– *Komisarz Barbarotti w służbie prawdy*, tak możesz zatytułować swoje dzienniki... drobiazg, dla ciebie gratis. Kiedy ten cały Silverberg miał zadzwonić?

– O dwunastej–dwunastej trzydzieści, tak przynajmniej powiedział. To może już wracajmy, co?

Zatrzymali się przy małym kościele w Hellvi. Było przedpołudnie, a oni pojechali rowerami do Hide i z powrotem. Do jednego z nieczynnych kamieniołomów na północy Gotlandii.

Oslonięci od wiatru wiejącego od zachodu napili się kawy z termosu, zjedli kanapki z jajkiem i zrobili krótki wypad do starego kościoła. Barbarotti miał poczucie, że krajobraz, w którym przebywają już od dwóch miesięcy, należy do innego czasu. Kiedy to jeszcze pracowało się w kamieniołomach, a co niedziela chodziło się do parafialnego kościółka na mszę. Kiedy to jeszcze istniała pewna równowaga między człowiekiem a otoczeniem i kiedy na co czwartym skrzyżowaniu (ponieważ wędrowało się pieszo albo na rowerze) handlowało się tym, co urodziła ziemia.

To były trudne czasy, nie ma o czym marzyć ani czego żałować, poprawił się w myślach Barbarotti. Robotnicy w kamieniołomie mieli ciężkie życie, a sieć zabezpieczeń socjalnych miała tak grube oka, że większość łatwo przez nie wypadała. Ludzie żyli w swoich wioskach; wielu Gotland-

czyków nie opuściło wyspy przez całe życie. To, rzecz jasna, nic nowego, ale związek człowieka ze światem musiał mieć zupełnie inne znaczenie. Nie tylko ze światem, ale też z ogniskiem domowym, naturą i wszystkim wokół.

Barbarotti zastanawiał się, czy to, co teraz czuł, to nie jakiś rodzaj zazdrości.

Ale pewnie taka sama równowaga między człowiekiem a jego miejscem urodzenia istniała również sto lat później. To zależało jedynie od obserwatora, od jego zdolności dostrzeżenia zależności i powiązań w teraźniejszości. No właśnie, ślepa kura.

– O czym tak rozmyślasz? – zapytała Eva.

– Że łatwo być ślepym i głuchym na teraźniejszość.

– Oj – westchnęła. – Widzę, że chyba bardzo dotleniłeś swoje szare komórki. Czy to ma coś wspólnego z Albinem Rungem, ta ślepoślepa?

– Nie... O tym akurat nie myślałem, ale masz rację. Nie mówmy teraz o tym, wracajmy do Valleviken. Trzeba być w domu, kiedy zadzwoni. Poza tym zaraz zacznie padać.

Do domu dotarli tuż przed deszczem, ale Benno Silverberg zadzwonił dopiero piętnaście po drugiej. Mieli sporo czasu, żeby dojść do wniosku, że już pewnie nie zadzwoni.

Jego nazwisko dostali przez przypadek, kiedy po raz drugi odwiedzili Avanäset. Gdy stali w pewnej odległości i obserwowali dom, w którym, jak wszystko na to wskazuje, mieszka artysta Andreas Lauger i prawdopodobnie też były kierowca autokaru Albin Runge, mijало ich starsze małżeństwo. Eva skorzystała z okazji.

– Przepraszam, czy wiecie państwo, kto jest właścicielem tego domu?

Para się zatrzymała i popatrzyła na nich sceptycznie. Szczególnie kobieta i szczególnie na Barbarottiego. Ale odpowiedzi udzielił mężczyzna.

– Jakie było pytanie?

Jakie? – pomyślał Barbarotti i wyrzucił z siebie nie do końca przemyślaną odpowiedź:

– Słyszeliśmy, że ten dom jest na sprzedaż.

– Naprawdę?! – wykrzyknął mężczyzna i spojrzал na kobietę. Najwyraźniej to była pozytywna informacja, bo odchrząknął i powiedział: – Właściciel nazywa się Benno Silverberg, jeśli dobrze pamiętam. Ale dziwi mnie, że wystawił dom na sprzedaż.

– Dowiedzieliśmy się od znajomego – odparła na wszelki wypadek Eva.
– Ale to może nieporozumienie. Silverberg?

– Zgadza się – potwierdził mężczyzna. – To zupełnie podobne do pana Silverberga... to znaczy nieporozumienie.

Nie chciało im się zagłębiać w tę ostatnią replikę, kiedy siedzieli i czekali na telefon, ale czuli, że coś w tym może być. Mimo wszystko jest różnica między nazwiskiem Silverberg a Lauger. Czy to rzeczywiście był właściwy dom? Jeśli tak, to ich druga wizyta była pełnym pudłem, ale czerwony rower wciąż stał.

Zagadkowe to wszystko, pomyślała połowa z dwójki gliniarzy. Druga połowa, ta męska, zaproponowała, że następnym razem, kiedy tam pojedą, zapukają do drzwi, ale została przekonana, że to nie najlepszy pomysł.

Przecież udało mu się skontaktować z domniemanym właścicielem, jego telefon był w książce telefonicznej, więc powinni się wstydzić ci, którzy się poddają.

Napisał do niego esemesa, a po sześciu czy siedmiu godzinach przyszła odpowiedź, w której Silverberg obiecał, że się odezwie następnego dnia o dwunastej-wpół do pierwszej.

Czyli dzisiaj. W Zaduszki.

– Halo. Gunnar Barbarotti przy telefonie.

– Benno Silverberg. O co chodzi? Nie mam za dużo czasu.

– Takie życie – odpowiedział Barbarotti. – Będę się streszczał. Chodzi mi o dom na Fårö... dowiedziałem się, że mieszka tam mój znajomy.

– O jaki dom chodzi? Mam ich kilka.

– Ten w Avanäset – odparł Barbarotti. – Nie wiem, czy...?

– Niezła buda – powiedział Silverberg i zabrzmiał, jakby oblizał usta. – Wynajmuję go już osiem-dziewięć lat... coś koło tego. Artyście... cholera, jak on się nazywa? Już wiem, Lauger... to on jest tym znajomym?

– Zgadza się! – wykrzyknął Barbarotti. – Andreas Lauger, właśnie. Nie widziałem go już kilka lat, więc pomyślałem, że zrobię mu niespodziankę. Chciałem się tylko upewnić, żeby nie zapukać do niewłaściwych drzwi... ha, ha.

– To musi się pan pośpieszyć – powiedział Silverberg. – Zadzwoił i powiedział, że nie przedłuży kontraktu. Zapłacił do końca grudnia i jeśli dobrze zrozumiałem, to zamierza się...

Barbarotti poczuł, jak coś w nim rechocze. Jak jakiś ochryply śmiech, gdzieś z głębi Hadesu.

– Rozumiem... – powiedział.

– Ale może pan tam jechać i zobaczyć – odparł Silverberg. – Chętnie bym się dowiedział, czy już wyjechał, czy jeszcze tam jest.

– Ale jak...?

– Kluczy jeszcze nie odesłał. Może powiesił na gwoździu w drewni... jeśli chce pan wejść. Jestem teraz trochę zajęty. Niech pan zadzwoni w razie czego. Ma pan mój numer telefonu.

– Tak – odparł Barbarotti.

– Powodzenia – zakończył Benno Silverberg i odłożył słuchawkę.

– Gotlandzkie zwyczaje – rzekła Eva, kiedy wrócili do rozmowy. – Zamykają drzwi i klucz, zamiast zabrać z sobą, wieszają na gwoździu.

– Dziwny typ ten Silverberg. Co robimy?

Eva się zaśmiała.

– Mnie o to pytasz?

Barbarotti wyjrzał przez okno na deszcz.

– Wycofuję pytanie. Właściwe pytanie brzmi: kiedy jedziemy?

– To już będzie ostatni raz?

– Prawdopodobnie.

Eva też popatrzyła na deszcz i westchnęła.

– Cholerna pogoda. Jest za piętnaście trzecia. Jeśli teraz wyjdziemy, to pewnie zdążymy na prom o wpół do czwartej, ale kiedy dotrzemy na miejsce, będzie już ciemno. Poczekajmy do jutra.

– Nie mamy wyjścia – powiedział Barbarotti. – Jest jeszcze jakieś wino? Mam ochotę na drinka... cukier, cytryna i gorąca woda.

– Jeszcze imbir i cynamon – dodała Eva. – Mamy dwie butelki... tak, uczymy Święto Zmarłych przed kominkiem.

Reżyser pogody nie widział żadnej różnicy między zwykłymi umarłymi a świętymi. Kiedy sobotni prom o jedenastej wpływał do Broa na Fårö, kapitan miał wyraźny problem przy silnym bocznym wietrze. Musiał się wycofać i znów próbować, dopiero po trzeciej próbie udało mu się wpłynąć do właściwego doku.

Z promu, w zacinającym deszczu, wyjechało nie więcej niż pięć pojazdów. Barbarotti był nieco przygnębiony i zapytał, czy jego towarzysza czuje się podobnie.

– Zabrałam jedzenie na poprawę humoru – odparła Eva. – Gdzieś na pewno będzie można znaleźć zaciszne miejsce.

– Znam dom, który prawdopodobnie stoi pusty. To zawsze coś.

– Żeby usiąść i zjeść? Gorszego pomysłu ze świecą szukać. Skąd ci takie rzeczy przychodzą do głowy?

– Tak po prostu – odparł Barbarotti.

Im dalej na północ jechali, tym droga do Avy była bardziej kręta i odludna. Barbarotti miał poczucie, że natura traktuje ich jako swoich wrogów i robi wszystko, żeby zawrócili. Że nie mają tu nic do szukania. Że przez okres jesienno-zimowy Fårö ma prawo być zamknięte dla ciekawskich oczu. Że ma prawo zamknąć się w swojej skorupie i zasnąć snem zimowym.

Barbarotti myślał, jak wątłe i kruche jest połączenie między obrazem zewnętrznym a wewnętrznym. Jak łatwo nasze samopoczucie i nastawienie do życia uzależnione jest od otaczającego nas świata. Od krajobrazu, pogody, wiatru. Od światła i ciemności. Od budynków i ludzi. Jak łatwo opuszcza nas siła sprawcza, kiedy oko w oko stykamy się z trudno definiowalnym, a jednocześnie tak wyraźnym i uzasadnionym oporem.

Tak się teraz czuł. Że wtyka nos w nie swoje sprawy. Zastanawiał się, skąd się wzięło to wyrażenie. Znaczyło mniej więcej tyle, żeby pewne sprawy zostawić w spokoju. Nie uchylać pokrywki.

Ale to sprzeczne z tym, czego się oczekuje od prywatnych detektywów. Od zwykłej policji też. Właśnie uchylenia pokrywki. I znalezienia tego, co ktoś próbował ukryć. Szczątków zwłok, narzędzia zbrodni, skradzionego łupu itd. Bo o to przecież chodzi i to leży w naturze rzeczy... to inne dwuznaczne wyrażenie. Czasami słowa i pojęcia zawierają moc kierującą naszymi myślami i działaniem w kierunkach, które by nam nigdy nie przyszły do głowy. Od których trzymalibyśmy się z daleka.

Ale postanowił, że już wystarczy tych dywagacji. Pora wracać do rzeczywistości.

– Co o tym myślisz? – zapytał. – Tak naprawdę.

Siedzieli w milczeniu już od kilku minut, a Eva zwlekała z odpowiedzią.

– Nie mam dobrych przeczuć. Ale staram się je wyprzeć. Ale chyba jest tak, jak mówiłeś... szukamy prawdy.

– Mów dalej.

– I... no właśnie, nie zawsze prawda jest sztabką złota, jak ją sobie chcemy wyobrażać. Dlatego człowiek wynalazł kłamstwo. Żeby chociaż trochę próbować... zmieniać i ulepszać, nie sądzisz?

– Może tak – odparł Barbarotti. – Kłamstwo i prawda mają wiele twarzy. I mieszamy je jak kawę i mleko... w zależności od potrzeby.

– Czasami trafiasz w sedno.

– Dzięki. A jeśli już tę prawdę znajdziemy, to niekoniecznie musimy ją wykrzyczeć. Chociaż to może niepoprawne politycznie.

– Myślisz, że to nasz przypadek? – zapytała Eva, kiedy w Avie skręcali na dziedziniec ze starym dębem. – Tutaj odkryjemy prawdę i będziemy o niej milczeć? Czułam to już wtedy, kiedy rozmawialiśmy z tym nauczycielem. Zresztą potem też.

– Poruszę problem z naszym Panem – oznajmił Barbarotti. – Przy okazji zapytam go też o pogodę.

– Zrób to. Przecież leje jak cholera, już bardziej bezbożnie być nie może.

Udało im się podjechać prawie pod sam dom. Przez chwilę siedzieli w samochodzie, żeby zebrać myśli, a potem wysiedli prosto na deszcz. Przebiegli przez podwórze do szarego budynku, który najwyraźniej był drewnianą.

Wszystko się zgadzało. Barbarotti podniósł haczyk i otworzył drzwi, potem po omacku wysoko na ścianie znalazł rząd wieszaków, na których

wisiały klucze. Do jednego z nich przyczepiona była plastikowa tabliczka z prostą informacją: *Dom*.

– Dobrze – powiedziała Eva. – Czas się włamać.

– Nie jestem pewien, czy tak to powinniśmy nazwać – odparł Barbarotti.
– Przecież mamy pozwolenie właściciela.

– Dobrze, że tak to widzisz.

Minutę później byli już w środku. W małej sieni ściągnęli kalosze, bo mieli wrażenie, że dom był wysprzątny.

Wysprzątny i przestrzenny. Barbarotti pomyślał, że tak właśnie powinien wyglądać dom gotowy do wynajęcia. Funkcjonalny i umeblowany, na podłodze dywany, na półkach z książkami i biurku porządek. Chodzili na palcach, spojrzeli na kuchnię i rzucili okiem na schody. Dom był bez zarzutu, ale jakiś odczłowieczony. Puste szafy i szuflady. Wyłączona lodówka. Nie było wątpliwości, że ci, którzy tutaj mieszkali, wyprowadzili się na dobre.

Ale przecież Andreas Lauger był artystą. Przedstawicielem realizmu naiwnego. Powinien zostawić jakieś ślady, pomyślał Barbarotti. Może swoje atelier miał w tym większym budynku. I może tam zostawił zapach terpentyny i ślady po farbach? Co powiedział Benno Silverberg? Że jak długo Lauger wynajmował dom? Osiem lat? Dziesięć?

Ich uwagę zwrócił jeden szczegół, a właściwie dwa. Na niskim, pobejcowanym na brązowo stoliku leżały dwie białe koperty A4. Obie starannie zaklejone. Jedna cienka, druga znacznie grubsza.

Na cienkiej kopercie, wersalikami, było napisane:

*BENNO SILVERBERG,
SJALSJÖ, GOTLANDIA, DO RĄK WŁASNYCH*

Na grubszej:

*E. Backman ORAZ G. BARBAROTTI,
KYMLINGE, DO RĄK WŁASNYCH*

Barbarotti popatrzył na Backman, w odpowiedzi otrzymał wzruszenie ramion. Ostrożnie wziął grubszą kopertę i zważył ją w rękę.

– Dziesięć–piętnaście stron. Co robimy?

– Co robimy? Bierzemy i odjeżdżamy. Chyba nie rozsiądziesz się na sofie i nie zaczniesz czytać? Nie chcę tu zostać ani minuty dłużej.

– Okej – odparł Barbarotti. – Przeczytamy w domu.

– Usiądziemy przed kominkiem i przeczytamy razem. Zakładam, że czegoś się dowiemy.

– Zależy, czego będziesz szukała.

– Tej prawdy, o której rozmawialiśmy – przypomniała mu Eva. – Chodź już!

W drodze powrotnej z Avanäset wiatr nieco osłabł i deszcz przestał padać. W Sudersand uświadomili sobie, że na tylnym siedzeniu leżą niezjedzone kanapki.

– Kawa i kanapka, co ty na to? – zapytała Eva.

– Ale w samochodzie – odparł Barbarotti. – Nie ma pogody, żeby rozkładać koc na leśnej polanie.

– Ale z ciebie strachajło. Chociaż nie przypominam sobie, żebyśmy brali koc... zobacz! Tablica z napisem *Otwarte!* Jak to możliwe?

Nie pierwszy raz mijali stację benzynową Kuten i Crêperie Tati, kultowe miejsce między Gåsemorą Wielką a kościołem w Fårö, ale za każdym razem było zamknięte na cztery spusty. Zatem Elsie's Café, która należy do tej samej sieci, też jest pewnie otwarta.

– I o to chodzi – powiedział Barbarotti. – Jeśli my nie zatrzymamy się tutaj i nie zjemy, to kto to zrobi?

– Nie zostaw kopert w samochodzie – ostrzegła go Eva. – Ale masz rację, byłoby wstyd się nie zatrzymać.

Skręcili i zaparkowali.

Oprócz nich w lokalu było jeszcze dwoje gości: młode małżeństwo, które już zjadło i wyszło kilka minut po przyjściu Gunnara i Evy. U kelnerki mówiącej z francuskim akcentem zamówili kawę i dwa ciastka, po czym zauważyli, że to nie jest zwykła kawiarnia.

Wyglądała, jakby czas się tu zatrzymał. Trudno powiedzieć, na którym roku, ale kiedy już tu chwilę siedzieli, popijając doskonałą kawę i jedząc malinowo-migdałowe ciastko, podszedł do nich jakiś mężczyzna i zapytał, czy wszystko w porządku. Mógł mieć około sześćdziesięciu pięciu lat i przypominał rabusia pociągów ze starych westernów: posiwiały koński ogon, chustka w czerwone kropki i skórzana kamizelka. Zapewnili go, że miejsce jest świetne, i Barbarotti zapytał, czy to sam Kuten przed nimi stoi.

– Tomas w dowodzie. Ale Kuten też może być. Jak się czujecie z duchami przeszłości? – zapytał, jakby czytał w ich myślach.

– Czas się tu zatrzymał – odparła Eva. – Ale to fajne uczucie.

– Zatrzymał się już kilka razy – potwierdził Tomas/Kuten. – Na przykład trzeciego lutego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego. *The Day the Music died...*

– Buddy Holly – zaryzykował Barbarotti.

– No właśnie. Katastrofa samolotu w Iowa. Ale najpierw czas się zatrzymał w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym. Trzydziestego września, kiedy opuścił nas James Dean. – Tomas/Kuten złożył ręce i zwrócił wzrok ku niebu. – I ostatni raz, szesnastego sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego.

– Elvis – powiedziała Eva. – Tak, wiem...

– Kto to jest Elsie? – zapytał Barbarotti.

– To moja mama – odrzekł Tomas/Kuten i uśmiechnął się. – Jest w niebie, z Elvisem i innymi. A to jest Valeriane, wciąż jeszcze na ziemi... dzięki Bogu.

Kobieta, która podawała im kawę i ciastka, wyciągnęła rękę i się przywitała. Nagle, przez nieskończenie długi ułamek sekundy, Barbarotti poczuł, że wszedł nie tylko w inny czas, ale i inny świat. W jakiś nowy wymiar istnienia? Słowa krążyły i ślizgały się w myślach, jednak wrażenie było równie silne, jak zaskakujące. Że... co takiego? Że można żyć tak, jak się chce, według własnych reguł? Na przykład zostać w latach pięćdziesiątych, jeśli ma się na to ochotę, nie przeszkadzając tym nikomu ani niczemu. No bo, do cholery, kogo to może obchodzić? Biuro detektywistyczne w Fårö? Dlaczego nie?

Mieli dziwne uczucie. Spędzili w tej kawiarni zaledwie dwadzieścia minut, mały ułamek deszczowego Święta Zmarłych, i odnieśli wrażenie, jakby ktoś uchylił im okno.

Można żyć na własnych warunkach. Nie trzeba być zakładnikiem. Można być wolnym.

Pytanie, czy tylko ta osobliwa para z Elsies potrafiła wcielić tę ideę w życie, czy każda inna para też.

Każda inna para? – pomyślał Gunnar Barbarotti.

Zastanawiał się, czy podobne myśli zrodziły się również w głowie Evy. W każdym razie zostali tam jeszcze dobrą chwilę i słuchali opowieści

Tomasa/Kutena. Słuchali i wędrowali wzrokiem po lokalu, i oprócz jedzenia i picia nie znaleźli nic, co pojawiłoby się na świecie po 1960 roku.

Wizyta w tej kawiarni była warta zachodu, pomyślał Barbarotti, kiedy podziękowali i zbierali się do wyjścia. Niektóre miejsca i zdarzenia długo zostają w pamięci. Już od samego początku wiemy, że na długo zapadną nam w pamięć. Będziemy je łączyć i kojarzyć, czy tego chcemy, czy nie. Jesień na Gotlandii, w 2018 roku, historię Albina Rungego, dom w Valleviken, dom w Avanäset, deszcz, wiatr, owce na cmentarzu anglikańskim, rozmowę w zajeździe Lindgården, stację benzynową Kutena i Elsie's Café.

Śmiertelny strzał Evy Backman w głowę chłopaka.

I tę grubą, jeszcze nieotwartą kopertę.

Wszystko się z sobą jakoś łączy, pomyślał Gunnar Barbarotti. Wszystko.

Po drodze na prom – Barbarotti prowadził, a Eva kreśliła palcami niewidzialne wzory na kopercie, którą trzymała na kolanach, jakby ją zaklinała – zamienili z sobą tylko dwa zdania. Więcej nie musieli.

– To był dziwny dzień.

– Bardzo dziwny. I jeszcze się nie skończył.

Dwanaście prostych kartek w linie. Prawdopodobnie wyrwanych z zeszytu. Zapisanych drukowanym pismem po jednej stronie. Czarnym atramentem. Eva i Barbarotti wtuleni w siebie na sofie czytali.

W ciszy. Na dworze panowała ciemność, w kominku paliło się drewno brzozone, równie bezgłośnie. Deszcz przestał padać, a wiatr się uspokoił.

Plamy i strzępy, dwudziesty siódmy października 2018 roku

Tempus loquendi, tempus tacendi.

Ten napis wyryty na tablicy grobowca, który widziałem podczas jednej z moich podróży autokarem, utkwił mi bardzo w pamięci. Znaczy mniej więcej tyle co: jest czas na mowę i na milczenie.

Teraz, po wielu latach, wracam do tego pierwszego. Będę się starał trzymać dużo bliżej prawdy niż poprzednim razem i te zapiski będą moimi ostatnimi. Lubię, kiedy wszystko ma swoje wyjaśnienie, ale przede wszystkim chciałbym, żeby to było dla was wyzwaniem. Poczekam z nim do końca.

Lubię też planować.

Może zawsze tak było, nie pamiętam. Natomiast wiem z całą pewnością, że to planowanie to moje koło ratunkowe od wypadku w 2007 roku. Kiedy nic nie ma znaczenia, a każdy dzień jest kolejnym krokiem w mroczną przyszłość, pojawienie się planu, a potem jego realizacja, może być jedyną drogą, która uratuje nas przed szaleństwem czy samobójstwem. Tak było ze mną. Mogłem złapać pociąg z Uppsali do Sztokholmu i iść od Starego Miasta przez Slussen, do księgarni na Söder, kupić książkę, usiąść w kawiarni i czytać, a potem wrócić pociągiem do Uppsali. W ten sposób zabijałem czas.

Planowanie, a potem realizacja, być może wszyscy tak robią, mniej lub bardziej świadomie. Żeby jakoś wytrzymać. Żeby żyć dalej. Ale nie będę spekulować, inni ludzie nie są w kręgu moich zainteresowań.

Zwracam się więc do was obojga, do inspektora Barbarottiego i inspektor Backman. Rzecz jasna, rozpoznałem was tamtego wieczoru w Valleviken, ale zajęło mi trochę czasu, zanim uświadomiłem sobie, że wy też mnie rozpoznaliście. Ale o tym później. Nigdy bym nie pomyślał, że kiedykolwiek jeszcze będę musiał wrócić do pisania: do tych *Plam i strzępów*, które ośmieliłem się zapożyczyć od naszego wspaniałego wieszca. Ale życie potrafi nas oszukać. Jeśli nawet nie oszukać, to na pewno zaskoczyć. Niszczy nasze plany i zmusza do tworzenia nowych.

Na dobre i na złe. Twierdzenie, że jesteśmy panami własnego losu, to bez wątpienia zarozumiałość. Ale wzięcie spraw w swoje ręce od czasu do czasu to nasze prawo, którego nie powinniśmy sobie odmawiać.

I to tyle. Jako wyjaśnienie mojego zachowania od wiosny 2012 roku. I mojego planu oraz jego realizacji. Pozwolę sobie zacząć od dwóch kluczowych punktów.

Pierwsze wydarzenie – a raczej przeczcucie – miało miejsce w maju. Dotyczyło mojej żony i naszego związku. Po czasie trudno mi zrozumieć, jak mogłem być tak ślepy, przecież nie jestem idiotą. Jednak mój stan psychiczny, kiedy się poznaliśmy, można było określić jako depresja kliniczna, a w takim stanie łatwo stać się zwierzyną łowną. Nigdy nie kochałem mojej pierwszej żony, nasz związek opierał się na szacunku i wzajemnym zrozumieniu. Może to brzmi nudnie, ale tak było. Zanim poznałem Karin Sylwander, siła miłości porwała mnie tylko raz, ale później do tego wrócę.

W Karin zakochałem się od pierwszego wejrzenia, jak już pisałem w *Plamach i strzępach*. I długo żyłem złudzeniem, że ona jest tak samo zakochana we mnie jak ja w niej.

Naiwne? Z pewnością. Aż do pierwszego wydarzenia pod koniec kwietnia 2012 roku rzeczywiście byłem naiwny, jak mieliście okazję zauważyć. Ale taki był mój cel, absolutnie centralny punkt mojego planu, danie świadectwa mojemu stanowi psychicznemu. I myślę, że zgodzicie się ze mną, że całkiem nieźle mi to wyszło. Obraz nieszczęsnego Albina Rungego, jak go postrzegaliście, przyznam, nie był dla mnie zbyt pochlebny. Bardzo przeciętny, naiwny i bezwolny pechowiec, wyobcowany i słabo osadzony w rzeczywistości.

Prawda, że w ten sposób mnie postrzegaliście? Muszę przyznać, że ta rola pasowała do mnie jak ulał. Właściwie to niewiele musiałem zmieniać czy to wobec Karin, czy to wobec was. Ale miałem plan i ta niewidzialna różnica była dla mnie wszystkim, dosłownie wszystkim.

Zanim odłożę długopis dzisiejszego wieczoru, chcę wyjaśnić, o co chodzi z tym pierwszym zdarzeniem. Przeczuciem.

Chodzi o moją żonę i Alexandra, o tego, którego brałem za jej brata i którego uważałem za bardzo zacnego człowieka. Złapałem ich na gorącym uczynku, po prostu. Nie chcę się rozpisywać w jakich okolicznościach, nie ma powodu. Wystarczy, jeśli powiem, że widziałem ich razem w jednym łóżku. Ja ich widziałem, ale na szczęście oni nie widzieli mnie. Od tego momentu spadła mi z oczu zasłona. To ciekawe, jak szybko zmieniają się nasze wyobrażenia; jak szybko jesteśmy skłonni zaakceptować, że życie jest zupełnie inne, niż je sobie wyobrażamy. Już następnego dnia zacząłem opracowywać pierwszy krok mojego planu.

Po dwóch tygodniach stało się to, co nazywam drugim zdarzeniem.

Minęła północ. Od morza zaczął wiać silny wiatr, na pewno jutro będzie padać. Odkładałem długopis, ciągnął dalszy następny.

[Plamy i strzępy, dwudziesty ósmy października](#)

Byłem w Göteborgu. Nieistotne, w jakiej sprawie, dlatego to pomijam. W słoneczny majowy dzień szedłem aleją w kierunku Götaplats. W okolicy Hotelu Park ktoś zawołał moje imię. Stałem i się odwróciłem. Zobaczyłem mężczyznę w moim wieku, który siedział w ogródku restauracyjnym. Nie więcej niż dziesięć metrów ode mnie. Podniósł się i pomachał mi energicznie.

Nie wiem, w którym momencie zrozumiałem, kto to jest. Że to on.

On.

W każdym razie było jasne, że mnie poznał.

Po dwudziestu czterech latach. Jak to możliwe?

Kiedy się rozstawaliśmy, mieliśmy po piętnaście–szesnaście lat. W ten słoneczny wiosenny dzień w Göteborgu mieliśmy po czterdzieści.

Anders, powiedział i wyciągnął rękę. Anders Lagerman. Albin, prawda?

Zakręciło mi się w głowie. Albo zrobiło mi się ciemno przed oczami, sam już nie wiem. Ale udało mi się usiąść na wolnym krześle przy jego sto-

liku. Anders złożył dłonie i patrzył na mnie z powagą.

Te dłonie, ta powaga.

Nie jestem pewien, czy znacie tę historię. Może tak, może nie. Może rozmawialiście z którymś z moich nauczycieli w Karlstad, na przykład z panem Hägerem, jeśli tak, to pewnie trochę wam opowiedział. Dlatego będę się streszczał i nie będę się rozczulał nad sobą.

Po raz pierwszy spotkałem Andersa wiosną 1987 roku. Doszedł do naszej klasy pod koniec roku szkolnego i zmienił moje życie. Pewnie ja też zmieniłem jego, tak mi się wydaje... tak, teraz jestem tego pewien. Byłem nieszczęśliwym chłopcem, dopóki się nie pojawił w moim życiu, samotnym i nieszczęśliwym. Z wielu powodów, a przede wszystkim z powodu mojej seksualności. Podczas okresu dojrzewania i burzy hormonalnej uświadomiłem sobie, że moje zainteresowania zwracają się ku tej samej płci. Z natury byłem nieśmiały i wycofany, a o homoseksualizmie w tamtych czasach nie mówiło się głośno. Czułem głęboki wstyd i byłem bardzo nieszczęśliwy.

Wtedy do naszej klasy dołączył Anders. Był moim pierwszym prawdziwym przyjacielem, spędzaliśmy razem każdą wolną chwilę, i żeby się już nie rozpisywać, po prostu się kochaliśmy. Cieleśnie też.

Naszą miłość fizyczną utrzymywaliśmy w tajemnicy, nie mogło być inaczej, ale wydaje mi się, że część osób mimo wszystko domyślała się, co jest grane. Z pewnością jego tata, który był na tyle liberalny (i na tyle niezainteresowany), żeby się nie wtrącać, ale na pewno nie moi rodzice, którzy na temat homoseksualizmu mieli tak samo staroświeckie poglądy jak większość ludzi. W każdym razie Anders i ja dostaliśmy od losu dwanaście miesięcy i to były najszczęśliwsze miesiące w moim życiu.

Jednak w maju 1988 roku wszystko się skończyło. Trzy tygodnie przed końcem roku szkolnego Anders wyjechał ze swoim tatą do Kopenhagi (a następnie do Amsterdamu). Do Karlstad przyjechali dlatego, że ojciec kupił tu hotel. Anders mieszkał z ojcem od rozwodu rodziców. Przenosili się z miasta do miasta, zarówno w Szwecji, jak i poza nią. Z hotelem w Karlstad coś nie wypaliło i najwyraźniej nie był to pierwszy raz.

Rozstanie było dla mnie bardzo trudne i jak się później dowiedziałem – dla Andersa również. Mimo że był przyzwyczajony do nagłych i niespodziewanych zmian. Po rozstaniu napisaliśmy do siebie tylko po jednym liście; Anders uważał, że kontakt na odległość będzie zbyt bolesny, zgodziłem się z nim. Lepiej zagryźć wargi i próbować zapomnieć.

Jakoś to przeżyłem. Wkrótce zdałem maturę i przeprowadziłem się do Uppsali. Mogliście o tym przeczytać we wcześniejszych *Plamach i strzępach*.

W tamten majowy dzień 2012 roku okazało się, że Anders przyjechał do Göteborga na kilka dni, co za niezwykle zbieg okoliczności, i te dni spędziłyśmy razem. Bez najmniejszych wyrzutów sumienia zmyśliłem na użytek Karin historyjkę o chorym krewnym. Wtedy moje życie wywróciło się do góry nogami. Po pierwsze, odnaleźliśmy się z Andersem, a po drugie, rozpoczęliśmy planowanie. Zacząłem ten list od stwierdzenia, że lubię planowanie, moim mistrzem jest tu Anders. Być może dlatego, że jest pisarzem. Obecnie nazywa się Anders Lauger i jest bardziej znany jako artysta malarz, ale ma za sobą również dość pokaźną przeszłość pisarską. Napisał siedem dobrze przyjętych powieści i kilka noweli, wydanych w Szwecji i paru innych krajach. Wszystkie pod pseudonimem, którego nie mam powodu zdradzać. Poprzestańmy więc na tym, że to on trzymał pałeczkę, jak się wszystkim zająć.

Moją kłamliwą żoną. Jej fikcyjnym braciszkiem i oszustem w jednym. Naszą przyszłością.

Anders powiedział kiedyś, że to jak pisanie powieści. Nie było to nic nadzwyczajnego, a jednocześnie bardzo nadzwyczajne. Chodzi o nasze życie, musieliśmy myśleć o sobie i być bardzo ostrożni.

Rezultat znacie. W każdym razie częściowo i bardzo ogólnie.

Nie wszystko poszło tak, jak byśmy chcieli. Ale wam też się nie udało. Ale więcej o tym za kilka dni. Mam jeszcze trochę czasu, toteż nie ma pośpiechu.

[Plamy i strzępy, dwudziesty dziewiąty października](#)

A może powinniśmy się śpieszyć. Wczoraj wieczorem przedyskutowaliśmy sprawę i postanowiliśmy nie zwlekać. Jeszcze kilka dni i wyjeżdżamy. To nawet ekscytujące, już kilkakrotnie rozmawialiśmy o wyjeździe; zmiana Fårö na cieplejsze miejsce to wcale nie taki głupi pomysł. Wręcz przeciwnie, odmiana pociąga.

Ale wracam do informacji, którą chcę się z wami podzielić. W naszym planie *Plamy i strzępy* bardzo szybko zajęły centralne miejsce. Chodziło

o podsuniecie wam obrazu, który byłby jednocześnie jasny i niejasny. Jako tło do tego, co niby miało się wydarzyć na promie do Finlandii. Żeby zmusić was do domysłów. Nie ma potrzeby, żeby im wszystko tłumaczyć jak pastuch krowie na rowie, uważał Anders. Trzeba dać ludziom poczucie, że są inteligentni i potrafią wyciągać wnioski, i właśnie wychodząc z tego założenia, pracowaliśmy nad tymi notatkami, które miały skierować waszą uwagę na moją żonę i jej wyimaginowanego brata.

Co się właśnie stało. Dostaliście dokładnie to, o co nam z Andersem chodziło, doszliście do konkluzji, że Karin Sylwander i Alexander Rendell oskubali mnie z pieniędzy i zabili. Że to oni byli tym Nemezis, który mi groził, i że to sobie dokładnie zaplanowali – podczas gdy to Anders i ja byliśmy autorami całego przedsięwzięcia.

Moje zniknięcie nie było trudne. Na kilka godzin przed przybyciem promu do portu powiedziałem Karin, że chcę jeszcze kupić butelkę whisky, zanim zamkną sklep. Wyszedłem z kajuty i zamiast iść do sklepu, poszedłem do toalety, żeby się przebrać za kobietę: suknia, peruka, szal, okulary przeciwsłoneczne i gotowe. Anders też był na promie, na wszelki wypadek kupił bilet na inne nazwisko. W reklamówce podał mi przebranie i zabrał moje rzeczy.

Potem usiadłem blisko wyjścia i czytałem książkę aż do momentu, kiedy prom przybił do portu. Widziałem i Karin, i Alexandra i miałem satysfakcję, że nie są w stanie mnie rozpoznać. Kiedy zeszliśmy z promu, zamówiliśmy taksówkę do hotelu na Söder, w którym Anders wcześniej zarezerwował pokój. Spędziliśmy tam jedną noc i następnego dnia wzięliśmy z Nynäshamn prom na Gotlandię. Tym razem byłem pasażerem na gapę; kiedy mijaliśmy kontrolę biletów, położyłem się na podłodze samochodu Andersa i przykryłem kocem. Anders już od dwóch lat mieszkał w Avanäset, więc od razu poczułem się tam jak w domu. Po latach tułaczki.

I to by było na tyle. Żebyście nie musieli się gubić w domysłach.

Zrozumiałem, że już od kilku lat jestem uznany za zmarłego, uświadomiłem sobie też, że Karin i Alexander w pewien sposób wyszli zwycięsko z tej bitwy. Jak już mówiłem, ani wam, ani nam nie udało się do nich dotrzeć. Ograbili mnie z większej części majątku, ale jakoś to z Andersem przeboleliśmy. I tak nieźle nam się powodzi, Anders sporo zarabia na swoich książkach, poza tym udało mi się wyjąć parę milionów, zanim zniknąłem. Dzięki matce Andersa, która od wielu lat – od rozwodu z ojcem Andersa i wypro-

wadzką ze Sztokholmu – pracuje w służbach specjalnych w jednym z krajów europejskich, dzięki jej pozycji i kontaktom, bez problemu mogłem wyprowadzić pieniądze ze Szwecji. Zupełnie się na tym nie znam, ale nie musiałem sobie tym zaprzętać głowy.

Albin Runge już nie istnieje, mimo to nie jestem bez tożsamości. Od kilku lat mam paszport, nowe nazwisko i narodowość inną niż szwedzka. W tym też pomogła mi matka Andersa. Podczas tych spokojnych lat na Fårö czuliśmy przez skórę, że ten dzień kiedyś nadejdzie, że będziemy musieli wyjechać pod inną szerokość geograficzną.

I ten dzień nadszedł.

W świat zabierze nas „Adelante”, jacht Andersa, który od kilku lat stoi zacumowany w marinie w Fårö i którym odbyliśmy już sporo rejsów. Mamy plan, kochamy się i jesteśmy pełni nadziei na przyszłość.

Liczymy też na to, że wykażecie się zdrowym rozsądkiem i nie będziecie nas więcej szukać. Nie zrobiliśmy nic, co by było niezgodne z prawem czy niemoralne. Wprawdzie niepotrzebnie zajęliśmy wam czas i środki, ale ze względu na okoliczności było to niezbędne, więc liczę, że to zrozumiecie.

Z tą nadzieją kończę drugą i ostatnią część moich *Plam i strzępów*, i życzę wam wszystkiego dobrego.

Over and out, jak to się mówi. *Tempus tacendi*.

Prom M/S „Gotlandia” wypłynął z portu w Visby zgodnie z rozkładem o 16.45. Był siódmy listopada, wiał ożywczy południowo-zachodni wiatr, a na promie było 532 pasażerów.

Eva Backman i Gunnar Barbarotti siedzieli w holu, dokładnie tak samo jak siedem tygodni wcześniej. Z widokiem na szare niebo i grzebienie fal dochodzących do trzech metrów wysokości. Na kolanach Evy spoczywały *Plamy i strzępy, część druga*, na kolanach Barbarottiego – Biblia.

– Muszę się do czegoś przyznać – powiedziała Eva. – Nie chce mi się stąd wyjeżdżać. Absolutnie.

– Wrócimy tu jeszcze – odparł Barbarotti. – Mieliśmy tu dobry czas... no może z wyjątkiem tego. – Pokazał kopertę na kolanach swojej towarzyszki. – Ale przynajmniej poznaliśmy odpowiedzi na niektóre pytania, prawda?

– Zgadza się – przyznała Eva Backman. – A jakiej odpowiedzi szukasz w Biblii?

– Księga Eklezjasty – powiedział Barbarotti. – To o mowie i milczeniu. Nie pamiętam dokładnie, jak to szło. Runge zacytował to po łacinie z jakiegoś włoskiego grobowca, nie wygląda mi na takiego, co to czyta Biblię. To znane wersy.

Eva zaczęła się śmiać.

– Ale pisał o Marcynie Lutrze. Czy to też zmyślił?

– Nie sądzę – odparł Barbarotti i zaczął kartkować Biblię. – Tutaj! Chcesz posłuchać?

– Czytaj.

Barbarotti zaczął czytać.

– *Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem:*

jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono, czas zabijania i czas leczenia... to dość długi wers, ale na końcu brzmi tak... czas mówienia, czas miłowania i czas nienawiści...

– Czas nienawiści? – zapytała Eva i skrzywiła się. – Czy to naprawdę konieczne?

– Nie w naszym przypadku – odparł Barbarotti i grzbietem dłoni pogładził ją po policzku.

– To dobrze. To dobrze, że jesteśmy wyjątkiem.

– Bez dwóch zdań. Zresztą Albina Rungego i Andersa Laugera też to dotyczy. Przeszli trochę, zanim się odnaleźli. Czekali dwadzieścia pięć lat.

– Szczególnie Runge, czy jakkolwiek się teraz nazywa, musiał sporo przejść – powiedziała Eva. – Kierowca, który ma na sumieniu osiemnaście istnień ludzkich... nawet jeśli to był nieszczęśliwy wypadek. Ale ten zbieg okoliczności...

– Zbieg okoliczności?

– Chyba tak. Jeśli Lauger nie siedziałby w tej restauracji w Göteborgu dokładnie o tej godzinie i dokładnie tego samego majowego dnia, wszystko wyglądałoby inaczej. Trudno mi uwierzyć, żeby Runge był zdolny do przeprowadzenia tak zaawansowanego planu na własną rękę. Może próbowałby się zemścić w inny sposób, ale nie za pomocą Nemezisa i nie udając, że został zamordowany.

– Raczej nie – powiedział Barbarotti. – Ale o zbiegu okoliczności rozmawiamy już jakiś czas. Najprościej będzie, jeśli uznamy, że tam w górze jest ktoś, kto pociąga za wszystkie sznurki.

– Rzeczywiście w to wierzysz?

– Nie powiedziałem, że to prawda... powiedziałem tylko, że to najprostsze rozwiązanie.

– W takim razie czy ten twój Bóg też jest prostym rozwiązaniem?

– Wręcz przeciwnie. Bóg jest najbardziej skomplikowanym i najsprytniejszym, co istnieje. Jeśli nie miałby takiej roboty, jaką ma, idealnie by się nadawał na prywatnego detektywa.

– W Fårö?

– Na przykład.

– Tak widzisz naszą przyszłość? Dwie stare sowy w swoim biurze detektywistycznym w Fårö?

– Zaginione koty i skradzione rowery – powiedział Barbarotti i ziewnął.

– Robię się śpiący od tego kołysania. A ty nie?

Eva się zaśmiała.

– Jesteś, jaki jesteś, ale nie masz mózgu gliny.

– W niektóre dni czuję się tak, jakbym w ogóle go nie miał – skonstato-
wał Barbarotti. – Ale może chodźmy coś przegryźć, zanim zasnę.

– Pulpety to całkiem niezły pomysł – powiedziała Eva Backman i wło-
żyła do teczki *Plamy i strzępy*.

Podczas całonocnej jazdy samochodem między Oskarshamn a Kymlinge
było dużo czasu na rozmowę i na milczenie. Wtedy też znaleźli odpowiedź
na jedno pytanie.

– No? – zapytała Eva Backman, kiedy byli w pobliżu jeziora Näs. – I co
z tym zrobimy? Musimy zdecydować, czy idziemy dalej, czy go posłu-
chamy?

– Właśnie – powiedział Barbarotti.

– Już trzy dni o tym rozmawiamy. Powinniśmy podjąć jakąś decyzję.

– Tak, powinniśmy.

– Właściwie to ma rację, że nie czuje się niczemu winien, bo nie popełnił
żadnego przestępstwa.

– Jeśli mam ochotę przebrać się w babskie ciuchy, zanim zejdem na ląd, to
mam do tego pełne prawo.

– Właśnie. I jeśli się nie żyje, to się nie żyje.

– Absolutnie. W każdym razie w dziewięciu na dziesięć przypadków.

– Więcej – powiedziała Eva. – W stu przypadkach na sto.

Minęło kilka sekund.

– Zaczyna padać – zauważył Barbarotti.

– Czyli?

Włączył wycieraczki.

– Czas na milczenie. Taką mam propozycję.

Eva popatrzyła w ciemność.

– Jak to brzmi po łacinie?

– *Tempus tacendi*.

– Okej – powiedziała. – Niech tak zostanie.

Epilog

Kommetije, Prowincja Kapp Republika Południowej Afryki. Grudzień 2018

– Andreas, i pomyśleć, że jesteś z powrotem.

Chwyła jego dłonie i popatrzyła na nie, uśmiechając się przez łzy. Tym samym uśmiechem, którym obdarzyła go, kiedy wyjeżdżał. Poczuł, jakby czas przestał istnieć.

– To już osiem lat – powiedziała. – Bardzo długo, tysiące dni.

– Czasu nie cofniemy.

– To prawda. Ale ty się nie zmieniłeś, za to ja się postarzałam.

– Osiem i pół roku – stwierdził. – Jeśli dobrze liczę. Ale nie postarzałaś się. Wyglądasz tak, jak cię zapamiętałem.

– Gadanie. A to jest twój partner, tak? Tak się cieszę, że ci... że wam się udało.

Puściła jego dłonie i chwyciła dłonie Albina. Uśmiechnęła się do niego takim samym uśmiechem.

– Jesteś tu mile widziany, pamiętaj. I mam nadzieję, że zostanieie tak długo, jak obiecaliście. Przynajmniej kilka lat. Miło jest mieć tych samych ludzi, którym się ufa i których się lubi. Ty też malujesz i piszesz?

Albin Runge pokręcił głową.

– Jeśli już, to wiersze. Ale od dawna nic nie napisałem.

Wzięła od niego paszport.

– A więc ty też jesteś Holendrem?

– Tak. Ale pochodzę ze Szwecji.

– Ha, ha. Obywatel świata, rozumiem.

– Można tak powiedzieć.

Założyła okulary i otworzyła jego paszport.

– Gus-tav? Tak się wymawia twoje imię?

– Zgadza się.

– Gustav Fröding?

– Tak.

Oddała mu paszport.

– Ale już nie zawracam wam głowy. – The Cottage na was czeka, w lodówce macie butelkę sauvignon blanc. To twoje ulubione wino, prawda, Andreas?

Andreas Lauger pokiwał głową.

– Nie znam lepszego.

– No dobrze, moi panowie. Meble na tarasie są zupełnie nowe, trzeba tylko przyciąć bugenwillę. Nie zrobiłam tego, bo pamiętam, że zawsze sam chciałeś to robić. I pamiętajcie, że możecie tu zostać nawet dziesięć lat, jeśli będziecie mieli ochotę. Czy dostanę od was przytulasa, zanim sobie pójdę?

Zaśmiała się.

– To wcale nie niemożliwe – odpowiedział Gustav Fröding i też się zaśmiał.